

PAMIĘTNIK GAPIÓW

---

BYDGOSZCZ  
2025

# BYDGOSZCZ, JAKĄ PAMIĘTAM

EMILIA WALCZAK  
MARCIN KARNOWSKI  
AGNIESZKA KUCA  
JAN RÓZDŻYŃSKI  
JOANNA GAJOWNIK  
HANNA KURKIEWICZ  
MONIKA HENDZEL  
KAROLINA KOLINEK-SIECHOWICZ  
JACEK SOWIŃSKI  
PAWEŁ JAŃCZAK  
MAJA BUTKIEWICZ  
ADAM GONSIEROWSKI  
MARIUSZ MODRACKI  
NATALIA DONARSKA  
TOMASZ HOPPE  
MARCIN SZYMCZAK  
JACEK GLUGLA

MIEJSCOWNIK  
BYDGOSKI

PAMIĘTNIK GAPIÓW



**BYDGOSZCZ,  
JAKĄ  
PAMIĘTAM**

**BYDGOSZCZ 2025**

## **Spis treści**

### **Emilia Walczak**

ABC..... 4

Kolektura 7/41..... 7

Bunkry..... 14

### **Marcin Karnowski**

Las..... 21

### **Agnieszka Kuca**

Mikrokosmos nad rzeką, czyli ulica Bulwary 1..... 24

### **Jan Rózdżyński**

Dworcowa ..... 27

### **Joanna Gajownik**

Śródmiejskie kąty ..... 31

### **Hanna Kurkiewicz**

Moje dzieciństwo przy pałacu..... 41

### **Monika Hendzel**

Ściernisko, fontanna i różane krzewy ..... 46

### **Karolina Kolinek-Siechowicz**

Zielony królik nad Osiedlem Leśnym..... 51

### **Jacek Sowiński**

Vivat IV LO! Vivat król Kazimierz!

IV Liceum Ogólnokształcące, jakie pamiętam ..... 55

**Paweł Jańczak**

Jaką Bydgoszcz pamiętasz? ..... 60

**Maja Butkiewicz**

Zanim Dawid Podsiadło zaśpiewał, że nie ma fal  
Bydgoski falowiec na osiedlu Błonie..... 63

Nie noszę zegarka, bo mam czas  
Mural z Poznańskiej 3..... 65

Kiedy Bydgoszcz tańczyła w parku  
Muszla koncertowa w parku im. Wincentego Witosa..... 68

**Adam Gonsierowski**

Korzenie drzewa mojej rodziny sięgają Jachcic.....72

**Mariusz Modracki**

Zawisza Bydgoszcz 1989/1990 ..... 90

**Natalia Donarska**

Kajakiem Zawiszy po Brdzie ..... 97

**Tomasz Hoppe**

200 lat bydgoskiej drukarni – historia zapisana czcionką..... 100

**Marcin Szymczak**

Bydgoszcz, młodość i kasyety magnetofonowe..... 108

**Jacek Glugla**

Tryptyk bydgoski..... 113

## ABC

Nie mam jeszcze przecież stu lat, a mimo to zdarzenia z pierwszej dekady mojego życia wydają mi się tak odległe, iż chwilami brak mi pewności co do ich autentyczności. Gdy o nich myślę, ogarnia mnie owo niepokojące uczucie, kiedy nie wiadomo, czy można zaufać swojemu umysłowi. Bo czy na przykład w latach dziewięćdziesiątych minionego wieku w miejscu placu przed dzisiejszym Bydgoskim Centrum Finansowym był, znajdujący się w nieznaczej niecce, skwer, do którego schodziło się po betonowych schodkach, czy tylko to sobie ubzdurałam? Ów skwer w mojej głowie wygląda na nieco zapuszczony i mrocznawy. Stoją tam ławki, rosną jakieś drzewa albo bardzo wysokie (albo to ja jestem bardzo mała), niepielęgowane od dawna krzewy: wybijające jałowce, poskręcane artretycznie cisy czy rozwidlane żywotnikowce. Czy jest tam fontanna albo basenik, jakaś rzeźba, figura – pewności brak, obraz rozmywa się. Bo czy w ogóle teren w tym miejscu zagospodarowany był w taki właśnie sposób? Nie wiem. Również internetowe śledztwo nie przynosi żadnych rezultatów. Istniejące w tym miejscu do 2005 roku Zakłady Graficzne im. Komisji Edukacji Narodowej wyskakują mi w wyszukiwarce jedynie w ujęciach od strony ulicy Jagiellońskiej. Najdalej wstecz sięgają

ce wspomnienie tego miejsca, którego prawdziwości jestem pewna, to już wykostkowany plac przed Galerią Handlową Drukarnia, otwartą w roku 2007, wprost z którego to placu wchodziło się do sklepu odzieżowego C&A. A i to zamierzchnia już przeszłość. W szafach nie zachował się żaden ciuch z tego butiku.

Czytam, iż Andreas Friedrich Gruenauer zakupił w 1814 roku od sióstr klarysek część ogrodu klasztornego, by wybudować na jego terenie nowy, utrzymany w stylu późnoklasycyistycznym, budynek swojej drukarni (pierwotnie mieszczącej się przy ulicy Poznańskiej). Ów cienisty skwer z mojej pamięci mógł być więc jakąś starą pozostałością owego ogrodu. Ale – jak mówię – nie wiem. Ta męcząca praca pamięci przynosi jedynie jakieś zdeformowane, cierpkie, niejadalne owoce. Tym niepewnym wspomnieniem nikt się nie nasyci. To wspomnienie to trudna do pochwylenia mgła. Wyciągam rękę w przeszłość, zaciskam w kulak dłoń i zostaję z niczym.

Dobrze najeść się można było za to w miejscu znajdującym się na południe od domniemanego skweru, tam, gdzie dziś stoi nowoczesna część Muzeum Okręgowego im. Leona Wyczółkowskiego, oddana do użytku w roku 2021. Chociaż moja pewność wynika jedynie



Czerwiec 1993 roku. Fot. archiwum Emilii Walczak

z faktu, iż w rodzinnym albumie zachowało się jedno jedyne zdjęcie, z czerwca 1993 roku, na którym, siedząc na plastikowym krześle, przy plastikowym stole, w koszulce polo z Tomem i Jerryem jadłam hamburgera w sezamowej bułce. Na stole stoi charakterystyczna zielona puszką z napojem sprite. Z innego zdjęcia wykonanego tego dnia wiem, że miałam wtedy na sobie również dekatyzowane dżinsy w gumkę i kolorowe trampki. Ot i cała ubraniowa esencja pierwszej połowy lat dziewięćdziesiątych.

Zaniepokoiło mnie co prawda, kiedy w trzeciej edycji „Pamiętnika gapiów” Karolina Kwaśnik, w swoim haśle „Gastrowydarzenia”, nie ujęła tego wspaniałego miejsca. Ujęła bar Mr Quick pod arkadami Savoya, gdzie serwowano bodaj pierwszą w Bydgoszczy pizzę na naprawdę cienkim cieście i wszyscy, myśląc, że ciasto tu z jakiegoś powodu nie wyrasta, odwracali się od tego feralnego miejsca. A więc ujęła Mr Quick, ale nie ujęła baru, który istniał przecież na długo wcześniej niżeli owi prekursoro-

rzy pizzy neapolitańskiej. I wtedy znów obłąkańczo zaczęłam wątpić we własne wspomnienia. Ale teraz znalazłam to właśnie zdjęcie i jestem już prawie że pewna: on istniał. Bar ABC. Albo może A, B, C... Jak american, burger... Tylko czym miałyby być to C?...

Zdaje się, że był to jakiś duży kontener. Barak? Być może barak, w każdym razie coś, co sprawiało wrażenie pewnej tymczasowości. No i faktycznie: ABC było, było, a później nagle zniknęło. Pamiętam jednak, że póki było, to na zewnątrz stały rzeczony plastikowe stoły – do konsumpcji fast foodu, kiedy tylko pogoda dopisywała. Jak wtedy, w czerwcu roku 1993, gdy pogoda była jak drut: zdjęcie przesycone jest żółtym, bardzo ciepłym światłem, aż patrząc na nie, czuje się ciepło na skórze. Po wejściu do środka była kolejna część ze stołami. Nie było ich tutaj za wiele, bo i ABC nie było przesadnie wielkim lokalem. Może z cztery czy pięć. Do tej części, niczym bomba, wpadały często żebrzące dzieci romskie, w latach dziewięćdziesiątych zwane powszechnie – „Rumunami”. Co zresztą na wiele lat ukształtowało we mnie pojęcie Rumuna, bo kiedy później, jakoś tak, kiedy w Galerii Handlowej Drukarnia funkcjonował jeszcze sklep C&A (albo może nieco wcześniej?), pojechałam po raz pierwszy w życiu do Rumunii, to zdziwiłam się mocno na widok w Satu Mare czy Baia Mare białych, nie śniadych, Rumunów i Rumunek. Tymczasem – pamiętam to wyraźnie – jedno z romskich dzieci wsadziło kiedyś komuś w ABC palec w jedzenie. Nie wiem, czy ze złośliwości, że ten ktoś odmówił mu paru groszy, czy po prostu dla draki. Romskie dzieciaki, zanosząc się śmiechem, wybie-

gły wtedy z lokalu, pozostawiając wszystkich w kompletnym osłupieniu.

Później, za częścią ze stołami, był wspaniały, ogromny (albo może to ja byłam bardzo mała) kontuar, za którym pracowała Pani Małgosia. Jestem prawie że pewna, iż w ABC pracowała jakaś Pani Małgosia. „Pani Małgosia z ABC” – tak się o niej chyba mówiło. Chyba przypominała mi moją ciotkę z Niemiec – a jakże – ciocię Małgosię!

Wydaje mi się, że zamówienia przyjmowała tylko Pani Małgosia, a reszta pracowników baru ABC przygotowywała jedzenie za jej plecami. Jak we wspomnianym Mr Quicku, ale i w każdym innym fast foodzie, jakie miały się później rozplenić w naszym mieście i kraju (już niebawem, w roku 1995, na parterze kamienicy Ernsta Wolffa przy placu Wolności 1 powstanie pierwszy bydgoski McDonald!), nad kontuarem, wysoko zawieszono były tablice z menu. I były tam na pewno: frytki – małe, duże, hamburger, cheeseburger (wołałam go od zwykłego hamburgera), hot dog oraz kolorowe napoje: coca-cola, fanta, sprite. Co jeszcze – nie wiem, bo tylko to mnie wtedy interesowało. Być może jakieś dania podawane na talerzu, w które palce mogło wsadzać tamto romskie dziecko. Być może pizza? Oczywiście na grubym cieście i ze słodkim keczupem... Jedno jest natomiast pewne: smak fast foodu z lat dziewięćdziesiątych jest dziś nie do podrobienia. Czasem, bardzo rzadko, przemknę tylko po języku przywołujący wspomnienia smak jakiejś magdalenki pod postacią pomidora, sosu czy sezamowej bułki. Mówię sobie wtedy, mlaskając z lubością: „Smakuje jak w ABC”.

# KOLEKTURA 7/41



Pierwsza kolektura na placu Wolności, marzec 1991 roku.  
Fot. archiwum Emilii Walczak

• EMILIA WALCZAK •

Kiedy 17 grudnia 2024 roku zamknął się ostatni w kraju kiosk Ruchu, miłośnicy klimatów retro z mojego pokolenia niczym zawodowe płaczkę podnieśli w społecznościówkach larum: gdzie ja teraz papierosy, zapalki, gazetę będę kupować – zupełnie tak, jakby od lat nie robili tego w Żabkach (a cyfrowych wydań gazet nie czytali w Internecie). No więc po kioskach Ruchu pozostało już tylko wspomnienie – oraz

jeden egzemplarz pokazowy usytuowany na rozległym terenie Kaszubskiego Parku Etnograficznego im. Teodory i Izzydora Gulgowskich we Wdzydzach Kiszewskich, tuż obok fiata 126p oraz domków letniskowych z Łeby, pochodzących z lat siedemdziesiątych minionego wieku. Przyznaję: sama do niedawna rozmiękczałam się na widok miejsca, gdzie przy ulicy Białogardzkiej (gdzie mieszka mój tata) w trawnik wrzy-

nało się klinem miejsce po dawnym kiosku Ruchu z miłą panią w środku, w którym to kiosku kupowałam kiedyś programy telewizyjne ze wzmiankami o serialu „Z Archiwum X”, gazety dla młodzieży „Bravo” oraz „Popcorn”, a później już te bardziej „dorosłe”: „Brum”, „Machine” czy „Metal Hammer”. Piszę w czasie przeszłym: „wrzynało”, ponieważ założenie zielone w tym miejscu niedawno przemodelowano i po rzeczonym klinie, a tym bardziej po kiosku Ruchu, pozostał co najwyżej ślad w pamięci.

Kto natomiast pamięta zasiedlające kiedyś krajobraz polskich miast i miasteczek, usytuowane w takich samych lub podobnych budkach, kolektury Lotto (a wcześniej Toto-Lotka)? Podpowiem: tak jak ujednociająca oprawa wizualna kiosków Ruchu była najczęściej zielono-żółta, tak kolektury Totalizatora Sportowego utrzymywane były w charakterystycznym niebiesko-żółtym malowaniu. Powiecie: ale przecież punktów sprzedaży Lotto jest dziś wszędzie od groma, znajdziemy je na praktycznie każdym kroku. No właśnie – agencyjnych punktów sprzedaży: w salonach prasowych, sklepach monopolowych, na stacjach benzynowych czy we wspomnianych Żabkach. Kolektura był to natomiast obiekt stanowiący mienie państwowe zawiadywane przez Totalizator Sportowy, posiadający sieć własną: własne punkty sprzedaży i własną rzeszę pracowników. Dziś pozostałością po tamtym stanie rzeczy są tak zwane salony Lotto – w Bydgoszczy na przykład przy ulicy Poznańskiej 20 (ten adres zapamiętam już chyba do końca życia: tutaj mieści się dyrekcja bydgoskiego oddziału Totalizatora, tutaj też znajduje się skarbiec, w którym, nie mając jeszcze wówczas osobistego konta w ban-

ku, odbierałam swoją pierwszą w życiu wypłatę), przy ulicy Śniadeckich 43 (gdzie zimą 2020/2021 na zastępstwie zemdląca moja mama, co zwiastować miało jej śmiertelną chorobę) czy też wreszcie – przy ulicy Gdańskiej 27 (gdzie do końca 2024 roku urzędował mój tata, zanim nie przeszedł w końcu na w pełni zasłużoną emeryturę).

Tak, jestem dzieckiem, ale poniekąd też wnuczką Toto-Lotka. Jeszcze zanim w 1990 roku mój tata nie zaczął przymerzać się do pracy w Totalizatorze Sportowym, w przesmyku pomiędzy ulicą Gdańską 18 i 20 (czyli dawnym Pomorskim Domem Sztuki, o którym pisarz i krytyk literacki Krzysztof Nowicki pisał w „Było święto”, że „ma dach ozdobiony koronką małych, pękających kolumnienek, zza których wystają solidne, opasłe kominy”) a parkiem Kazimierza Wielkiego kolekturę prowadził bowiem na umowę zlecenie, będąc już na emeryturze, mój dziadek (o którego działalności w Polskim Towarzystwie Turystyczno-Krajoznawczym pisałam w drugiej edycji „Pamiętnika gapiów”). Był to czas, kiedy tego typu kioski stały w mieście puste, ponieważ prowizja z ich prowadzenia była tak śmiesznie niska, że prawie nieopłacalna. Ale zażywnemu dziadkowi najwyraźniej się nudziło, bo rozwinął ten punkt tak, że później przyzuchać do pracy tutaj zaczął się mój tata, by w końcu, w 1990 roku, zatrudnić się w Totalizatorze „na chwilę”, która trwać miała kolejne trzydzieści cztery lata jego życia.

Kiosk w przesmyku, stojący kawałek dalej za Cafe Primo (w dzisiejszej lodziarni mieścił się wówczas butik), naprzeciwko BWA, był metalowy, z kratowanymi okiennicami i zasłonkami „jak w PKP” – wspomina mój tata. Miał



Czerwiec 1993 roku. Fot. archiwum Emilii Walczak

adres „Gdańska 18”, a w ewidencji kolektur – numer 7/41. Przy czym cyfra 7 oznaczała numer oddziału międzywojewódzkiego z siedzibą w Bydgoszczy, w skład którego to oddziału, oprócz naszego miasta, wchodziły też takie miejscowości, jak na przykład Piła czy Włocławek, a liczba 41 oznaczała tę konkretną kolekturę.

Mam z tego miejsca jedynie kilka migawek: stary, masywny dziurkacz, w dziurkaczu kolorowe kropeczki konfetti; kupony totka skreślane ołówkiem

przez kalkę za pomocą icksów; brudne od kalki palce; palce brudne od drewnianej pieczątki odbijającej na kuponach numer „7/41” ujęty w kwadrat; upaprana od kalki długa drewniana linijka, bardzo lekka; ołowiane plomby zaciskane na jutowych workach; w workach coś bardzo, bardzo cennego, co odnosiło się osobście na ulicę Chopina 11, gdzie obok Totalizatora mieściły się również siedziby różnych stowarzyszeń sportowych i gdzie był też legendarny Torbyd. Tutaj raz, po oddaniu drogocennych worków,



Joanna Walczak w kolekturze na placu Wolności, wrzesień 1994 roku.  
Fot. archiwum Emilii Walczak

ślizgałam się z tatą po lodowisku na butach. Albo to mi się tylko przyśniło.

Jaki skarb znajdował się we wspomnianych workach, wyjaśnia mój tata: kolektura czynna była od poniedziałku do wtorku i od czwartku do piątku. W środę oraz sobotę odbywały się losowania. Kupony składały się z trzech odcinków. Jeden był dla kupującego, dwa – oznaczone literami A oraz B – dla kolektora. Na kupony naklejało się banderole świadczące o ich oryginalności. We wtorek oraz piątek po pracy szło się do tak zwanej zbiornicy, na Chopina 11, rozliczyć z przyjętych zakładów. Odcinek A trafiał później do Warszawy, B – do bydgoskiego oddziału Totalizatora. Oprócz Toto-Lotka można było w kolekturze

również obstawić zakłady sportowe: ligę polską, angielską, później niemiecką. Mowa oczywiście o piłce nożnej. Z tych zakładów sportowych wziął się zresztą Totalizator, nomen omen, Sportowy.

W 1991 roku kolektura numer 7/41 przeniesiona została na plac Wolności. Początkowo mieściła się w podwójnym kiosku typu K67 (albo bardzo podobnym), powszechnie zwanym „jugokioskiem”, a przez moich rodziców – „podłikiem”. Takie kioski produkowano wtedy w Łobżenicy. Nasz był granatowy, jak na tamte czasy bardzo ładny. W jednej połowie urzędowali moi rodzice (w Totalizatorze Sportowym mama dołączyła do taty w lutym 1992 roku – na dwadzieścia dziewięć lat...), druga służyła

klientom. Była to absolutna nowość, że petent mógł wejść do środka kolektury i w razie niepogody wypełnić kupon z dała od padającego deszczu czy śniegu. Obie części dzieliło przepierzenie z dymnego plexiglasu, łączyło – jedynie malutkie, łukowato wycięte okienko. Później kiosk podmienili, ponieważ w części dla klientów zapadła się podłoga. Ten nowy miał wejścia w innym miejscu, ale zasadniczo niczym innym nie różnił się od swojego poprzednika.

Prawie wszystko robiło się wtedy we własnym zakresie, o wszystko samemu trzeba było się troszczyć. Pamiętam, że samemu kupowało się na przykład najpotrzebniejsze, niezbędne do funkcjonowania akcesoria: spinacze do papieru, zszywki, samemu wyklejało się godziny otwarcia na drzwiach, samemu konstruowało podajniki do zdrapek (patent mojego taty: podajniki wykonane z plastikowych opakowań po tic tacach!). Przypomina mi to trochę moje obecne miejsce pracy. Pracuję w kulturze, ale przez chwilę byłam o krok od pracy w kolekturze – w długiej przerwie wakacyjnej pomiędzy liceum a studiami licencjackimi pracowałam bowiem w punktach Lotto, najpierw na Błoniu, później u rodziców na placu Wolności. Za zarobione wtedy pieniądze kupiłam sobie rower górski z aluminiową ramą. Mam go zresztą do dziś.

By móc pracować w kolekturze, musiałam wtedy przejść jakieś specjalne szkolenie i zdać egzamin. Do dziś pamiętam zasady nieistniejących już gier: Dużego Lotka (typujemy sześć z czterdziestu dziewięciu liczb), Express Lotka (typujemy pięć z czterdziestu dwóch) i Multilotka (od jednej do dziesięciu z osiemdziesięciu). Ich losowania transmitowała wtedy telewizja Polsat. Prowadził je Ryszard Rembiszewski, pod czujnym okiem Ko-

misji Kontroli Gier i Zakładów. „Bęben maszyny losującej jest pusty, następuje zwolnienie blokady i rozpoczynamy losowanie sześciu liczb”...

Wtedy też poznałam całą, jakże charakterystyczną i charakterną, klientelę moich rodziców i zrozumiałam, skąd biorą się ich rodzinne przezwiska. Sucha, Małysz, Zaucha, Krzysztof Krawczyk – te zapamiętałam ja, a mój tata dorzuca jeszcze: naszego bydgoskiego 50 Centa, czyli 50 Groszy na Chlebek, Pączka, Presleya, Prosiaczka, Kapitana Nemo, Modelkę, Blondi oraz Brązownika. Z bydgoskich artystów do kolektury zaglądali na przykład Marek Rona czy Andrzej Maziec. Od tego drugiego mamy zresztą całe archiwum fotografii kolektury i moich rodziców w niej. W 2013 roku premierę miał głośny w mieście film dokumentalny zatytułowany „Bydgoszcz od świtu do zmierzchu”, którego jednym z segmentów była etiuda Dariusza Gackowskiego „Lotto”, zrealizowana w kolekturze 7/41 z udziałem moich rodziców, a właściwie – samych ich głosów. „Głupi ma szczęście, ale co drugi” – słychać też mądrości ludowe klientów. Łącznie przez kolekturę przewinęły się pewnie dziesiątki tysięcy ludzi. Kto chociaż raz nie puścił tutaj lotka, niechaj pierwszy rzuci kamieniem.

Wracając jednak do węzłowego roku 1991: w kolekturze sprzedawać można było jeszcze wtedy – oprócz zakładów wzajemnych – także różne drobiazgi: głównie papierosy, gumy do żucia, menthosa, wspomniane tic taki itp. Jeździłam po nie z tatą „na hurt” przy ulicy Kieleckiej. Nie byli z tego szczególnie zadowoleni ci z mieszczącego się obok kiosku Ruchu, ponieważ stanowiliśmy dla nich konkurencję. Obok tego kiosku Ruchu stała wtedy jeszcze na placu Wolności



Andrzej Maziec i Paweł Walczak w kolekturze 7/41, 2014 rok.  
Fot. archiwum Emilii Walczak

drewniana budka z lodami czy hot dogami, to zapamiętał mój tata.

W tym samym 1991 roku w Warszawie pojawił się pierwszy tak zwany lottomat. Tata pojechał specjalnie na jego pokaz. Zapowiadała się ogromna zmiana w funkcjonowaniu kolektur. W roku kolejnym lottomaty wprowadzono do kolektur w innych miastach. Były połączone we wspólny system umożliwiający przyjmowanie zakładów wzajemnych online – tak zwanych zakładów bezpośrednich. Czyli były to takie trochę komputery połączone takim trochę Internetem. I było to nie byle co! Celem zwrócenia uwagi na ów fakt – jak i na całą markę Lotto, która zyskała w tym samym czasie

również nowe, obowiązujące przez następne dwie dekady logo – urządzono w Warszawie, w pięciogwiazdkowym, oddanym dopiero do użytku hotelu Marriott, ogromną fetę, na którą zaproszone zostały totolotkowe grube fiske z całego kraju. Jakimś cudem pojechał tam wtedy również szeregowy pracownik z Bydgoszczy – mój tata. W rodzinnym albumie jest jedno zdjęcie z tamtej imprezy, wszyscy uśmiechnięci i z wypiekami.

Wydarzenie było zresztą na tyle istotne, że transmitowano je nawet w publicznej telewizji. Obie z mamą wgapiłyśmy się wówczas w kineskop, szukając wzrokiem taty. Przez pół sekundy przemazał się wtedy gdzieś w tle, na co zare-



Kolektura 7/41 na placu Wolności z balkonu redakcji „Gazety Wyborczej”, XXI wiek. Fot. Emilia Walczak

agowaliśmy najdzikszym piskiem, jaki tylko można było z siebie wydobyć, jakby był co najmniej gwiazdą muzyki pop. Ale gwiazda była tego wieczoru zupełnie inna – gałę uświetniającą wprowadzenie w nasz kraj lottomatów rozjaśniła swoją obecnością sama natapirowana Samantha Fox, wykonując z playbacku swój wielki hit „Touch Me”. Pamiętam, że występ zaczynała z półobrotu, coś jej się z tego powodu rozsynchronizowało i słowa „oh, touch me” wypowiedziała do mikrofonu zbyt wcześnie – muzyka puszczona została z sekundowym interwałem. Zresztą, mam to wszystko nagrane na kasetę VHS. No, ale każdemu może się zdarzyć. Nawet Samancie Fox. Zwłaszcza na gali lottomatów.

Jakoś wiosną 1992 roku (w każdym razie było już wtedy ciepło) lottomat trafił także do kolektury numer 7/41 w Bydgoszczy. Z tej okazji na placu Wolności odbyła się wtedy całodzienna, naprawdę huczna impreza. Pod chmurką stanęły wówczas dwa lottomaty, za lottomatami – zasiadły zwarte i gotowe kolektorki wypożyczone z innych punktów w mieście. Z okolicznych kamienic wyroił się tłum. Każdy chętny mógł wtedy po raz pierwszy w życiu puścić kupon wypełniony nie, jak dotąd, za pomocą iksów, a pionowych kreseczek (iksów lottomat bowiem sczytywał). Każdy otrzymywał też jeden zakład Dużego Lotka gratis. Duża część klientów po otrzymaniu takiego darmowego kupo-

no ustawiała się z powrotem na koniec kolejki po kolejny. Tak właśnie powstał całodzienny konsumencki Uroboros.

W 1994 roku wylosowano osiemdziesiąt szóstek w tym samym losowaniu Dużego Lotka i hasło „Miliard w środę, miliard w sobotę” okazało się słowami bez pokrycia. W roku 1997 Przedsiębiorstwo Państwowe Totalizator Sportowy przekształciło się w spółkę skarbu państwa w formie spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. Dwa lata później w sprzedaży pojawiła się pierwsza zdrapka Lotto (wcześniej w obiegu były m.in. zdrapki Polskiego Monopolu Loteryjnego). A wraz z początkiem nowego milenium granatowy podzik zastąpiła na placu Wolności

w Bydgoszczy nowa budka – tym razem aluminiowo-szklana – zrosnięta jednym bokiem z kioskiem Ruchu. Pracująca tu miła pani pożyczła mojej mamie kolorowe magazyny. Odtąd nie sprzedawaliśmy już papierosów ani tic taców. W takiej samej estetyce, co nasza budka, wykonane były też stragany urzędujących na placu Wolności badylarzy, ostatecznie zlikwidowane dopiero w maju 2023 roku. Nasz pawilonik, przez bydgoską „Gazetę Wyborczą” nazwany „szpetnym”, zniknął z placu trzy lata wcześniej. Jednak już w 2014 roku moi rodzice zatrudnieni zostali w nowo utworzonym salonie Lotto na parterze kamienicy przy ulicy Gdańskiej 27. Kolektura zmieniła wówczas numer na 7/1375.

## BUNKRY

Latem 1989 roku przeprowadziliśmy się z rodzicami z Łodzi do Bydgoszczy, do charakterystycznego, trzynastoklatkowego bloku przy ulicy Białogardzkiej. Był to – i nadal jest – jeden z ostatnich bloków w mieście. Dalej na południe była już tylko bezkresna Puszcza Bydgoska i nie mieściło mi się to wtedy w mojej małej głowie: że Bydgoszcz z każdej dosłownie strony otulona jest lasami. Że nawet gdy wyjść na balkon, to widać z niego kudłate, ciemnozielone czapy sosen. Że po ledwie dziesięciu minutach spaceru można już zajadać w lesie poziomki, a jesienią – wynosić stamtąd całe narecza podgrzybków. Tymczasem w śródmieściu Łodzi mieliśmy do tej pory widok na gołą ścianę boczną kamienicy, przystrojonej jedynie w stalowe za-

tyczki kotwienia belek stropowych. Miały kształt litery X, jakby ktoś zaznaczył na tej ścianie miejsca, w których, jak w filmie Leonarda Buczkowskiego, szukać należałoby skarbu. Żadnego skarbu tam jednak nie było – to zresztą mało powiedziane: nawet ratlerek sąsiada, z wszechogarniającej Łódź beznadziei, popełnił samobójstwo, skacząc na ziemię z parkowej ławki. Takie przynajmniej chodziły w naszej klatce słuchy.

Nasz bydgoski blok był zatem jednym z ostatnich w mieście, siłą rzeczy więc pobliski wysokopienny las stał się częścią mojego młodzieńczego fyrtila. Oczywiście gdy je już odkryłam, najbardziej korciło mnie, by chodzić do lasu na bunkry – pozostałość po drugiej co do wielkości (po lubuskich Krzystkowi-



Fontanna DAG, październik 2025 roku. Fot. Emilia Walczak

cach) fabryce zbrojeniowej koncernu Dynamit Nobel AG w Trzeciej Rzeszy, to jest DAG Fabrik Bromberg. Sieć bunkrów ciągnęła się w lesie przy ulicach: Glinki, Szpitalna, Kliniczna (z pięknymi budynkami z ciemnej klinkierowej cegły, zaprojektowanymi przez modernistycznego architekta Carla Staudta, należącymi niegdyś do niemieckiej kadry kierowniczo-inżynierskiej DAG – podobnymi do tych przy ulicy Świetlicowej w Łęgnowie), Solna, 15. Dywizji Piechoty Wielkopolskiej. W pobliżu tej

ostatniej znajdował się rozpalający naszą dziecięcą wyobraźnię betonowy basen fontanny. Fontanna w środku lasu? Otóż to! Później dopiero przeczytałam, że stanowiła ona część skweru, z którego w celach relaksacyjnych korzystały po pracy młode Niemki z obowiązkowej Pomocniczej Służby Wojennej (Kriegshilfsdienst), kontrolujące jakość produkowanych w DAG-u lasek prochowych. Podobno była tu też wtedy, w jednym z baraków, sala kinowa zaopatrzona w pianino.



Ruiny acetylenowni BPI, zdjęcie archiwalne. Fot. Emilia Walczak

Ów obóz pracowniczy stanowił element części zachodniej DAG-u, zwanej DAG Kaltwasser, od znajdującej się na terenie dzisiejszych Kapuścisk połęderskiej Kolonii Zimne Wody – Colonie Kaltwasser, o mocno rozprozonej zabudowie. Za moich czasów niedaleko fontanny obecne były jeszcze ruiny dawnej – ale już polskiej – acetylenowni Bydgoskiego Przedsiębiorstwa Instalacyjnego, w których z chęcią praktykowałam urbex avant la lettre.

Sieć dwudziestu dziewięciu bunkrów, a właściwie: lekkich schronów, zwanych też „szczelinami” przeciwlotniczymi (Luftschutzräume), przeznaczonych dla kadry zarządzającej oraz robotników przymusowych zakwaterowanych w osiemnastu obozach usytuowanych na

obrzeżach DAG-u, ciągnęła się aż hen, na teren Zachemu, gdzie dziś znajduje się m.in. filia Muzeum Okręgowego im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy – Exploseum, ale i dalej – do Łęgnowa. Była to już część wschodnia DAG-u – DAG Brahnau. Cały teren DAG Fabrik Bromberg zajmował łącznie aż dwadzieścia trzy kilometry kwadratowe. Szczeliny jednak nigdy nie były używane – w historii całej swej działalności, najprawdopodobniej dzięki znakomitemu kamuflażowi, DAG nigdy nie był bowiem bombardowany. Zbigniew Raszewski w swojej książce „Pamiętnik gapia. Bydgoszcz, jaką pamiętam z lat 1930–1945” podaje jeszcze jedną możliwą przyczynę: „Brytyjczycy [...] może by i zaatakowali Łęgnowo, gdyby nie fakt, że pracowało

tam mnóstwo angielskich jeńców. Brytyjski sztab generalny niewątpliwie wiedział o tym i nie miał ochoty robić dżemu wielowocowego z własnych żołnierzy”.

Moja babcia od strony taty, Gertruda Kaźmierczak, urodzona w roku 1925, jako bardzo młoda kobieta, za czasów okupacji skierowana tutaj przez Arbeitsamt, przymusowo pracowała w DAG-u. Nie mamy jednak pewności, czy dopiero od momentu ukończenia osiemnastego roku życia, a więc od roku 1943, czy już wcześniej, na przykład jako szesnastolatka. Wiadomo natomiast, że trwało to aż do chwili opuszczenia fabryki przez Niemców, czyli do dnia 22 stycznia 1945 roku, kiedy to w DAG-u wstrzymano produkcję i ewakuowano stąd niemiecki personel.

Babcia często wspominała, że pracujący w DAG-u ludzie, od styczności z produkowanymi tutaj materiałami wybuchowymi, skórę na dłoniach, twarze oraz włosy mieli żółte. „Dotknięci, zwłaszcza kobiety, byli z tego powodu określanymi przez miejscowych jako «kanarki»” – pisał Michał Pszczółkowski w „DAG Fabrik Bromberg. Z dziejów bydgoskiej fabryki materiałów wybuchowych 1939–1945”...

W archiwum rodzinnym było kiedyś nieduże zdjęcie, być może w formacie sześć na dziewięć centymetrów, które moja babcia otrzymała od jednego z jeńców wojennych, jakich widywała w DAG-u oddzielonych siatką od innych przymusowych pracowników, najpewniej w obozie numer VII, położonym przy bramie numer 2 na Glinkach, wtedy Glinkenstraße. Na fotografii tej było dwóch mężczyzn – jeden Francuz lub Włoch, drugi Anglik imieniem Harry. Obaj, na pewno w bryczesach, stoją na tle baraku. Od tego samego mężczyzny

dostała też kiedyś czekoladę, którą ten z kolei otrzymał od rodziny w paczce.

Szeptano się, że działa w DAG-u silna komórka konspiracyjno-sabotażowa polskiego ruchu oporu. Nie wiadomo: na skutek jej działalności czy po prostu – wskutek wadliwego procesu produkcji prochu, doszło pewnego dnia do poważnej eksplozji. Kiedy babcia przyjechała do pracy, kazano jej wrócić do domu, ponieważ właśnie sprzątaję trupy.

Wracając jednak do szczeliny przeciwlotniczych... Schrony znajdujące się najbliższej naszego miejsca zamieszkania – czyli te tuż za ADM-owskimi barakami przy ulicy Szpitalnej (które to baraki stanowią zresztą smętne relikty dawnej zabudowy dla pracowników przymusowych i jeńców wojennych zatrudnionych w DAG-u) – zlikwidowano w drugiej dekadzie XXI wieku. Z dwudziestu dziewięciu pozostało dziś dosłownie kilka. Nadleśnictwo Bydgoszcz chwaliło się nawet swego czasu, iż odbyło się to kosztem ponad miliona złotych oraz wycięcia sporych połaci tutejszego lasu. W 2016 roku bydgoskie media obiegała z kolei dosyć ponura informacja, że w masowym grobie przy ulicy Solnej odnaleziono szczątki aż dwustu dwóch osób narodowości niemieckiej, które w latach 1945–1946 zmarły w obozie Zimne Wody – filii Centralnego Obozu Pracy dla Niemców w Potulicach. Zidentyfikowano je dzięki obecnym przy szczątkach cynkowym bądź stalowym obozowym znakom tożsamości, które porównano później z imienną listą ofiar przechowywaną w Archiwum Państwowym w Bydgoszczy.

Obóz Zimne Wody powstał już pod koniec stycznia 1945 roku. Prędko, zważywszy na fakt, iż wojska II Frontu Białoruskiego zajęły Bydgoszcz wraz z DAG-iem w dniach 24–26 stycznia. Utworzo-



Przelotnia szczeliny przeciwlotniczej DAG, październik 2025 roku.  
Fot. Emilia Walczak

no go na podstawie dekretu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z dnia 31 sierpnia 1944 roku „o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców Narodu Polskiego” – czyli na przykład osób, które podpisały volkslistę. Choć, jak wiadomo, pojęcie „zdrajcy narodu” może być bardzo szeroko, a nawet nadinterpretowane.

W roku 2017 na Solnej – w lesie za barakami, jak informuje mnie Tomasz Czabański, dyrektor poznańskiej Pracowni Badań Historycznych i Archeologicznych POMOST, która przeprowadzała tu ekshumację – odkryto kolejne szczątki, około siedemdziesięciorga ludzi. Łącznie było to więc już blisko trzysta osób, głównie kobiet i dzieci, zmarłych w Zimnych

Wodach najprawdopodobniej na skutek jakiejś epidemii – tyfusu albo czerwonki, które to choroby, jak podają historycy, na przykład Robert Stodolny, szerzyły się na potęgę w tym polskim obozie.

Do dziś nie ma pewności, w którym dokładnie miejscu rozległego DAG Kaltwasser mieścił się obóz koncentracyjny dla Niemców Zimne Wody, w którym z łagrów oznaczonych numerami od I do VII, porozmieszczanych między dzisiejszymi ulicami Glinki (dawn. Glinkenstraße) i Wojska Polskiego (dawn. Maxstraße). Przy czym lager numer IV-V był na pewno tym z fontanną, zasiedlonym członkami Reichsarbeitsdienst (RAD) i członkami Kriegshilfsdienst (KHD), a w VII przy Glinkach przebywali jeńcy angielscy, a więc i sympatia mojej babci – Harry. Można jedynie domniemywać: skoro ma-

sowy grób odkryto przy Solnej, mogłyby to być równie dobrze obozy IV–V, obóz numer I przy Wojska Polskiego, ale również II i III na rogu Glinek i Szpitalnej – przy założeniu, że zainfekowane ciała chciano odsunąć jak najdalej od pozostałych przy życiu więźniów. Ale to oczywiście loteria. Jeśli miałabym typować, obstawiłabym lager z fontanną. Po pierwsze, znajdował się blisko poniemieckich budynków kadry kierowniczo-inżynierskiej DAG-u, w których zakwaterować mogło się wygodnie nowe dowództwo obozu. Po drugie, położony był w środku lasu, w znacznym oddaleniu od ulic Glinki i Wojska Polskiego (wówczas odcinek ten nosił jeszcze imię Władysława Belzy), można tu więc było wyprawiać z więźniami dosłownie wszystko, z dala od oczu i uszu ewentualnych, przypadkowych świadków.

I wyprawiano. Pozostały bowiem mrozące krew w żyłach relacje ocalałych odnośnie do warunków panujących w Zimnych Wodach czy traktowania, jak również zabijania tutaj więźniów, na przykład te zawarte w książce „Łzy nie mają narodowości. Niemcy w obozach zachodniej Polski 1945–1949” Siegfrieda Lelkego, w „Latach cienia w Potulicach 1945” Hugona Rasmusa, lecz przede wszystkim – w reportażu Helgi Hirsch „Zemsta ofiar. Niemcy w obozach w Polsce 1944–1950”. Ale i o niesławnym miejscu tym pisał w „Pamiętniku gapia” Zbigniew Raszewski: „Nigdy nie byłem w tym obozie, ani go na własne oczy nie widziałem. Słyszałem tylko, że jest to miejsce najdzikszych wybryków. [...] Wielu więźniów strażnicy bezkarnie pomordowali, biorąc sobie odwet za okrucieństwa dokonywane w ciągu kilku lat przez hitlerowców. [...] Trzeba z naciskiem podkreślić, że w mordowaniu i katowaniu więźniów, a także gwał-

ceniu kobiet Polacy rywalizowali z Rosjanami. [...] co wieczór bandy żołnierzy rosyjskich po prostu wpadały do obozu, żeby gwałcić uwięzione tam kobiety, nie zważając ani na prośby, ani na groźby komendy. Nie odnosiły też skutku żadne interwencje u władz zwierzchnich”.

Raszewski pisał, że aresztowań przyszyłych więźniów Zimnych Wód dokonywało NKWD. Skrót ten, choć w istocie oznaczał Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych ZSRR, często dekodowano wtedy pół żartem, pół serio jako „nie wiadomo, kiedy wróci do domu”... Według Raszewskiego do obozu Zimne Wody trafiali tylko obywatele niemieccy pierwszej i drugiej grupy, a więc etniczni Niemcy oraz osoby pochodzenia niemieckiego. Pewnego dnia do Potulic, nie wiedząc czemu – nie należała przecież do żadnej z czterech kategorii volksdeutschów – Rosjanie postanowili wysłać też moją babcie. Być może miało to jakiś związek z jej przymusową pracą w DAG-u – nikt już dziś nie pamięta, skąd wzięło się to koszmarnie nieporozumienie. Konwój przemieszczał się już ulicą Nakielską, kiedy babcia wraz z koleżanką postanowiły uciec. Udało się. Najpierw ukryły się w ziemniaczanych redlinach, a później schroniły u mieszkającej na Miedzyniu rodziny.

A wracając do schronów... nie wiem, co takiego ujmującego było w czasach mojego dzieciństwa i adolescencji w bunkrach na Solnej – doprawdy trudno mi to dziś zrationalizować. Gdy o nich myślę, przypomina mi się głównie duża ilość potłuczonych butelek, pety, podarte fragmenty pornograficznych gazet, przesywający widok młodego chłopaka wdychającego butapren (i widok jego otumanienia), ludzkie ekskrementy. Na pewno wielką frajdą było znaleźć droż-



Szyb szczeliny przeciwlotniczej DAG, październik 2025 roku.  
Fot. Emilia Walczak

ne, niezasypane albo niezamknięte pancernymi drzwiami przejście i na przykład wejść do szczeliny przeciwlotniczej od góry, szybem, po stalowej drabince kłamrowej, a wynurzyć się w już całkiem innym miejscu z przelotni, niczym pociąg z ciemnego tunelu. Pamiętam też, że raz, już w porze zmierzchu, widzieliśmy tutaj ze znajomymi rozjarzone larwy świetlików. Myśleliśmy wtedy, że gąsienice te napromieniował pobliski Zachem.

W kilku źródłach zetknęłam się też z informacją, że w początkach lat dziewięćdziesiątych XX wieku działał na Solnej klub muzyczny, w którym odbywały się punkowo-rockowo-metalowe koncerty: Młodzieżowy Klub Rozrywki „Na Solnej” albo po prostu: „klub Solna” – z różnymi jego nazwami już się spotkałam. Mimo że ja tego miejsca

w ogóle nie pamiętam, to wspominał je na przykład w ubiegłorocznej edycji „Pamiętnika gapiów” Grzegorz Przesławski. Niezależnie jednak od nazwy klubu – to świetny przykład tego, w jaki sposób powstaje miejsce palimpsest, w którym różne – często skrajnie odmienne i nabrzmiałe różnym doświadczeniem – warstwy historii i pamięci nakładają się jedna na drugą, tworząc w ten sposób niepowtarzalny wielowarstwowy kulturowy krajobraz. W końcu ja też beztrako zbierałam poziomki tam, gdzie pół wieku wcześniej walcowała, prasowała albo cięła proch moja babcia Trudzia.

Choć to doświadczenie dojmujące, odwiedźcie Państwo baraki i bunkry na Solnej – póki jeszcze jest co oglądać. Niczym Szekspirowski las Birnam, już skrada się tutaj deweloperka.

## LAS

Ulica Generalska na osiedlu Kapuściska jest bardzo krótka. Stoją tam trzy bloki (2, 4 i 6) na samym krańcu miasta. Wybudowano je w latach siedemdziesiątych XX wieku. Zamieszkaliśmy w dwójce, na czwartym piętrze, pod numerem 13. Z balkonu rozciągał się widok na las i dwa kominy elektrociepłowni, które w nocy świeciły czerwonymi lampkami jak potwory z dziecięcych snów. Las rósł zawsze blisko.

Kiedy byłem jeszcze mały, dziadek zabierał mnie, kuzynki i kuzynów na spacer. Biegaliśmy pomiędzy drzewami, bawiliśmy się w czterech pancernych (losując, kto będzie Jankiem i Mariusią), budowaliśmy domki z gałęzi, próbowaliśmy uciekać, aby zablądzić (coś za ekscytacja, dorośli będą nas szukać!), a zimą wydeptywaliśmy trasy pomiędzy ogromnymi zaspami i sikaliśmy na śnieg, rysując żółte wzorki. Wtedy wydawało mi się, że to ogromna, dzika przestrzeń. Nie znałem jeszcze prawdziwego boru. Nie wiedziałem też, że mój ostęp strzegł tajemnic ukrytych za zieloną kurtyną.

Tata pracował w Zachemie. Na przedniej kierownicy roweru, którym dojeżdżał do zakładu, umieścił małe siodelko. Wychodził, gdy jeszcze spa-

łem. Wracał późnym popołudniem. Czekałem z mamą przy klatce schodowej. Zatrzymywał rower, sadzał mnie na siodelku i jechaliśmy do lasu, robić „ziiiiiuuuuuuu” na licznych pagórkach. Przejeżdżaliśmy ciemną ścieżką wśród gęstych zarośli, robiliśmy kółeczko lub dwa, skręcaliśmy przy zagajniku, później prosto, mijaliśmy baraki, potem w lewo i do domu. Rower odstawialiśmy do wózkówni i szliśmy na ziemniaki ze śmietaną i mielonego.

Nie zwracałem na początku uwagi na asfaltowy plac w kształcie koła w środku lasu. Dopiero gdy podrosłem, zastanowiło mnie, dlaczego ktoś rozlał na ziemi okrągłą masę. Rodzice opowiadali, że dawniej odbywały się tam potańcówki. Przyjeżdżała orkiestra, rozstawiali swoje instrumenty i po chwili w kniei rozbrzmiewała muzyka. Mieszkańcy Kapuścisk schodzili się tłumnie, siadali pomiędzy sosnami na prowizorycznych krzeselkach albo na trawie. Dokoła rozstawiano stragany. Nieskrępowana fantazja handlarzy znajdowała ujście w oszalamiających konstrukcjach i wystrojach stoisk. Stały tutaj budy z błyszczącymi lampkami, opatrzone wstążkami, bibelotami, chorągiewkami, flagami, cekinami, piórkami, wiatraczkami, brokatem. Wiel-

barwne taśmy ozdobne przytwierdzone do straganów trzepotały na wietrze. Kapela grała, ludzie tańczyli, czuć było smażone kielbaski. Tak było w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Ja się nie załapałem. Ale wyobrażałem sobie tę scenę jak film, bo szybko zacząłem chodzić do kina *Młodość*, które odkryłem na ulicy Janka Kraskiego (dzisiaj Krzysztofa Kamila Baczyńskiego). Najpierw ucześniełem na poranki z mamą, a później już sam, aby popatrzeć na czerwoną szminę kierowniczkii kina, która wpuściła mnie na „Wejście smoka”, chociaż był od osiemnastu lat.

Za moich czasów asfaltowe kółko w lesie ulegało powolnej degradacji. Z roku na rok korzenie drzew wybijały do góry, to tu, to tam wyrastały kępki trawy. Niekiedy wyznaczaliśmy to miejsce jako początek wyścigów rowerowych. Jednak plac systematycznie, stopniowo zanikał. Bez większego żalu z naszej strony.

Po powrocie ze szkoły wpadałem do domu tylko na chwilę. Rzucałem tornister w kąt przedpokoju, zmieniałem buty i biegłem do lasu. Spotykaliśmy się z kolegami na skraju, przy zapuszczonym basenie przeciwpożarowym (traszki wylawiane z zielonej, mętnej wody zdychały w słoikach po kilku dniach). Stamtąd ruszaliśmy dalej krętymi ścieżkami, które po pewnym czasie gubiły obrysy i zacieraly się, aż wreszcie znikaly pochłonięte przez wysoką trawę. Las gęstniał, wydzielal zapach igliwia i żywicy. Słońce grzęzło w koronach drzew i pomiędzy gałęziami; na ziemię docierały złote pasy światła, w których wesoło kąpały się chmary owadów. Wiatr gasł, a dziecięce okrzyki i śmiechy wypełniały ciszę radosną beczelnością.

Zazwyczaj nie zapuszczaliśmy się bardzo daleko. Lubiliśmy chodzić za studnię. (W głębi lasu, na okrągłej cementowej płycie stała duża głębinowa pompa ręczna pomalowana na zielono farbą olejną. Wtedy wydawała się żywą istotą śpiącą wśród jodeł. W ujęciu nadal była woda i gdy energicznie machało się dźwignią abisyński, po chwili wypływała przez nos zimny strumień o metalicznym posmaku). Rozciągał się tam głęboki parów, a za nim ściana zieleni. Warto było podjąć trud i przedrzeć się przez gęstwinę, bo dalej otwierała się nagle, jakby w nagrodę, szeroka aleja z drzewami po obu stronach i kancjastymi, osadzonymi na cokolach, betonowymi kolumnami biegnącymi wzdłuż drogi w regularnych odstępach. Słupy wyglądały na bardzo stare. Nikt z nas nie wiedział, kiedy je postawiono i jakie było ich przeznaczenie. Wydawało się nam, że mają coś wspólnego z wielkim płotem, który w pewnym momencie wyrastał na drodze i zamykał przejście. Ogrodzenie składało się z dwóch równoległych ściągów drutu kolczastego, który bronil wstępu do zakazanej części lasu. Można było wędrować dalej, lecz tylko wzdłuż siatki. Niekórtzy opowiadali, że po drugiej stronie drutu chodzą strażnicy z karabinami, ale nigdy żadnego nie spotkałem. Las za płotem wydawał się bardziej dziki: groźnie wyciągał powykręcane ramiona, czasami garbił się jak starzec, otwierał brunatne dziury między zaroślami, obiecywał zagadkowe pułapki.

Z nabrzmiałej ziemi wykwitwały, jak guzy na ciele, koślawe narośla bunkrów. Do podziemnych korytarzy prowadziły sterczące na powierzchni wejścia przypominające ścięte kominy. Schodziło się po umieszczonych w ścianach pre-

tach jak po drabinie. Ciemność i chłód początkowo budziły grozę, ale później po wielu wizytach z latarką w dłoni poznałem wszystkie zakamarki podziemnych przejść. Tajemnica spowszedniała, obniżając czujność.

Pewnego dnia podczas gry w badmintona z najlepszym kumplem lotka poszybowała za daleko i wpadła prosto do dziury bunkra. Zszedłem pod ziemię i zapaliłem zapalniczkę. (Nosilem pudełko w kieszeni, bo właśnie odbyły się moje pierwsze próby z papierosami Kapitan). Płomień zadygotał z zimna. Lotki nie było. Dotykając palcami gruzłowatej ściany, postąpiłem kilka kroków. Dziwne, że kometka potoczyła się tak głęboko. Dotarłem do rozwidlenia i zatrzymałem się. Kiedy zgasła zapalniczka, usłyszałem zduszony odgłos w ciemnościach: brzmiał nisko i zgniózliwono (do dziś czasami widzę kolory dźwięków). Przez ułamek sekundy pomyślałem, że to kolega woła mnie z góry. Ale gdy rżące bulgotanie powtórzyło się, wiedziałem już, że głos uwięziony był w twardej ścianie, blisko mnie. Zapaliłem zapalniczkę i poczułem, jak coś dotyka moich włosów na potylicy. Delikatne muśnięcie samych końcówek. Tuż przy uchu usłyszałem szorstki, nienaturalny, co przeciwko naturze. Nie posługiwał się słowami, lecz czymś w rodzaju płynnego, skondensowanego dźwięku.

Za plecami pojawiło się coś lepkiego, ciepłego i przerażająco niezrozumiałego. Nie potrafiłem wyrwać swego ciała z bezruchu, ponieważ kończyny zaczęły stygnąć, jakby obumierały. Krew w nich krzepła dość szybko. Funkcje życiowe gasły, ciało dziwnie twardniało. Kończył się czas. Nie pożegnałem się z mamą, pomyślałem i upuściłem zapalniczkę.

Nie pamiętam, w jaki sposób wyostałem się z bunkra. Stałem przed przyjacielem z lotką w zaciśniętej pięści i belkotałem. Po pnju wspinała się wieńcówka, słońce osunęło się na korony drzew, świerszcze stroiły instrumenty.

Oddaję mecz walkowerem, próbowałem żartować kolega. Wróciliśmy do domu. Z balkonu, na który wyszedłem tamtej nocy, bo bałem się zasypiania, widać było czarną plamę drzew i dwa kominy daleko na horyzoncie, mrugające czerwonymi oczami. Od tamtego dnia las zmienił kształt i brzmienie, a głos z bunkra pozostał w środku i, od czasu do czasu, uwierał mnie jak skórka pomidora przyklejona do podniebienia.

Niedawno odwiedziłem rodziców na Generalskiej. Wyszedłem na balkon i odkryłem, że lasu już nie ma. Wycięto tyle drzew, że pozostała żalonna namiastka. Bunkry zasypiano. Płot zniknął; na teren dawnego Zachemu można wejść bez przeszkód. Tajemnica z dzieciństwa przestała istnieć.

## MIKROKOSMOS NAD RZEKĄ, CZYLI ULICA BULWARY 1

Dziś to jedna z najlepszych lokalizacji w Bydgoszczy. Kiedyś o tym miejscu nikt by nie powiedział „prestizowe”. Zmiana wynika jednak nie tylko z ogromnej metamorfozy tej okolicy, ale chyba również tego, co my – jako mieszkańcy miasta – potrafimy bardziej doceniać.

Ulica Bulwary (dawn. Bulwarowa) zlokalizowana jest tuż przy Brdzie, pomiędzy mostem Władysława Jagiełły a ulicą Marcinkowskiego. Co ciekawe, posiada tylko dwa numery: Bulwary 1 i Bulwary 10. Przy tym pierwszym adresie zamieszkałam, mając siedem lat, a więc w 1995 roku, choć wcześniej dobrze to miejsce znałam. W czteroklatkowym bloku od zawsze mieszkali moi dziadkowie od strony mamy. Budynek powstał jakiś czas po wojnie, a przy jego budowie pracował mój dziadek. Przestronne mieszkania z dużą kuchnią, całkiem spore balkony z widokiem na rzekę – oprócz przechodniego salonu nie było na co narzekać. Choć sama okolica w latach dziewięćdziesiątych była raczej niezachęcająca, to przy tym niezmiennie intrygowała. W sąsiedztwie, z jednej strony wysokie, zwykle zaniedbane kamienice piętrzące się na pobliskich

ulicach (Marcinkowskiego, Dworcowej czy Obrońców Bydgoszczy), kilka budynków o efemerycznym charakterze, z drugiej – rzeka, urokliwa śluza czy asfaltowa alejka prowadząca do drugiego bloku na tej ulicy. Adres Bulwary 10 obejmuje również jeden blok, w którym w tamtym czasie mieściła się słynna cukiernia Bulwarowa. Pomiędzy tymi dwoma blokami dziś działa Over the Under Pub (kiedyś Estrada). Na bocznej ścianie budynku w latach dziewięćdziesiątych ktoś namalował sprejem wielkie logo Chicago Bulls, dlatego idąc się tam bawić, mówiliśmy, że idziemy „na byka”.

### „UWAŻAJ NA RZEKĘ”

W tamtym czasie rytm dnia wyznaczała przede wszystkim zabawa, szczególnie w wakacje. Na szczęście to, czego z perspektywy dziecka na pewno na „moich Bulwarach” nie brakowało, to dużego podwórka, które kiedyś wydawało się wręcz ogromne. I pisząc „podwórko”, mam na myśli po prostu przestrzeń pomiędzy blokiem a stojącymi naprzeciwko garażami i kolejnymi zabudowaniami od strony Marcinkow-

skiego. Oprócz dwóch żeliwnych trzepaków i nieogrodzonych śmietników nie było tam właściwie niczego innego. Na szczęście potem wysypana została góra piasku, co pozwoliło rozszerzyć wachlarz zabaw o „żużel”, czyli strzelanie kapslami od piwa, udając, że to zawodnicy bydgoskiej Polonii. Niestety, podwórze wyłożono jakiś czas później kostką brukową, trzepaki zlikwidowano, a teren za urzędem skarbowym ogrodzono, anektując go na parking. Najlepiej bawiliśmy się jednak „w szczycie”, gdzie był nasz ulubiony trzepak. To tam graliśmy w „piwko naprzeciwko”, „ziemię” czy szukaliśmy ślimaków w krzakach rosnących w domu obok. Latem świetnie wykorzystywaliśmy natomiast rosnącą za blokiem trawę, chowając się na kocu w cieniu wysokich akacji.

Bliskość wody – było to zaledwie kilkadziesiąt metrów schodami w dół – sprawiała, że każdy z nas kilkakrotnie w ciągu dnia słyszał ostrzegawcze komunikaty rodziców: „uwaga na wodę”, „nie podchodź do rzeki”, i tym podobne. Wydaje się zresztą, że w latach, w których mieszkałam na Bulwarach, w rzece niewielu mieszkańców widziało jakiegokolwiek atuty. Trudna polska rzeczywistość przełomu wieków sprawiała, że dominowało myślenie praktyczne. Brda potrafiła więc raczej sprawiać kłopot niż zachwycać odbijającymi się w niej zachodami słońca. We wspomnieniach nie mam niestety przepływających przez słuzę kajakarzy, a raczej przymarzające do skutej lodem rzeki łabędzie, które prawie każdej zimy ratowała straż miejska. Często słyszałam, że to właśnie „od wody” w piwnicy są szczury, rzeka jest śmierdząca i zanieczyszczona,

stanowiąc przy okazji największe niebezpieczeństwo dla bawiących się w pobliżu dzieci. Dziś Brdę postrzegam zupełnie inaczej, zastanawiając się, czy to ona w ciągu tych trzydziestu lat tak bardzo się zmieniła, a może bardziej to my potrafimy dostrzec jej prawdziwe oblicze? Bliskość wody to dziś przecież niezaprzeczalny atut, który stał się wręcz hasłem reklamowym Bydgoszczy.

## CODZIENNOŚĆ W KINIE ORZEŁ

„Na Bulwary wjeżdża się od strony Marcinkowskiego” – powtarzaliśmy jak mantrę każdemu, kto miał nas po raz pierwszy odwiedzić, bo wjazd na podwórze wcale nie jest łatwy. Co ciekawe, to właśnie na Marcinkowskiego pracowała moja mama. I to w jednym z najbardziej kultowych miejsc tamtych czasów: kinie Orzeł. W budynku działało też kasyno, które mieściło się na parterze (wejście obok). Nad kasynem natomiast do pewnego momentu urzędowało „kierownictwo”, które stanowiło pozostałości strukturalne po dawnym Okręgowym Przedsiębiorstwie Rozpowszechniania Filmów w Bydgoszczy, gdzie moja mama zaczynała swoją pracę. W kinie naturalnie spędzałam dużo czasu, nie tylko podczas oglądania filmów, ale pomagając sprawdzać bilety czy nakładać popcorn. Wiem, dziś by to nie przeszło (procedury, książeczki sanepidowskie itp.). Pamiętam też, że uwielbiałam siedzieć w kasie, która usytuowana była na niewielkim podwyższeniu, a podpatrywanie, jak mama sprzedaje bilety, niezmiennie mnie interesowało.

Przełom lat dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych był dla kina z jednej



Lidia i Jerzy Dąbrowscy przed blokiem przy ulicy Bulwary 1.  
Fot. archiwum Agnieszki Kucy

strony wyjątkowy, bo przyniósł na ekrany prawdziwe, kasowe hity. Do dziś pamiętam kolejkę, która ustawiła się na premierowe seanse „Harry’ego Pottera”, sięgającą ulicy Obrońców Bydgoszczy. Z drugiej zaś strony, wszystko nieuchronnie prowadziło do upadku małych, studyjnych kin, przegrywających z powstającymi wtedy multipleksami. Na seansach w Orle pojawiała się coraz mniej osób, a infrastruktura kina po prostu się sypała (często w dosłownym tego słowa znaczeniu). I tak w końcu kino zostało zamknięte, a mama na jakiś czas przeniosła się do Pomorzana, który ostatecznie podzielił los Orła. Na nowy rozdział w historii tego miejsca przyszło nam poczekać dziesięć lat,

kiedy przestrzeń zaanektowało Miejskie Centrum Kultury. Wydaje się, że to był również moment przełomowy dla rewitalizacji samej okolicy. Obok śluzy powstał plac zabaw z prawdziwego zdarzenia, teren za „moim blokiem” zamienił się w dobrze zaplanowany skwer z ławkami i schodami, a po trzepakach nie ma śladu już dawno.

Kiedy teraz przechodzę obok Bulwarów, często pojawia się myśl, że przestrzeń ta wydawała się kiedyś o wiele większa. To z pewnością doskonale przykłady tego, jak miejsca naszego dzieciństwa są w wyobraźni „rozciągnęte”, stając się symbolicznym mikrokosmosem, skupiającym wszystko, co ważne, wokół jednego bloku.

## DWORCOWA

Moja kochana ulico...

Od dworca dzieliły nas wtedy trzy przecznice,  
a od gruszkowo-śliwkowych ogrodów nad rzeką...  
tylko kilka plotów.

Dlatego najpierw pokonywaliśmy ceglany mur Dyrekcji Kolei,  
potem przekradaliśmy się przez luźne sztachety,  
żeby piękna Brda przywitała nas wszystkim, czym miała.

—

I od razu mogliśmy się w niej zanurzyć,  
lub choćby dotknąć.

Ręką albo... piętą,  
żeby sprawdzić, jak bardzo jest chłodna  
i czy da się w niej wykąpać.

I podziwialiśmy: barki, pękate szkuty, ładowne berlinki,  
czasem wybałuszaliśmy oczy na ściskające się pary w motorówkach  
albo na brodatych retmanów na długachnych sosnowych tratwach  
i na ich flisackie domki z ogniskami na wodzie...

A pod zasikany przez piwoszy mostem Królowej Jadwigi  
dumnie chwaliliśmy się wędkarską zdobyczą: okoniami,  
ale płótkami... już nie bardzo.

Za to pękaliśmy z dumy, kiedy, przypadkowo,  
trafił nam się sandacz, nawet nieduży.

Na wędkę z leszczyny.

—

Moja najważniejsza, najdroższa ulico,  
nasza nauczycielko,  
powiernico najskrytszych tęsknot  
i dotkliwych rozczarowań,  
przeminięły całe epoki, a ty – jesteś.

Chociaż nas już nie ma,  
bo odeszliśmy daleko.  
Albo w niebyt...  
Nasza mała ojczyzna,  
łaskawa ciotko: moja i najlepszych kumpli,  
ale i... najgorszych wrogów.

–  
Dymiące kominy, szare podwórka, ciemne bramy,  
odrapane mury, które w myślach  
malowaliśmy kolorowymi marzeniami.  
Twoje kamienice, pełne wojennych tajemnic,  
i odpadające elewacje z reklamami malowanymi niemieckim gotykiem.  
I rybna Brda, twoja starsza siostra, z którą nigdy się nie spotkasz,  
choć płynie przy tobie od twojego poczęcia...  
Obie jesteście granicami moich najmłodszych lat.

–  
...ot: witryna przedwojennego szewca z naprzeciwnika,  
który nie tylko łątał nasze stare obuwie,  
ale robił buty na miarę – eleganckie i wyglancowane.  
I niedaleko: atelier starego fryzjera, mistrza,  
dla którego każdy ostrzyżony był „piętnaście lat młodszy”,  
albo niewyobrażalnie pokłuty szpilkami stary manekin  
u krawca nicującego dla mnie garnitur mojego taty.  
I jeszcze ten gniewny pomruk tłumu w sklepie mięsnym Bekon,  
bo nie było w nim... nawet kaszanki.  
Nawet na kartki.  
Bo nie było w nim właściwie nic.  
Za to obok, w spożywczym, brązową melasę buraczaną  
sprzedawali z beczki na wagę, żeby udawała sztuczny miód...  
I przypominała, że gdzieś tam istnieje miód prawdziwy...

–  
Co rano wiekowy, pamiętający niemieckiego kajzera konny furgon,  
ze skacowanym woźnicą na koźle, rozwożąc pieczywo,  
budził nas zapachem chleba sączącym się w okna naszych kamienic.  
A rodzice cierpliwie tłumaczyli,  
że Bydgoszcz to co innego niż tamten Bromberg  
i że domy zamiast przy Albert-Forster-Straße stoją teraz przy Dworcowej.

–  
A my, wczesnopowojenni,

byliśmy Indianami, muszkietierami, rycerzami, kowbojami...  
nawet gangsterami.  
Tylko nikt nie chciał być Krzyżakiem, Niemcem...  
I „rządziliśmy” nią, naszą ulicą:  
królowie, władcy, szeryfowie...  
jak w kinie i w powieściach.  
Nawet milicja nie zawsze miała pojęcie o naszych sprawkach.  
Ale za to my też... nie mieliśmy wtedy pojęcia,  
że jeszcze niedawno, „za Niemca”, w którejś z naszych kamienic  
(może w mojej?)  
mieszkał młody niemiecki pisarz Heinrich Böll,  
późniejszy noblista.  
I wielu innych porządnym ludzi.

–

Tylko... że wtedy i on, i wszyscy jego rodacy  
byli dla nas potworami,  
parszywymi Niemcami, mordercami...  
Wtedy i jeszcze długo później.  
Wtedy.  
Bo... chyba nie teraz i nie wszyscy.

–

My, z podwórek Dworcowej,  
bywało, że laliśmy tych z Matejki i Lipowej.  
Zwłaszcza tamtych zza Buga,  
tych... obcych, co przyszli ze Wschodu.  
Bo nie wszystko rozumieliśmy z ich śmiesznej śpiewnej mowy.  
I – innego niż nasze – zachowania.  
Naszymi bastionami były mury Dyrekcji Kolei i ogrody nad Brdą,  
a wsparciem – sojusznicy z Marcinkowskiego, ze Śniadeckich  
albo z Sienkiewicza.  
Rzadziej ze Zdun i z Chrobrego.

–

Za to tamci, wschodni, mieli sztamę ze swoimi ze Ślusarskiej,  
gdzie chyba było ich najwięcej,  
i czasem dawali nam w kość.  
Jednak zaraz potem my też dawaliśmy im w... dupę,  
w bitwach znaczonej po obu stronach fioletowymi siniakami.  
Ale tylko do pierwszej krwi.  
Honorowo.

Ale dziś, po tylu latach, wydaje się to głupie i śmieszne.  
 Bo podobno niektórzy z nas właśnie wśród tamtych „obcych”  
 znaleźli później swoje żony.  
 A ich chłopaki też chyba spodobali się paru naszym dziewczynom...

–

Dziś, kiedy od czasu do czasu oglądam ciebie, moja kochana ulico,  
 widzę, jak bardzo się... skurczyłaś.  
 Bo stałaś się niezbyt szerokim, zwykłym deptakiem,  
 z wąską jezdnią.  
 A tramwaje, zamiast jak dawniej dzwoniąc i jadąc wzdłuż ciebie,  
 jeżdżą teraz po nowym moście...  
 Ale zaczarowana kamienica i odrapane podwórko przy Dworcowej 61,  
 gdzie zamknęły się moje pierwsze lata,  
 doczekały się wreszcie remontu.

–

Nad Brdą nie ma już ogrodów i aromatu wykradanych gruszek i śliwek.  
 I nie wróci tamten poranny zapach chleba, bo dawno się rozwiął.  
 Jak dym z berlinek i tratw.  
 Jak wszystko.  
 I nie ma już ani moich kumpli,  
 ani tamtych dziewczyn, naszych pierwszych westchnień  
 do pięknych sąsiadek, dojrzewających jak tamte owoce,  
 przed którymi puszyliśmy się jak bohaterowie z kina.  
 Nie ma cudownych panien, które naszym drżącym rękoma  
 laskawie, albo bijąc nas po gębie,  
 pozwalały muskać swoje owocowe ciała.  
 Bo nie żyją.  
 Albo gdzieś tam, od dawna,  
 są czyimiś babciami i prababciami.

–

Nas też już dawno nie ma na Dworcowej.  
 Starość, jak robi to od wieków,  
 wszystkim nam, gdziekolwiek jesteśmy,  
 albo byliśmy,  
 wystawia rachunek.

–

Ale nasza Dworcowa jest.  
 I będzie.

## ŚRÓDMIEJSKIE KĄTY

Od czasów mojego beztróskiego dzieciństwa Bydgoszcz zmieniła się tak bardzo, że co chwila z nostalgią wspominam miejsca, których albo już nie ma, albo uległy zmianie tak wielkiej, że nie przypominają już tych miejsc z mojej pamięci. Kocham moje miasto takim, jakim się staję, dzieciństwo jednak wiąże mnie nadal mnóstwem wspomnień z bliskimi, przyjaciółmi i miejscami. To właśnie miejsca, teoretycznie tylko punkty na planie miasta, wywołują najwięcej emocji. Stąd ogromna chęć podzielenia się nimi. Być może ktoś w moich wspomnieniach odnajdzie również cząstkę swojej historii?

Moje dzieciństwo przypadło na lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte. Spędziłam je na terenie Śródmieścia, by później wraz z rodzicami przenieść się na rosnące w latach siedemdziesiątych osiedle Wyzyny. Ale od początku!

### ULICA CHOCIMSKA

Moje narodziny i najwcześniejsze wspomnienia związane są z tymi miejscem. Mieszkaliśmy z rodzicami we wspólnym lokalu zajmowanym przez rodziców mojego taty w oficynie nieruchomości przy Chocimskiej 22. Niczym niewyróżniające się podwórze, brudne i pozbawione całkowicie zieleni, było

rajem dla kilkorga wychowujących się tutaj dzieci. Każdego dnia udawało mi się znaleźć jakiś „skarb”, kawałek zardzewiałego drutu, starego drewna, kształtem przypominającego zwierzę, roślinę lub człowieka, albo szklane rurki z mieszczącego się w piwnicy frontowej willi zakładu produkcji ozdób choinkowych pana Webera. (Nie mam pojęcia, czy pisownia nazwiska jest prawidłowa, nie wiem również, jak nazywał się ten zakład i czy w ogóle miał jakąś nazwę. Jako dziecko wiedziałam tylko, że chodzę do pana „Webera” i tyle mi wystarczyło). To właśnie ten maleńki zakładzik był jednym z „cudów” podwórka przy Chocimskiej 22. Pan Weber pozwalał mi odwiedzać go czasem, kiedy w pracowni nie było wiele pracy. Sadzał mnie wtedy na blacie jednego ze stołów, przykładając palec do ust, sugerując wielką tajemnicę, którą należy zachować, i uśmiechał się dobroduszenie. Nie wolno mi było niczego dotykać, ale nie musiałam, byłam wtedy w krainie istnych czarów. Z nogami dyndającymi wysoko nad podłogą, oniemiała z zachwytu obserwowałam, jak dookoła skrzyły się przeróżnych kształtów ozdoby, najpierw przezroczyste, szklane, potem wypełniane srebrną cieczą zaczynały wyglądać jak maleńkie zaczarowane zwierciadła. Na koniec przygląda-



Spacer po parku Ludowym im. Wincentego Witosa. Ja na moim pierwszym rowerze przy nieistniejącej muszli koncertowej. 1974/1975 rok. Fot. Edmund Jeleszyński

łam się, jak zręczne dłonie pracujących tam pań nanosiły pędzelkami kolorowe farby, brokat lub posypki imitujące śnieg. To były święta w samym środku lata, a ja byłam najszcześliwszym dzieckiem w mieście. Mimo konieczności zachowania tajemnicy i tak wszyscy później wiedzieli, gdzie byłam, bo za każdym razem wychodziłam z garścią nowiutkich bombek. Do dziś mam ich jeszcze kilka i kiedy dekoruję wigilijną choinkę, zawsze wspominam cuda z zakładu pana Webera.

Chocimska była w tamtym czasie ulicą brukowaną i nie było na niej prawie żadnego ruchu samochodowego.

Czasem przejechała bryczka albo ciężarówka do znajdujących się po przeciwnej stronie zakładów obuwniczych Kobra. Majestatyczny budynek, zamknięty od strony ulicy pięknym starym płotem o kutyh żeliwnych przesłach osadzonych na murowanych z cegły murkach, oddzielonych również ceglanyimi słupami, jawił się w mojej głowie jako coś bardzo groźnego, ale jednocześnie ważnego. Ogromne fabryczne okna były przez cały rok otwarte i słychać przez nie było nieustającą pracę wielu maszyn, które mogłam sobie jedynie wyobrazić. Poza dźwiękiem zapamiętałam również przedziwne chemiczne

zapachy unoszące się głównie latem nad ulicą. Jednak to ciągle, jednostajny dźwięk maszyn stał się nierozłączną częścią moich wspomnień związanych z Chocimską mojego dzieciństwa.

Częstym zapachem, który mieszał się na naszym podwórku z zapachami z Kobry, był inny, zdecydowanie przyjemniejszy. Niemal każdego dnia nad podwórkiem unosił się słodki, cudowny zapach z pobliskiej, znajdującej się na ulicy Kościuszki, Jutrzenki. Od tego zakładu oddzielały nasze podwórko tylko parterowy dom sąsiadów oraz budynek ówczesnej podstawówki numer 5, zapach więc przy sprzyjającym wietrze był niezwykle intensywny. Za każdym razem próbowałam sobie wyobrazić, co akurat pachnie: wafelki, ciastka czy może czekolada.

Niezależnie od pory roku na naszym podwórku zawsze coś się działo. Oprócz pana Webera, produkującego bombki choinkowe, inny sąsiad, pan Surpyniak, prowadził zakład rzemieślniczy produkujący ozdoby z tłoczonej blachy. To również była dla mnie niezwykła atrakcja. Inną, którą uwielbiałam, było rozwieszanie prania. Dziś ta czynność wydaje się prozaiczna i nudna, dla mnie w tamtym czasie to było prawdziwe wyzwanie. Sznury rozwieszane w poprzek podwórza pod ciężarem rozwieszanego prania uginały się niemal do samej ziemi. Należało je podeprzeć. Służyły do tego specjalne tyczki, które znosiłyśmy z babcią ze strychu. Zakończone były u góry rodzajem haczyka, na którym opierano sznur z praniem. Należało wtedy pod odpowiednim kątem oprzeć tyczkę o ziemię i gotowe. Niby nic, a jaka fantastyczna przygoda. I zapach świeżego prania unoszący się latem nad podwórkiem. Coś pięknego.

Czasem babcia „zlecała mi” inne niezwykle zadanie. Naciąganie firan. Nie wiem, czy dziś ktoś jeszcze pamięta to niezwykle zajęcie. Ogromne połacie wypranych firan z kostkowej koronki należało naciągnąć, by nadać im odpowiedni kształt. Robiliśmy to na strychu. To tam znajdowały się wykonane przez dziadka specjalne drewniane ramy, każda wielkości jednej firany. Wzdłuż każdej krawędzi takiej ramy znajdował się rząd gęsto powbijanych małych gwoździ. Każda rama przed rozpoczęciem naciągania musiała być wyczyszczona z kurzu, którego na strychu siłą rzeczy było zawsze sporo. Na każdy gwoździak należało naciągnąć jedno oczko firany. To było jedno z moich ulubionych zajęć. Babcia już wtedy narzekała na bóle reumatyczne w dłoniach, a moje małe palce dawały radę robić to szybko i dokładnie. To jedno z najprzyjemniejszych wspomnień tamtego czasu.

Zimą na podwórku działo się znacznie mniej. Kiedy jednak pojawiały się śnieg i mróz, wtedy znowu możliwa była zabawa. Jeden z sąsiadów niemal każdego roku w czasie ferii, tuż pod swoimi oknami usypywał ze śniegu rodzaj prostokątnego wału, wypełniał go wodą laną ze szlauchu i tworzył dla nas, dzieciaków, lodowisko. A my, przebiegając z niecierpliwością nogami, czekaliśmy, aż tafla wody zamarnieje, dając nam możliwość przepyszej zabawy. Takie lodowisko utrzymywało się długo, bo i zimy były wówczas inne; było dla nas również tym, czym latem zielona trawa, której na podwórku nigdy nie było: prawdziwym skarbem.

Ponieważ na Chocimskiej mieszkaliśmy w najwcześniejszym okresie mojego życia, rzadko zdarzało mi się opuszczać podwórze bez opieki. Czasy

były jednak chyba znacznie bezpieczniejsze, bo i takie przygody mi się trafiały. Zdarzało się, że babcia w przypływie dobrego humoru, albo po prostu z braku czasu, dawała mi kilka groszy i mówiła: „Leć do kiosku i kup sobie coś słodkiego”. W tym momencie moje oczy musiały płonąć żywym ogniem. Tak, jak już wspomniałam, ruch na Chocimskiej w tamtych latach był niewielki, więc spokojnie mogłam przejść do najbliższego kiosku. Ówczesne kioski to były najczęściej sporych rozmiarów drewniane budki, malowane zazwyczaj na kolor zielony, oszklone z trzech stron, a w nich, w niewielkim okienku, widać było zazwyczaj panią, rzadziej pana sprzedającego przeróżne drobne towary: papierosy, prasę, baterie, czasem piwo (tak jak na Chocimskiej) oraz drobne słodczyce, takie jak oranżada w proszku i lizaki. Właśnie te ostatnie stanowiły powód, dla którego odwiedzałam kioski w tym czasie. Lizaki były różne, okrągłe, na białych plastikowych patyczkach, w przeróżnych kolorach, albo w formie długich białych paluszków, najczęściej w kolorowe paseczki. Te lubiłam najbardziej i zazwyczaj kupowałam je na Chocimskiej, na rogu Kościuszki, w miejscu, gdzie dzisiaj znajduje się restauracja, a właściwie bar Sajgon. Jeśli jednak w „naszym” kiosku nie było moich ulubionych lizaków, to biegłam do drugiego na Gdańską, choć babcia zabraniała mi stanowczo samodzielnych wypraw tak daleko. Drugi kiosk zlokalizowany był przy bramie do fabryki konserw, znajdującej się przy Gdańskiej, u wlotu na „skwer”. „Skwerem” nazywaliśmy fragment dzisiejszej ulicy Kamiennej między Gdańską a Sułkowskiego w czasach, gdy ulicy jeszcze tam nie

było. Były natomiast bocznica kolejowa prowadząca do fabryki konserw oraz Makrum. Znajdował się tam również dość nędznej jakości asfaltowy chodnik i kilka ławeczek, na których co jakiś czas przysiadali seniorzy lub kobiety z dziećmi w wózkach. Moja wyprawa po lizaka była jak szaleńcza przygoda podsycana niepokojem, że babcia narzeczy, bo zniknęłam na zbyt długo. Dlatego, aby uspokoić własne sumienie i mieć usprawiedliwienie, że tak właściwie na Gdańską „prawie nie weszłam”, wybierałam skrót, a właściwie alternatywną drogę. Ruszałam biegiem ulicą Kościuszki w kierunku bramy do szkoły. Mijałam ją, następnie mijałam kolejne, coraz niższe budynki, by dotrzeć do Jutrzenki, którą również mijałam, bo po chwili znaleźć się na ścieżce wzdłuż torów bocznicy kolejowej, prowadzących wprost na przejście dla pieszych na Gdańskiej przy szlabanie, który się tam wtedy znajdował, a który zamykano na czas przejazdu pociągów. W ten sposób na ulicy Gdańskiej byłam nie dłużej niż kilka minut i w moim mniemaniu babcia nie miała powodów do złości, gdyby jakimś cudem dowiedziała się, że w ogóle tam byłam. Zwykle jednak się nie dowiadywała.

Często jednak babcia miała czas, by zabierać mnie ze sobą na niewielkie zakupy albo krótki spacer. Wtedy zawsze zachodziłyśmy na rogala. Nie byle jakiego, bo właściwie nie były to tradycyjne rogale, o kształcie zarezerwowanym dla rogali. Jedyne, co je łączyło z rogalami, to ciasto, kształty bowiem miały człiekopodobne. Robiła je tylko jedna chyba piekarnia w pobliżu, i nie była to piekarnia Bigońskich, choć znajdowała się bardzo blisko. Kiedy wychodziłyśmy z domu, zawsze



Spacer w ogrodzie botanicznym. Stoję na tle palmy.  
Okolo 1974 roku. Fot. Edmund Jeleszyński

zadawałam to samo pytanie: „Babciu, pójdziemy do Piekarskich?”. Nie wiem dzisiaj, czy faktycznie tak nazywała się piekarnia, która dawała mi tyle radości. Znajdowała się również na Gdańskiej, kilka kamienic bliżej ulicy Chocimskiej niż narożna kamienica, w której znajdowała się piekarnia z cukiernią rodziny Bigońskich. Ale to właśnie u Piekarskich można było kupić bułki z ciasta rogalowego w kształcie ludzików. Były pyszne, puszyste i posypane makiem, a małe i zupełnie niereprezentacyjną piekarnię wspominam z rozrzewnieniem do dzisiaj, choć nie umiałabym wskazać dokładnie miejsca, w którym się znajdowała.

## GDAŃSKA 79

Miałam jakoś pięć lat, kiedy wraz z rodzicami przeprowadziliśmy się do drugiej babci, na Gdańską 79, do pięknej wiekowej kamienicy, jeszcze wówczas pamiętajęj najlepsze jej czasy. Na parterze kamienicy znajdował się znany wówczas i dość popularny, choć w złym znaczeniu tego słowa, lokal gastronomiczny o nazwie Smakosz. Podobno można tam było całkiem niezłe zjeść, ale głównie wypić, lokal słynął bowiem z trunków wysokokowych, co niejednokrotnie było utrapieniem mieszkańców kamienicy. Obok Smakosza znajdowała się brama wjazdowa z od-



Zima na Chocimskiej. Londynek, 1970 rok.  
Fot. Edmund Jeleszyński

dzielnym wejściem dla mieszkańców. W tym dawnym wejściu dzisiaj znajduje się Jadłodzielnia. Po prawej stronie bramy był fryzjer, w którym czasem strzygła się moja mama, oraz bar mleczny, do którego czasem chodziliśmy na pie-rogi. Babcia z dziadkiem mieszkali na trzecim piętrze, zajmując mieszkanie z balkonem od strony ulicy. Ponieważ w mieszkaniu mieszkała również ciocia z wujkiem i moim kuzynem Markiem, nie był to czas luksusów. Wszyscy razem zajmowaliśmy dwa pokoje. Babcia i dziadek w jednym pokoju z nami, a ciocia z wujkiem i kuzynem w drugim. Nasz pokój podzielony był na pół szafą czy meblościanką dostępną od

strony części pokoju zajmowanej przez babcię i dziadka. My mieszkaliśmy za szafą, ale za to z piecem. W naszej części pokoju znajdowała się wersalka rodziców, dwie części ich meblościanki, ława szwedzka oraz mój tapczan. Granatowe obicie, podglówek, cały tapczan dla mnie, marzenie pięciolatki. Ale nie mieszkanie stanowiło powód mojego szczęścia. Kamienica przy Gdańskiej 79 była w moich oczach pałacem. Wysokie pomieszczenia, obszerna brama wjazdowa, duże i utwardzone podwórko, spora studnia i wysokie oficyny, trzy klatki schodowe i przede wszystkim ogród, a w nim uprawiane przez dziadka moje ukochane żółte tu-

lipany, oszłamiająco pachnące, gigantyczne piwonie, laweczka jak z bajki, schowana pod konarami drzewa. To wszystko sprawiało, że otworzyły się przede mną nowe możliwości dla rozwijania wyobraźni i doświadczania kolejnych dziecięcych przygód.

Dziś wszystkie kamienice Śródmieścia nie mają już w sobie tego czaru, który pozwalał nam, dzieciakom, na w miarę bezpieczne, choć szalone przygody. Dawno temu skończyły się czasy swobodnego korzystania z licznych skrótów przez podwórka, pozwalających na szybkie przemieszczanie się między ulicami Pomorską, Gdańską, Cieszkowskiego i Świętojańską. Kiedyś wszystkie te podwórka były otwarte, miały przejścia z podwórza na podwórze, urocze zakamarki, którymi w prosty sposób można było przejść albo przed kimś uciec. Dawało to również praktycznie nieskończone możliwości przeróżnych zabaw. Uwielbiałam te wszystkie kryjówki, zaułki jak dziuple. Dodatkowo na niemal każdym podwórku był wtedy trzepak, miejsce spotkań dzieciaków w każdym wieku. Na Gdańskiej 79 naprzeciw trzepaka znajdował się niewielki, dwukondygnacyjny budynek, w którym na piętrze mieszkała pani Pierzchalska, staruszka tak zasuszona i przygarbiona, że sprawiała wrażenie niemal nieżywej. To były jednak pozory, bo głównym zajęciem tej niezwykle i po wielokroć przerażającej staruszki było wyrzekanie na bawiące się dzieci, czyli na nas. Z rzadka pani Pierzchalska bywała miła, wtedy można było zauważyć w krzywym uśmiechu spore braki w uzębieniu. Większość z nas jednak unikała kontaktu choćby wzrokowego w obawie, że mogłaby się okazać czarownicą. Owszem, takie

plotki rozchodziły się wśród nas z prędkością światła i pobudzały wyobraźnię każdego dziecka na podwórku.

W tym samym budynku na parterze znajdował się niewielki zakład produkujący wafelki do lodów. Latem pod drzwiami zawsze ustawiał się tłumek dzieci czekających na pracowników, którzy częstowali nas popsutymi w produkcji wafelkami, które nie mogły być sprzedane, bo miały wady: były za grube, dziwnie spuchnięte, popękane albo z dziurami. Pracownicy mogli je wyrzucić, ale nie musieli, bo na podwórku zawsze był ktoś, kto chętnie je zjadał. Gorące jeszcze wafelki były dla nas niemalym rarytasem w tamtych czasach. Czuliśmy się wyróżnieni, mogąc zjeść coś, do czego inni nie mieli dostępu.

Mieszkając na Gdańskiej jako nieco starsza niż w czasach Chocimskiej, dostawałam czasem zadania od rodziców lub babci. Musiałam na przykład „skoczyć po zakupy”. To nie były wielkie zakupy. Zazwyczaj proszono mnie, żebym kupiła mąkę, masło czy twaróg, bo akurat tego zabrakło w kuchni. Biegłam więc po schodach, śpiewając na klatce schodowej, bo głos cudownie się na niej rozchodził i wibrował echem od parteru aż po strych. Na rogu Gdańskiej i Świętojańskiej, w miejscu, gdzie dziś znajduje się oddział jakiegoś banku, był fantastyczny sklep spożywczy Złoty Róg. Wchodziło się doń z narożnika kamienicy, pokonując dwa stopnie, a w środku znajdowały się stoiska z różnymi towarami. Wydawało mi się wtedy, że to był najfajniejszy sklep, ale jakiś czas potem okazało się, że najlepsze prawdziwe delikatesy znajdowały się nieco dalej, również na Gdańskiej, przy placu Wolności, w przepięknej kamienicy Święćcickiego, gdzie dzisiaj jest

restauracja Manekin. Tam dopiero był luksus... Oczywiście z punktu widzenia dziecka. Moja mama wspomina to zupełnie inaczej.

Po warzywa zazwyczaj wysyłano mnie do „Bramy”. Nazywaliśmy tak małej sklepik ulokowany właśnie w bramie przy ulicy Świętojańskiej u wylotu Kościuszki. Codziennie rano otwierano drzwi bramy, a za nią znajdowały się skrzynki z warzywami i owocami. Za cienką szybą, we wnętrzu skleconego naprędce sklepu można było kupić konserwy i inne produkty spożywcze o długim terminie przydatności, bo o ile pamiętam, nie było tam lodówek ani powszechnych dzisiaj lad chłodniczych. Regały zbite były z prostych desek i malowane raz po raz w celu odświeżenia. Dziś taki sklep nie miałby możliwości przetrwać, bo nie dostałby pozwolenia na prowadzenie sprzedaży w takich warunkach. Wtedy zaopatrywały się w nim całe rodziny z pobliskich kamienic, ale i przypadkowi przechodnie. Bardzo lubiłam chodzić do „Bramy”, bo sprzedające tam panie były miłe, zwykle uśmiechnięte, a sklep wydawał się kolorowy i przyjazny.

## PARKI, SKWERY I SPACERY

Weekendowe spacerowanie z rodzicami to było coś, na co zawsze czekałam. Co prawda soboty w moim wczesnym dzieciństwie nie wchodziły w grę, bo nie były dniami wolnymi i rodzice chodzili do pracy, ale zawsze można było wtedy liczyć na jedną z babć. Rodzinną tradycją był natomiast niedzielny spacer po mszy w kościele śś. Piotra i Pawła na placu Wolności. W tym miejscu muszę dodać kilka słów na temat samego ko-

ścioła, bo to on przez wiele lat, zarówno w dzieciństwie, jak i już w latach mojej dojrzałości, był naszym kościołem parafialnym. Przez lata obserwowałam więc, jak zmieniają się kościół i jego atmosfera. Uwielbiałam wnętrza naszego kościoła nie ze względu na jakąś ogromną religijność. W moich oczach ogromna majestatyczna bryła, poprzecinana nawami, kolumnami, kolorowymi ścianami, oraz mnóstwo zakamarków, za jakie uważałam schowane w ramiach transeptu podcienie i położone nad nimi balkony, były niczym pałac z baśni: mistyczne, tajemnicze, nieco straszne, ale z pewnością ciekawe.

W tamtych czasach niedzielne msze gromadziły tłumy ludzi, kościół był wypełniony po brzegi i ogromna rzesza wiernych brała udział w nabożeństwach, stojąc. Dzieci nie stanowiły wyjątku, bo wychowywano nas w przekonaniu, że miejsca siedzące należą się starszym i potrzebującym. Dlatego będąc jeszcze raczej niską osobą, stojąc w tłumie, nie widziałam ołtarza, a mój wzrok wędrował ku górze, na sklepienia i ściany wypełnione kolorowymi motywami przypominającymi rośliny. Fascynowały mnie wyeksponowane pod kopułą portrety świętych, groźnie zerkające w dół na wiernych, ich zamknięte i natchnione zarazem twarze stanowiły zagadkę, ale sprawiały również, że czułam ich mistycznym niemal całym małym ciałem. Kiedy jednak udawało nam się zająć miejsce pozwalające mi widzieć ołtarz, wtedy bynajmniej nie byłam bardziej zainteresowana samym nabożeństwem (przynajmniej, że niewiele z religijnych rytuałów było dla mnie zrozumiałych), ale mój wzrok przyciągały okazały, bogato zdobiony i złożony ołtarz zajmujący sporą część absydy.



Pranie na podwórku przy Chocimskiej 22. 1975 rok.  
Fot. Edmund Jeleszyński

Postać Marii z obrazu zajmującego centralną część ołtarza, w otoczeniu dwóch masywnych postaci patronów kościoła i zamknięta charakterystycznymi, grubaśnymi złotymi kolumnami, pozwalała mi niemal zatracać się w atmosferze nabożeństwa, bez konieczności rozumienia jego treści. Tłum otaczający mnie z każdej strony sprawiał, że niezależnie od pory roku w kościele niemal zawsze było mi ciepło. Zimą

babcią zwykle prowadziła nas w miejsce, gdzie na podłodze znajdowały się wielkie żeliwne kraty. Spod tych krat zimą zawsze wydobywało się ciepłe powietrze, dzięki czemu nie marzliśmy.

Po mszy obowiązkowo spacer. Dzieciaki jak spuszczone ze smyczy psy wybiegały z kościoła do parku Kazimierza Wielkiego, kierując się w stronę fontanny z rybkami. Dzisiaj to oczywiście przywrócona fontanna Potop. Moje

kroki też wiodły najpierw do fontanny, by chwilę później pognać w kierunku stawów i mieszkających w ich pobliżu łabędzi. Łabędzie, jak to łabędzie, bardzo bały się ludzi, ale stanowiły dla mnie obiekt niegasnącej fascynacji, dzięki swoim rozmiarom i bieli, która sprawiała, że już z daleka dostrzegałam, gdzie są. Znajdowałam sobie spokojne miejsce, w którym mogłam, przycupnięta i, jak mi się zdawało, niewidoczna, obserwować te ogromne i dumne stworzenia. Wszystkie ptaki z parku gromadziły się głównie wokół stawu z ptasim domkiem na środku. Był to drewniany domek, z podestem sięgającym wody, umożliwiającym ptakom bezpieczne wejście prosto ze stawu. Zawsze chciałam się dowiedzieć, co dzieje się w domku, ale z oczywistych względów nie wolno było tego sprawdzać i nie wolno było wchodzić do stawów. Wszędzie stały tabliczki z zakazami, a mnie dodatkowo pilnowali rodzice lub babcia, uczulając od małego na szczególne potrzeby dziko żyjących zwierząt.

Po spacerze w parku Jana Kazimierza rzadko wracaliśmy do domu Gdańską. Bliskość innych parków, również ciekawych, zachęcała, w zależności od pogody, do wydłużenia spaceru o pozostałe. Dlatego albo szliśmy do parku Ludowego im. Wincentego Witosa, nazywanego przez jedną z moich babć parkiem „sztywnych” (dopiero po latach dowiedziałam się, dlaczego babcia nie lubiła do niego chodzić i skąd ta nazwa), albo Gimnazjalną w kierunku

ku dzielnicy muzycznej, do parku Jana Kochanowskiego, z którego już bardzo blisko było do domu. Wystarczyło tylko parę kroków, by mijając budynek Teatru Polskiego, idąc Aleją Mickiewicza, dojść do Gdańskiej 79. Z kolei wracając z parku „sztywnych”, robiliśmy jeszcze większe kółko, zahaczając o pobliską, absolutnie przepiękną dzielnicę Sielanka, gdzie również znajdował się, i znajduje do dzisiaj, uroczy skwerek, potem ulicą Asnyka do Alei Ossolińskich, w kierunku ronda Ossolińskich, i tą trasą do Alei Mickiewicza, wzdłuż parku Jana Kochanowskiego (nie można było pominąć kilku alejek w parku), w stronę domu na Gdańskiej.

Oczywistym miejscem spacerów, ze względu na położenie naszego mieszkania, był również stary ogród botaniczny, który uwielbiał mój dziadek. Tajemnicze tuneliki, baseny z roślinami wodnymi, stare, wielkie drzewa i niewielkie rzeźby co rusz pojawiające się wśród bogatej, często egzotycznej roślinności były jednym z moich ulubionych miejsc spacerów, choć rodzice pilnowali, bym w tym właśnie parku zachowywała się „jak dama”, bo to ogród botaniczny, a nie zwykły park, i nie można tam było biegać gdzie się chce. Te nie do końca zrozumiałe dla dziecka zasady sprawiały, że park ten wydawał się jeszcze bardziej niezwykły.

Parków w Bydgoszczy od zawsze jest dużo, więc nie sposób opisać wszystkie. Były one zawsze, i są do dzisiaj, celem wielu moich spacerów.

● HANNA KURKIEWICZ

# MOJE DZIECIŃSTWO PRZY PAŁACU



Mała Hania. Fot. archiwum rodzinne

• HANNA KURKIEWICZ •

Miłość do mojego miasta jest miłością trudną. Ten rodzaj zachwyty i przywiązania ma w moim przypadku charakter punktowy. Jest bowiem ograniczony do ukochanych miejsc i wspomnień z nimi związanych. Szczególne miejsce na mapie tychże zajmuje pałac pruski. Bydgoszcz, jaką pamiętam i do

której wracam, ma twarz tego, który mi ją przekazał i ją ze mną dzielił – mojego dziadziusia. Jestem bydgoszczanką pałacu pruskiego i kilku towarzyszących tej przepięknej budowli ulic. Tylko i aż tyle. Miejscownik: o kim? o czym? O moim dziadziusiu i miejscach mojego dzieciństwa!



My. Fot. archiwum rodzinne

Przyszeli zatem czas na moją opowieść o dzieciństwie przy pałacu pruskim, o miłości mojego dziadka, o jego oddaniu i opiece, o poczuciu bezpieczeństwa, jakim mnie obdarował. Nie o wszystkim czytelnik się dowie, niektóre chwile zostawię dla siebie, bojąc się utraty choć odrobiny magii tamtych dni.

Moje świadome „ja” i pierwsze wspomnienia to mieszkanie przy Dworcowej i on – mój dziadziuś. Moje dzieciństwo ma jego twarz i uśmiech,

w jego spracowanej dłoni mieściła się moja rączka, gdy prowadził mnie do szkoły. A musi czytelnik wiedzieć, że edukację zaczęłam wcześniej niż inne dzieci. Zdecydowano, że pójdę do zerówki rok wcześniej. Tak więc pięcioletnia Hania w towarzystwie dziadka dreptała dzielnie do szkoły przy ulicy Fredry. A była to nie lada wyprawa, bardzo niebezpieczna. Trzeba było przejść przez, już wtedy bardzo ruchliwą, ulicę Dworcową, a potem jeszcze



Przed głównym wejściem do pałacu stoi monument ku czci kolejarzy poległych i pomordowanych w czasie II wojny światowej. Znicz wykonał mój dziadzius. Fot. archiwum rodzinne

uważać na pozostałych „zebrach”. Ale z dziadziusem Hania była bezpieczna. Poza tym, tak na wszelki wypadek, dziadek po drodze uczył, jak bezpiecznie przechodzić przez jezdnię. Nie wiem, ile tygodni tak wspólnie chodziliśmy do szkoły i z powrotem. Pewnego dnia trzeba było iść już bez dziadka, bo babcia potrzebowała opieki, a on nie chciał jej długo samej zostawiać. Wiele lat później dowiedziałam się, że jeszcze długo chodził za mną i obserwował, jak sobie radzę podczas tych, jak się później okazało, nie do końca samotnych wielkich wypraw.

Mieszkanko przy Dworcowej miało swój urok, dwa pokoiki na piętrze niezbyt okazałego budynku z czerwonej cegły. Za to w jakiej okolicy – w sąsiedztwie prawdziwego pałacu i nad Brdą! Moim domem rodzinnym, pałacem i bulwarami opiekował się majestatyczny komin. Do dziś „jego wysokość” góruje nad fyrtelem. A tuż obok domu był park z platanami. Jesienią chadzało się tam zbierać kasztany, zimą lepić bałwana i zjeżdżać na sankach, z góry, prawie do samej rzeki. I diamenty były, prawie prawdziwe, takie z rozbitych reflektorów samochodów. Przy domu cumowała bo-



W odwiedzinach. Fot. archiwum rodzinne

wiem flota ciężarówek nauki jazdy Ligi Obrony Kraju. Tak sobie myślę, że to musiały być diamenty – zwykle szkielka nie świecą przecież w słońcu aż tak.

Pałac pruski to wielka, tajemnicza budowla. Do środka nie można było dzieciom wejść, ale dziadek miał klucze do tajemnego przejścia – samym środkiem pałacu wychodziło się na ulicę Bulwarową. Chodziłam z nim na obchody, sprawdzać, czy wszystko jest w porządku. Dziadek musiał być kimś bardzo ważnym, że miał taki wielki pęk kluczy i mógł sobie tak chodzić ze mną, i otwierać te wszystkie bramy, i zamykać. W ogóle to było nam z dziadkiem razem

dobrze. Codziennie po lekcjach chodziłam do kiosku przy Dworcowej, kupić dziadziusiowi „mały dziennik i paczkę sport”. I bardzo często chodziliśmy na spacer „nad Wołgę” (tak żartobliwie Bernardek nazywał Brdę), sprawdzać, czy pływają w niej raki. I kredki na urodziny od niego dostałam, takie z rysunkiem misia, i zeszyty w niebieskich okładkach. Tylko dziadzius coraz częściej był smutny z powodu choroby babci Andzi.

Dziadek lubił zwierzęta, szczególnie koty. Często żartował, że całe życie spał z kotami i dzięki temu nie cierpi na reumatyzm. Jego ulubionym kotem był Murzyn. Któregoś dnia Murzyn zaginał.

Minęło parę dni, a kot nie wracał do domu. Dziadek bardzo się martwił. Aż pewnego dnia, gdy już stracił nadzieję na odnalezienie przyjaciela, podczas powrotu z pracy, gdzieś z gałęzi drzewa rosnącego nieopodal domu rozległ się koci płacz. Dziadzius spojrzał w górę: na czubku drzewa siedział Murzyn i z wyrzutem patrzył na dziadka. Bernardek pobiegł do domu po drabinę i ściągnął go z drzewa. Wrócili już razem, jak to mieli w zwyczaju – dziadek szedł z Murzynem umoszczonym na barkach. A czarny ogon mrużka laskotał dziadka w policzek.

Dziadzius... Nie mówił dużo, nie oceniał, nie ferował wyroków. Często się uśmiechał do ludzi, do własnych myśli. Był czułym i uważnym obserwatorem życia. Taki jego obraz mam przed oczami: idzie spacerkiem bulwarami, uśmiechnięty, spokojny, ręce założone z tyłu, z kieszeni marynarki wystaje „mały dziennik”. Właśnie mija most Królowej Jadwigi, wietrzyk gładzi jego piękne siwe włosy, a on się uśmiecha. Za chwilę zasiądzie na swojej ulubionej ławeczce i przejrzy gazetę.

Ilekoć coś złego mi się przytrafia, jadę tam, na Dworcową, do mojego pałacu, nad moją Brdę i do mojego parku. Wracam do ukochanych miejsc dzieciństwa. Mój dom jeszcze stoi. Niezamieszkaną, drzwi zabezpieczone kratą i napisem, że to własność PKP i „nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Odwiedzam to miejsce w snach, tylko tak mogę. Ale przed głównym wejściem do pałacu stoi monument ku czci kolejarzy poległych i pomordowanych w czasie II wojny światowej. Ten znicz wykonał mój dziadzius, który tuż po II wojnie rozpoczął pracę jako blacharz „na kolei”. Tu mi wolno przyjść. Tylko szkoda, że jednak nie wypada zaczepiać przechodniów i chwalić się, że no ej, patrzcie, to znicz mojego dziadziusia.

W moim parku rosną jeszcze klonolistne platany, powiernice moich dziecięcych trosk i radości. Przyjmują mnie zawsze jak dobrą znajomą. Szumem liści snują opowieść o czasach świetności tej części bulwarów i pałacu. Kto wie, może kiedyś i o mnie wiatr zaśpiewa w ich gałęziach? Cała jestem stąd – z tych właśnie miejsc. To jest moja punktowa miłość do miasta. Miłość, bez której nie potrafię żyć.

## ŚCIERNISKO, FONTANNA I RÓŻANE KRZEWY

Pamiętam całą drogę, jakby to było wczoraj. I mimo że każdej soboty ta wycieczka wyglądała podobnie, wzbudzała tę samą radość i ekscytację. Rodzice zakładali dresy: mama czerwony, a tato niebieski, z białą lamówką wzdłuż nogawki, wyprowadzali z piwnicy rowery – waganta i damkę – i już było wiadomo, że niedługo pojedziemy na wycieczkę.

Na stole w kuchni stoją już dwa termosy: obiadowy, z szerokim wlewem, czerwony, z solidnym białym, zakręcanym zamknięciem, i mniejszy, węższy, na napoje, który wbrew przeznaczeniu też wypełniano zupą. To były takie prawdziwe termosy, z wkładem szklanym, nie z metalu, jak te współczesne. Tu trzeba było zachować ostrożność przy ich wypełnianiu płynem, aby nie pękły od różnicy temperatur. (Ileż razy to się zdarzało i po cichym zdecydowanym brzęknięciu już było wiadomo, że szklane wnętrze pękło! Na szczęście można było dokupić w sklepie z artykułami gospodarstwa domowego nowy wkład i ocalić termos). Oba wypełnione dziś pomidorówką z ryżem lądują w podróżnej torbie – takiej, jaką zakładano na rowerowy bagażnik – wraz z turystycznymi miseczkami, sztućcami i kubkami. No i jeszcze miseczka dla Żaby,

suczki pinczera o czarnym umaszczeniu, z białym kołnierzem i skarpetkami, której na tej wycieczce także nie może zabraknąć. Obok również włożono chleb, nabożnie zawinięty w bawełnianą chustkę, oraz kilka domowej roboty rogalików z powidłami śliwkowymi. Dla mnie, cztero- może pięcioletniego wówczas dziecka, to ogrom dobrego!

Zabieram tylko różowego misia pluszaka i przez kamieniste, wionące jeszcze porannym czerwcowym chłodem podwórze kamienicy przy ulicy Królowej Jadwigi 21 wychodzę z bratem i rodzicami prowadzącymi rowery na ulicę. Tam jeszcze spokój i rozleniwienie sobotniego poranka. Na chodnikach prawie pusto i tylko nieliczni, zaopatrzeni w wiklinowe kosze i szmaciane torby, zmierzają zapewne na targ przy placu Piastowskim. Słońce, niedawno co przebudzone, muska nas delikatnie swoimi promieniami – wyruszając w trasę wcześniej, unikniemy palącego letniego skwaru.

Najpierw przez kilkanaście metrów rodzice prowadzą rowery idąc – przez most Królowej Jadwigi do schodów prowadzących w dół do nadrzecznego parku obok Astorii. Sprowadzają rowery w dół schodami. Nie pamiętam



Fot. archiwum Moniki Hendzel

dokładnej liczby schodów, ale zejście z nich zajmuje mi trochę. Trzymając się metalowej poręczy, zstępuję krok po kroku po małych schodkach pomiędzy zjazdem dla wózków. Tam czuję się pewniej, niż idąc schodami „dla dorosłych”. Kiedy wszyscy jesteśmy już na parkowej alejce, wycieczka zaczyna się naprawdę!

Tato sadza mnie w wiklinowym koszyku-siodelku przyczepionym na kierownicy roweru mamy. Na bagażniku jej roweru przyczepione są torby turystyczne wypełnione jedzeniem i całym dobytkiem.

A teraz czas na mojego brata, który sadzany jest w wiklinowym koszyku-siodelku, ale przyczepionym na bagażniku roweru taty. W koszyku głębokim, na kierownicy roweru taty, już siedzi Żaba. (Do dziś nie wiem, jak rodzice radzili

sobie z takim ładunkiem i nie wydarzył się nigdy żaden wypadek). Zatem w komplecie możemy ruszać w drogę.

Droga wysypana czarnym żużlem prowadzi wzdłuż Brdy do małego parku na tyłach kompleksu zakładów radiowych Eltra, potem do ulicy Unii Lubelskiej, Mariana Langiewicza i w końcu Zygmunta Augusta. Mijamy ludzi, tramwaje, auta. Świat umyka przed moimi oczyma i wiem, że z każdym kilometrem powoli zbliżamy się do celu naszej wycieczki. Najtrudniejszy moment to przekraczanie kładki przy końcu ulicy Zygmunta Augusta. Wysadzeni z siodłek idziemy schodami na górę kładki. Tato wnosi rowery jeden po drugim, a mama prowadzi Żabę. Kilkanaście metrów kładką i procedura się powtarza – tyle że rowery znoszone są teraz

w dół. I oto już jesteśmy na dole kładki, po drugiej stronie torowiska, gotowi do dalszej drogi.

Torowisko kolejowe po lewej, a ceglany czerwony mur cementarza Nowofarnego po prawej stronie wydają się w moim dziecięcym wyobrażeniu nie mieć końca. Jednakże za każdym razem wreszcie i one się kończą, a droga prowadzi teraz przez przejście przez torowisko kolejowe przy ulicy Zaświat, zakręcające ostro w stronę myślińskich lasów i stacji Bydgoszcz Leśna. Przejście kolejowe odgrodzone jest od torowiska tylko kilkoma barierkami w kształcie litery L. Forma taka chroni przechodniów, wzmagając ich uwagę, zanim przekroczą torowisko. I my ostrożnie przechodzimy. Najpierw rodzice prowadzą rowery, a potem wracają po nas i przechodzimy razem z nimi, z bratem oraz psem. To przejście zawsze wzbudzało moje obawy (istnieje tam do dziś, a barierki pomalowane na biało-czerwono). Szerokie drewniane deski pomiędzy szynami wydawały się solidne, ale same szyny złowrogo świeciły metalicznym blaskiem aż po krzywiznę torowiska w kierunku Bydgoszczy Leśnej. Zawsze zastanawiałam się, czy zza tego zakrętu nie pojawi się nagle pociąg, i przyspieszałam dziecięcego kroku, by jak najprędzej znaleźć się na piaszczystej ścieżce już za przejściem. Tam już było bezpiecznie. Ale nigdy – i tym razem też nie – pociąg nie nadjechał.

Piaszczysta wąska dróżka prowadzi najpierw pomiędzy ogromnymi lipami, z których co roku zbieraliśmy lipowe kwiecie (lip niestety tam już nie ma), na obrzeżu sosnowego lasu. I to jego zapach pamiętam najbardziej. W czerwcowe dni, gdy promienie słoneczne przebijały się przez korony

długowiecznych sosen do leśnego poszycia, ścieżkę spowijała woń żywicy i igliwia, a uszu dobiegało niegłośne skrzywienie sosnowych szyszek. No i te kobierce leśnej trawy, które wydawały się ciągnąć łanami w głąb lasu, jak okiem sięgnąć! Z mojego wiklinowego koszyka-siedzonka widzę to tak wyraźnie! A ścieżka umyka pod kołami roweru, ustępując wkrótce miejsca kamiennym kocim łbom. Las przerzedza się i z nierówności wjeżdżamy na płaski jak stół deptak spacerowy znany jako Czerwony Asfalt (dziś ulica Hipiczna), czyli początek około trzykilometrowego spacerowego traktu ciągnącego się od dzisiejszej ulicy Rekreacyjnej do Jeździeckiej. Nazwa pochodziła od barwy asfaltu, który naprawdę był różowawy. Zapewne od jakiegoś barwnika dodanego do asfaltowej mieszanki, gdy ten asfalt wylewano na początku lat siedemdziesiątych XX wieku.

Jest jeszcze tak wcześnie, że dopiero pojedyncze osoby przechadzają się tym deptakiem, albo mkną na rowerach ku celom własnych podróży. Niektórzy, wyposażeni w wędki, zmierzają zapewne do położonego niedaleko jeziora, inni, z leżakami, na kąpielisko, a jeszcze inni – zwłaszcza z dziećmi – robią przystanki przy położonych między krzewami na poboczu tego deptaku minifontannach. Są to duże kamienie, z których poprzez niewielkie wywiercone w nich kanaliki płynie woda. Szmerze i szeleści, spływając po kamieniach w dół, napełniając powietrze przyjemną chłodną wilgocią i uspokajającym monotonnym szmerem.

My jednak mkniemy deptakiem bez przerw, aż do momentu, kiedy po jego prawej stronie pojawia się ogromna polana. I oto jesteśmy! Hurra! Polana

Różopole! To niemal pięciohektarowa przetrzeźń w środku sosnowego lasu, powstała na początku lat siedemdziesiątych XX wieku w wyniku pożaru młodego drzewostanu leśnego. Pogorzelsko uprzętnięto, a gdy porosło trawą, zagospodarowano je jako miejsce masowych wydarzeń zarówno kulturalnych (koncerty muzyczne), komercyjnych (targi), jak i sportowych (konkursy sportowe) dla rozwijającej się prężnie Bydgoszczy. Obrzeża polany pod koniec lat siedemdziesiątych obsadzono krzewami róż, których słodki przyjemny zapach unosił się nad całą okolicą i od których wywodzi się nazwa polany.

Różopole dla mnie jako dziecka było miejscem niezwykle ciekawym. To miejsce pierwszych spotkań z naturą, lasem, pięknem przyrody. Dziś polana skoszona była zupełnie niedawno, bo w powietrzu, w promieniach czerwonego porannego słońca, jeszcze unosi się delikatny zapach trawy, a idąc, pociągam za moimi małymi butami jej nie w pełni jeszcze wyschnięte źdźbła i kępi. Dla mnie ta skoszona trawa wygląda jak ściernisko. Rodzice prowadzą rowery przez tę trawę, co łatwym nie jest, i tylko Żaba zdaje się przechodzić przez tę trawę bez problemów i z gracją.

Idziemy w kierunku północno-wschodniego skraju tej polany, gdzie wśród niskich zakrzewień ustawiono ławkę (dziś niedaleko tego miejsca wybudowano tętnię). To nasze miejsce na całodniowy wypoczynek. Ławka służyła nam raczej za stół, gdzie umieszczaliśmy jedzenie, a za to siedzieć można było na rozłożonych na trawie kocach. Czasem obozowisko wzbogacał namiot, pod którym nierzadko znajdowaliśmy schronienie w razie deszczu, albo ucinaliśmy sobie drzemkę – zwłaszcza gdy

dołączali do nas na te sobotnie wypadki dziadkowie i ciocia. Rodzice i siostra mojej mamy z Osiedla Leśnego dojeżdżali do nas rowerami zwykle późnym porankiem, jeszcze zanim słońce zaczęło mocniej dopiekać.

Wtedy też były to bardzo intensywne spędzane dni. Beztroska i nieograniczona pomysł! Również posiłek na świeżym powietrzu smakuje wyśmienicie! Aż trudno jednak usiedzieć w miejscu, gdy tyle dookoła ciekawych rzeczy. Cudowne! Eksploracja otoczenia jest jak niekończąca się przygoda: obserwacja koników polnych, szukanie i zbieranie poziomek, bieganie za motylami... Mnie osobiście interesowały rośliny, zatem godzinami mogłam wędrować po Różopolu i szukać kwiatów. Kiedy przy czerwonym asfalcie w wielu miejscach Różopola posadzono krzewy róż i zaczęły one kwitnąć, trudno mi było usiedzieć w miejscu. Przyglądanie się kwiatom i krążącym nad nimi owadom pochłaniało mnie, dopóki nie rozbolały mnie nogi lub dopóki nie wołano mnie na posiłek.

Również dorośli uczestniczyli czasem w tych naszych eksploracjach. Ciocia zabierała nas czasem w głąb lasu, gdzie opowiadała ciekawostki o sosnowych szyszkach, mrowisku czy leśnych zwierzętach. Ileż razy po tych opowieściach marzyłam, że z leśnych ostępów wylaniają się pasiaście młode dziczki, brązowe sarny o wielkich oczach lub kolczaste jeże... To była jednak tylko moja wyobraźnia. Za to zbieranie jagód i poziomek i nawlekanie ich na źdźbła trawy – wyglądały jak korale – oraz przetrząsanie krzewin, trawiastych łąnow i mszystych poduszek w poszukiwaniu grzybów było zajęciem frapującym i całkowicie pochłaniającym moją dziecięcą uwagę. W letnie upały wędrowaliśmy nie-

kiedy nad pobliskie jezioro. Wprawdzie woda była tam mętna od tych wszystkich pluskań i podskoków rozradowanej dzieciarni, ale cóż to czyniło w obliczu cudownej ochłody i chwil szaleństwa!

Czasami szła też z nami na spacer babcia. To od niej nauczyłam się nazw i zastosowania wielu ziół. Jej lekcje o krwawniku, dziurawcu czy kocance pamiętam do dziś. Nachylałyśmy się z pietyzmem nad każdą roślinką, dotykałyśmy liści i wąchałyśmy kwiaty, co ułatwiało ich identyfikację, a w mojej pamięci wyryło wspomnienia, których nawet przemijające lata nie są w stanie usunąć.

Z dziadkiem czas mijał najczęściej na bardziej stacjonarnych zajęciach: słuchaliśmy jego opowieści z czasów wojny albo audycji z radia na baterie, które nieraz zabierał ze sobą. Czasem liczyliśmy stada owiec, którymi były szyszki. I biegaliśmy na obrzeże lasu, by znaleźć nowe „owce” do naszego stada. Sosnowe szyszki były owcami, ale ten, kto znalazł szyszki świerkowe, znajdował barany.

Jednak najbardziej spektakularnym wydarzeniem podczas naszych wizyt na Różopolu było uruchomienie fontanny znajdującej się nieopodal naszego sobotniego obozowiska. To było wydarzenie! Na pierwszy rzut oka ta fontanna zachwycała i przerażała zarazem. Z jej centrum, jak z jakiejś wypełnionej wodą ogromnej wanny, wystawały wprost w niebo kilkunastometrowe drewniane bale. Kiedy fontanna była czynna – a to zdarzało się niezwykle rzadko – z tych bali spadały rześystym deszczem kropelki wody. Wtedy biegaliśmy z bratem dookoła fontanny i łapaliśmy te krople z dziecięcą radością i zaangażowaniem. Niekiedy mogliśmy wejść też do fontanny – kiedy rodzice sprawdzili sami, czy

nie leżą w wodzie jakieś niebezpieczne przedmioty, o które moglibyśmy zranzić stopy. Woda sięgała nam po kolana, czyli była zaledwie na kilkanaście centymetrów głęboka. Brodziliśmy zatem w wodzie bez znużenia, aż w końcu rodzice wywoływali nas z tej wody, byśmy zanadto nie zmarzli. Wtedy zajmowaliśmy się czymś innym, równie interesującym.

Obserwowanie studzienki, do której spływała woda z fontanny, oczyszczając się, by powrócić znów kropelkami z wysokich bali, było jednym z tych ciekawych zajęć. Było coś niesamowitego w tym obfitym spływie wody i nieprzerwanym szumie, co przyciągało i zajmowało nas godzinami. Wrzucaliśmy czasem patyki i liście do fontanny, by obserwować ich nieuchronną drogę do tej studzienki i umieszczonej w niej metalowej kratki, oczyszczającej wodę ze wszystkich nieczystości. Niezależnie od tego, jak daleko od studzienki wrzuciliśmy te przedmioty, i tak po czasie zawsze do niej spływały. Nieuchronność tego była fascynująca!

Gdy świat dookoła jest tak zajmujący i interesujący jak na Różopolu, czas mija niepostrzeżenie. Zatem po małym podwieczorku zaczynamy pakowanie. Powrót do domu mija znacznie szybciej niż droga na Różopole. Może to tylko wrażenie, a może to tylko efekt zmęczenia. Część drogi przysypiam, bo obrazy zmieniają się niechronologicznie, i nagle już jesteśmy na moście Królowej Jadwigi. Dziecięce zmęczenie powoduje, że kąpiel mija dziś szybko i sprawnie, a bułka z mlekiem na kolację znika w mgnieniu oka. Jeszcze „Reksio” na dobranocę i dzień kończę, zapadając w sen i marząc o kolejnej wycieczce na Różopole. Jakiz to był cudowny dzień! Już nie mogę się doczekać kolejnego razu!

## ZIELONY KRÓLIK NAD OSIEDLEM LEŚNYM

Topografia Bydgoszczy mojego dzieciństwa ogranicza się do długości ulicy Gdańskiej. Mniej więcej w jej połowie, na rogu Dwernickiego, na Osiedlu Leśnym, dokładnie naprzeciwko koszarów spędzałam każde ferie i każde wakacje lat dziewięćdziesiątych. A wycieczki tramwajem do „miasta”, czyli najczęściej w okolice placu Wolności lub w przeciwnym kierunku – do Myślęcinka – wyznaczały krańce mojego dziecięcego wyobrażenia o Bydgoszczy. Dziadkowie mieszkali w przestronnym, wysokim mieszkaniu na parterze. Północno-wschodnie okna wychodziły na ogrodzony porządnym płotem sztab wojskowy, południowo-zachodnie – na spore podwórze z trzepakiem. W lecie słońce wpadało na balkon, rozgrzewając betonową podłogę z pęknięciem, które budziło fascynację mojego kilkuletniego umysłu. Lubiałam siadać na ciepłym betonie i zza czerwonych pelargonii obserwować okoliczne bepańskie koty.

Babcia i dziadek byli lokatorami szanowanymi przez wszystkich mieszkańców kamienicy. Cóż, mieli bodaj najdłuższy staż w tym miejscu – sprawdzili się na początku lat pięćdziesiątych, dziadek był wówczas wojskowy. Wyobrażam sobie, że to niemal

stumetrowe mieszkanie było wtedy ogromnym luksusem dla małżeństwa z dwoma synami (wkrótce na świecie pojawił się trzeci – mój tata, urodzony w jednym z pokoi na Gdańskiej). Jasne pokoje z wielkimi oknami, duża kuchnia ze spiżarnią, tak zwana służbówka (to słowo w języku babci musiało pochodzić jednak z mieszczańskiej przedwojennej nomenklatury). Ciężkie meble ocalone z niewielkiego przedwojennego majątku zasiedliły nowe lokum razem z nimi. Stopniowo przybывało tradycyjnych „kryształów” na kredensach, skromnych polskich pejzaży na ścianach, wersalek do spania dla synów i meblościanek do odrabiania lekcji. Froterowany przez dziadka ciężką froterką z barchanową szmatą dębowy parkiet dotrwał do moich czasów w stanie doskonałym – w niektórych miejscach wydawał tylko charakterystyczne westchnienia starych drewnianych klepek.

W kuchni nadal stał stary piec na drewno, choć teraz, przykryty kawałkiem zielonego linoleum, pełnił już tylko funkcję dodatkowego miejsca do przygotowywania potraw.

Najbardziej staroświeckim miejscem była jednak łazienka – wielka emaliowana wanna na nóżkach budzi-



Mój trzynastoletni tata z moją babcią obok szkoły muzycznej, 1968 rok. Fot. archiwum Karoliny Kolinek-Siechowicz

ła we mnie respekt. Podczas kąpieli w niej starałam się trzymać z daleka od „czarnej dziury” – miejsca z obitą białą emalią, podsycającego moją wyobraźnię najstraszniejszymi wizjami. Obok stała pralka, która pojawiła się tu nie tak znowu dawno. Wyparła umywalkę, której w ogóle w łazience nie było, a ujęcie wody musiało być skierowane rurą prosto do wanny. Pranie było więc procedurą, której nie dało się nie zauważyć, choć babcia twierdziła, że pralka to największy wynalazek ludzkości, i z rozbawieniem powtarzała: „Pralka

pierze, a ja leżę”. Wcale jednak nie leżała, tylko po skończonym praniu wspinała się na drabinkę, żeby powiesić bieliznę na sznurkach zawieszonych wysoko pod sufitem. Drabinka przydawała się też do sięgania „na pawlac” i do licznych pakunków zgromadzonych na szafach. Zresztą nawet dziadek, mężczyzna słusznego wzrostu, potrzebował specjalnej tyczki, żeby zasłonić we wszystkich pokojach zasłony.

Życie na Osiedlu Leśnym toczyło się wokół małych sklepików, do których babcia i dziadek wyruszali – naj-

częściej osobno – każdy ze swoim wózkiem na zakupy. Minidelikatesy musiały być całkiem blisko, bo docieraliśmy tam krótkim spacerem. Ciemny sklepik pełen produktów upchanych na regałach, wszyscy się znali, dziadek żartował z ekspedientkami. Chleb kosztował złotówkę. Chleb z makiem 1,20 zł. W lodówce – twarożek grani. Pomidory. Rzodkiewka. To, co potrzebne. Nieopodal była pasmanteria. Babcia kupowała tam pończochy do pasa (nigdy nie przestawiła się na rajstopy). Raj guzików, kolorowej muliny, wstążek, królestwo dla mojej wyobraźni. Chodziło się też do „rzeźnika”, chociaż w tych czasach szyld ogłaszał raczej sklep mięsny. Charakterystyczny zapach sklepu z surowizną raczej mnie odstręczał, ale grzecznie stawałam z babcią w kolejce. Część spraw załatwiał się „za torem” – musiało to być chyba za skrzyżowaniem z ulicą Kamienną. To było już daleko. Daleko był też kościół Wizytek, plac Wolności i Empik naprzeciwko hotelu Pod Orłem. Tam jeździło się jedynek albo dwójką. Morelowy bilet za 20 groszy kasowałam w zgrzytającym brązowym kasowniku z pomarańczową paszczą.

Jechałyśmy z babcią kilka przystanków i nagle robiło się wielkomięjsko. Najbardziej lubiłam wycieczki na plac Wolności i do parku Kazimierza Wielkiego. Fontanna nie została jeszcze wtedy przywrócona do swej dawnej postaci z wyrzeźbionym niedźwiedziem. Na każdym z rogów były za to wspaniałe betonowe ryby z zielonymi oczami. Wszystkie dzieci uwielbiały bawić się w zatykanie im buzi i tryskanie strumieniem wody na siebie i przechodniów. I oczywiście bieganie wokół fontanny. Ewentualnie siedzenie z babcią

na ławce i patrzeć na panów grających w szachy, na gołębie, na inne dzieci z babciami. A potem lody smerfowe z budki. Chwile największej bez troski i szczęścia.

Najlepsze lody na świecie, ale nie kulkowe, tylko tak zwane „włoskie”, były też w budce, którą mijano się w drodze na stadion, czyli do parku Zawiszy. Śmietankowe, pięknie zakręcone, szybko topiły się w cienkim wafelku, ale smakowały niezmiernie. Żadne lody „kręcone” z innych miast nigdy im nie dorównały (choć dziś wiem, że podobne wciąż jeszcze można zjeść w Kawiarce w Łącznej koło Suchedniowa). W sierpniu na betonowych chodnikach wokół ogromnego terenu sportowych atrakcji kulały się dojrzałe mirabelki. To był zapach końca wakacji. Ale zanim się skończyły, można było udawać sprinterkę na bieżni, wskakiwać w piach na skoku w dal, przemierzać ogromne trybuny, a potem wystąpić w amfiteatrze. Stadion był zwykle prawie pusty, ale za to powszechnie dostępny, mogłam więc do woli testować jego wspaniałą infrastrukturę.

Jeszcze dalej był Myślęcinek, tam też można było dotrzeć tramwajem. Samo wesołe miasteczko dzielił od przystanku tramwajowego całkiem długi spacer. Po drodze można było zbierać szyszki, z niecierpliwością wypatrując pierwszych karuzeli. W końcu docierało się do urokliwego starego lunaparku w przyjemnym sosnowym lesie. Najbardziej lubiłam karuzelę z samolotami, ale tylko dziadek był na tyle odważny, żeby ze mną wsiąść i kierować kolorowym aeroplanem, który wznosił się w górę i opadał w dół. Babcia patrzyła z dołu i czasem tylko krzyczała, żebyśmy tak wysoko nie la-



Mój tata obok szkoły muzycznej.  
Fot. archiwum Karoliny Kolinek-Siechowicz

tali. Potem koniecznie łańcuchów. I autodrom – też z dziadkiem! Były jeszcze krzywe zwierciadła, ogromna zjeżdżalnia i oczywiście balony z helem (kiedy zielony królik, już na Osiedlu Leśnym, wybrał los podniebnego podróżnika, musieliśmy wracać po drugi balon, tym razem różowego kota). Była też tradycyjna mała karuzela ze zwierzętami i parę atrakcji, które zapewne wyzwalały więcej adrenaliny, ale w ich stronę nawet nie patrzyłam. Czasem jeździliśmy też do zoo, skąd najlepiej pamiętam niedźwiedzie, dziki i liczne zwierzęta kopytne.

Z czasem w okolicach Osiedla Leśnego zaczęły pojawiać się nowe sklepy – pierwsze dyskonty. Pamiętam, jak otwarto Biedronkę, potem Plusa, dynamika zakupów zupełnie się zmieniła. Ale dziadkowie wciąż najbar-

dziej lubili małe sklepiki, swoje listy zakupów spisywane na tekturkach wyciętych z opakowań po lekach, rozmowy z ekspedientkami i stanie w kolejkach. Należeli do świata, w którym osią życia były kontakty z innymi, relacje oparte na wzajemnych grzecznościach, utartych szlakach i powtarzalności. Z takim światem kojarzy mi się Bydgoszcz mojego dzieciństwa, która wraz ze śmiercią najpierw dziadka, a potem babci, na długo przestała być celem moich podróży. Odcinek Gdańskiej przypadający mniej więcej w połowie jej długości mogłabym pewnie przemierzać z zamkniętymi oczami także i dziś. Może gdzieś nad koszarami unosi się jeszcze zielony królik? Trochę boję się przyjechać, żeby to sprawdzić. Ale na pewno nigdy nie zapomnę.

# VIVAT IV LO! VIVAT KRÓL KAZIMIERZ!

## IV LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE, JAKIE PAMIĘTAM

To była dobra decyzja. Siedemdziesiąt dwa lata temu, na młodym wówczas Osiedlu Leśnym, powstało IV Liceum Ogólnokształcące. Szkoła mieściła się przy ulicy Kaliskiej 10, a uczniami w większości byli przez pierwsze dwie dekady z okładem mieszkańcy Leśnego i okolic. W związku z tym, że licznie wywodzili się z rodzin żołnierzy zawodowych, a dowództwo Pomorskiego Okręgu Wojskowego znajdowało się w nieodległym sąsiedztwie – liceum miało silnego opiekuna, na którego pomoc zawsze mogło liczyć. Okazji ku temu było co niemiara.

Przez pierwsze cztery lata przyjmowano do „czwórki” tylko jedną klasę, wówczas „ósmą”. Wynikało to z braku odpowiedniej liczby pomieszczeń, gdyż liceum dzieliło budynek z podstawówką. Później, gdy dziatwa z klas 1–7 przeniosła się gdzie indziej, a jeszcze później, gdy w latach siedemdziesiątych Polska była „krajem ludzi uczących się”, uzdolnionej młodzieży nagle przybyło. W ślad za tym w jednym roczniku bywało klas od „a” do „f” i liczyły

one nawet 39–40 uczniów! W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych powtórzono ten eksperyment... (w 1993 i 1995 do „g”, a w 1996 i 1998 do „h”). Plonem tej akcji była duża liczba absolwentów: przez dziesięć lat (1974–1983) maturę zdało tyle samo abiturientów, co w ciągu pierwszych dwudziestu lat istnienia szkoły.

Pierwsze świadectwa dojrzałości wręczone zostały w 1957 roku dwadzieściorgu pięciorgu maturzystom, których wychowawcą był polonista Stanisław Gwiazdowski. To były czasy, w których raptem do szczętu (sic!) bydgoskich liceów szła młodzież mająca w planach studia, będące dobrem reglamentowanym, bo ograniczonym niskimi limitami przyjęć na pierwszy rok, i poprzedzone egzaminami wstępnymi. Dziś, gdy szkoły wyższe stały się biznesem, kramem z dyplomami (przede wszystkim te prywatne sięgające po państwowe dotacje), warto przypomnieć, że przed laty uniwersytety, w tym UMK, przyjmowały po trzydziści–czterdzieści osób na poszczególne



Dzień sportu na szkolnym boisku przy ulicy Kaliskiej. Od lewej: Paweł Kazimierczak, Elżbieta Farulewska, Bożena Kolowska, Danuta Marulewska, Krzysztof Leszkowski, Leszek Czajkowski, Maria Nowak, Małgorzata Antonkiewicz. W dolnym rzędzie: Zbigniew Brychczyński, Małgorzata Kłodzińska, Mirosław Konieczny. Zdjęcie z archiwum autora

kierunki. W tej sytuacji student to był rzadki ptak, na ogół pod ochroną, bo wyselekcjonowany. Historia i doświadczenie pouczają, że wbrew marksowskiej teorii materializmu dialektycznego ilość nie przechodzi w jakość, ale cóż, sprawdzanie trwa w najlepsze...

Z punktu widzenia obowiązku kształcenia inteligencji humanistycznej „czwórka” najlepiej wywiązywała się w latach 1964–1965 i 1979–1985. Jak na siedemdziesiąt dwa lata istnienia, to niewiele (inne bydgoskie licea nie są lepsze). Tylko w tym czasie młodzież miała szansę wspiąć się na jedno z trzech wzgórz cywilizacji śródziemnomorskiej – na Kapitol. A tam rozmawiano po łacinie. Dopowiedzmy, że w tej szlachetnej

misji przewodniczkami były: Maria Sidorkiewicz, Izabela Pizarska i Ewa Wyszowska. To dzięki nim ówczesni maturzyści nie byli inteligencją dyplomowaną, żeby nie powiedzieć: kadłubową. Dlatego bijąc w tarabany, wzywam dyrektora IV LO do przywrócenia językowi Wergiliusza i Horacego należnego mu trwałego miejsca w programie nauczania. O abdykacji Benedykta XVI pierwsza powiadomiła świat dziennikarka, która znała łacinę. Bo papież oznajmił o swoim zamiarze w języku Cezara. Znajomość ewokującej skojarzenia erudycyjne i przydającej się na każdym kroku łaciny stała się luksusem. Podarujmy go sobie odrobinę. Łacina uszlachetnia. Klasycznie. C.b.d.o.



Szkolna zabawa karnawałowa, para za parą; od lewej: Małgorzata Kłodzińska – Krzysztof Leszkowski; Bożena Kołowska – Andrzej Bogusławski; Danka Speyer – Jacek Sowiński; Elżbieta Chmara – Zbigniew Brychczyński; Grażyna Górniak – Maciej Korczyński. Zdjęcie z archiwum autora

W 1973 roku, decyzją administracyjną władz miejskich i oświatowych, „czwórka” została przeniesiona na ulicę Gdańską 122, by po trzynastu latach znaleźć się przy ulicy Stawowej na Błoniu, w pomieszczeniach po Szkole Podstawowej nr 29. Budynek na Leśnym był ciasny, z korytarzami bez okien, ze świetlicą urządzoną na drugim piętrze kosztem sal lekcyjnych, ale miał niezłe wyposażone specjalistyczne pracownie do nauki chemii, fizyki, biologii, geografii, zajęć technicznych i gospodarstwa domowego. Intencją przeprowadzek było niewątpliwie polepszenie warunków lokalowych szkoły, lecz w ten sposób unicestwiony został genius loci (dotyczy to oczywiście rocz-

ników 1953–1973). Bowiem szkoła to nie tylko ludzie, ale również mury, z którymi związane są wspomnienia i emocje. Jak choćby te związane z istnieniem w „czwórce” uczniowskiego kabaretu pn. „Uda się, czy się nie uda”, który zrobił furorę także poza szkołą. W sobotnie wieczory na kabaretowych spektaklach świetlica pękała w szwach, występowali utalentowani artystycznie „czwórkowicze”, zabawa była na sto dwa. Również komplet widzów zasiadał popołudniami w świetlicy podczas spotkań z ludźmi kultury, atmosfera wymagała czystych paznokci i wyczyszczonych butów. Szkołę odwiedzali m.in. aktorzy Teatru Polskiego (pamiętam np. Czesława Stopkę) i muzycy filharmonii



Na wycieczce szkolnej. Od lewej: Grażyna Staniszevska, Małgorzata Kuminek, Jacek Sowiński, Janusz Filipiak. Zdjęcie z archiwum autora

zjawiający się w związku z tzw. umuzykalnieniem. Młodzież chętnie chadzała w poniedziałki do Kinoteatru przy ulicy Dwernickiego na projekcje Dyskusyjnego Klubu Filmowego „Rondo”; miesięczny karnet kosztował 10 zł. Zupełnie innego rodzaju przeżycia towarzyszyły porannemu kontrolowaniu przez niektórych nauczycieli przed „budą” tarcz szkolnych, widomego znaku przynależności do korporacji uczniowskiej, które obowiązkowo musiały być przyszyte do rękawa, a nie tylko przypięte agrafką. Ten drugi wariant był dyskwalifikujący.

Na Błoniu „czwórka” jest już trzydzieści dziewięć lat, i o wiele liczniejsze niż z Leśnego grono absolwentów tutaj ma swój genius loci, z którym związane są wspomnienia licealne.

Późno, bo dopiero w 1997 roku, szkoła zdecydowała się na zmianę patrona, który – co tu dużo gadać – nigdy

nie był, bo nie mógł być bliski młodzieży. Zgoła nic lub niecałą prawdę o nim wiedziała, o jakiegokolwiek identyfikacji nie mogło być mowy. Tak więc Lucjan Szenwald poszedł w odstawkę i powędrował na strych historii jako agitator na służbie Armii Czerwonej, zasłużony załogant sowieckich karetek pogotowia ideologicznego i admirał systemu wymyślonego w ZSSR. Cóż, fatalna pertynencja skazała go na niebyt. Zastąpił go król, nie byle jaki, bo uganiający się za niewiastami kobieciarz z Kowala, który w tej pogoni i ksiutach tak się zapamiętał, że męskiego potomka z prawego łoża królestwu zapewnić nie zdążył. Przyczynił się przeto do sromotnego końca kujawskiej linii Piastów na krakowskim tronie. Powie kto, że złośliwości cisną mi się pod pióro. Spokojnie. Ja wiem: zostawił murowaną, morze zasług dla kraju położył,

Polskę unowocześnił, Bydgoszcz miastem uczynił, wszechnicę w Krakowie ustanowił. Długo by jeszcze wyliczać. Lecz nic nie jest w stanie zmienić faktu, że oto król-patron był... analfabetą. Tak jest, ani czytać, ani pisać się nie nauczył, ale za dziewczynami latać to pierwszy był.

Pasjonującą lekturą może być lista absolwentów. W ciągu ponad siedemdziesięciu lat zdało maturę w „czwórce” circa 10.000 osób, może ciut więcej. Kogóż tam widzimy? Liczne rodzeństwa, bliźniaczych nie wyłączając, ojców i synów, maturzystów, którzy po studiach zostali w IV LO nauczycielami. Są także wśród nich ludzie m.in. nauki, biznesu; nie brak polityków zarówno tych przez duże P, jak i pomniejszych, samorządowych. Większość wszakże stanowią tzw. zwykli zjadacze chleba naszego powszedniego, codziennie podpisujący w pracy – jeśli ją mają – listę obecności, bo bez nich, w odróżnieniu od polityków, nie ma życia, zupełnie jak bez wody. Nie da się ukryć, że w gronie absolwentów przeważają kobiety, które – co potwierdzają statystyki – są lepiej wykształcone w Polsce od mężczyzn. Proszę zauważyć, że były lata,

gdy w czterech klasach pierwszych, liczących po trzydziestu dwóch, trzydziestu czterech uczniów, w każdej było raptem dziesięciu chłopaków. Co więcej, na nieszczęście licealistek, bywały w „czwórce” nawet trzydziestosześcioletnie klasy jednopłciowe – żeńskie! (Ich rówieśnicy – często z woli rodziców – musieli mieć w ręku solidny fach, więc byli w technikach, o nieszczęściu, w jednopłciowych klasach męskich!). W ślad za tym na wyższych uczelniach, a zwłaszcza na uniwersytetach, liczbowo dominowały studentki.

Wielkim przywilejem, nie każdemu niestety danym, jest spotykać w całym życiu mądrych nauczycieli, którzy wszakże częściej występują w przyrodzie niż obrazy Vermeera. Chyba wielu absolwentów nosi w sercu wspomnienia o ludziach, którzy ich twórczo zainspirowali, pomogli rozwinąć talent, otworzyli drzwi do nieznanego świata, lub zwyczajnie i po prostu byli skuteczni w procesie dydaktycznym. Nie brakowało ich w IV LO. Współ ze sztubakami tworzyli ponadsiedemdziesięcioletnią historię szkoły. Przed nimi nigdy niekończący się mozół uczenia cudzych dzieci.

## JAKĄ BYDGOSZCZ PAMIĘTASZ?

Moja przygoda z Bydgoszczą zaczęła się w 2003 roku, w czasach, gdy nawet Wrocław był uważany za prowincję. Przyjechałem na studia do miasta, które znałem jedynie z nazwy, wiedziałem, że takowe w Polsce jest. Nie pamiętam, czy wiedziałem nawet, w jakiej części Polski leży. Przecież tego siódmego miasta w kraju nie było nawet na mapie pogody (w przeciwieństwie na przykład do siedemdziesięciotysięcznych Suwałk).

Jestem tu więc na początku XXI wieku, przed Unią, i co widzę? Biedne miasto, szare, robotnicze, gdzie na terenach dzisiejszej (świetnej!) Wyspy Młyńskiej, pomiędzy barakami, na tle budowanej chyba dwadzieścia lat opery, pije się tanie wino. Starówka? Jest, głównie z nazwy, kwadrat ze wstrętną Kaskadą na czele, gdzie w ogóle nikt się nie spotykał, to jest nikt nie traktował tego miejsca jako punktu spotkań. Rynek nie istniał, był pustym placem. Zjeść coś, wypić, zwiedzić? Nie ma nic. Co najwyżej warto zobaczyć największy park miejski w Polsce, Myślęcinek. Przez lata słuchałem, że to „Tyfusowo”, „Brzydgoszcz”, miasto, którego największą atrakcją była bliskość piernikowo-gotyckiego Torunia. I fakt: wówczas to była prawda.

Mijały lata, wojenka toruńsko-bydgoska trwała, były nawet billboardy w Warszawie, informujące o tym, że Bydgoszcz jest większa od Torunia (co jest śmieszno-straszne de facto), było przehandlowanie (rzekome) bydgoskiej Akademii Medycznej przez ówczesnego prezydenta miasta, mniej lub bardziej udane reklamy i product placementy, w tym serial „Prawo Agaty” czy film „Magiczne drzewo”. Pojawiały się też inne błędy ukazujące zupełną na tle kraju ignorancję i anonimowość miasta (sławetne słowa startującego w wyborach do europarlamentu z tego miasta Jacka Rostowskiego o „Bydgoszczu”). A jednocześnie pojawiają się galerie handlowe „z prawdziwego zdarzenia” oraz marki, które wcześniej omijały miasto szerokim łukiem ze względu na jego słaby potencjał. Teraz to może brzmieć komicznie, ale lata temu to, czy Ikea pojawi się w Bydgoszczy, elektryzowała wszystkich, w tym najwyższe władze w mieście, każdy rozmawiał o tym sklepie i zastanawiał się, czy powstanie. Powstał.

W tle postępuje modernizacja, budowa dróg, estakad, przemiany uczelni, napływają dotacje unijne i inwestycje, powstają doskonale zrewitalizo-

wane Jatki. Następują również zmiany postaw mieszkańców. Miasto pojawia się na mapach pogody, TVN Warner Bros. Discovery instaluje swoje kamery przy marinie (co nie jest – oj, nie! – bez znaczenia). Rewitalizowane są ulice i całe kwartały. Nawet prezydent Bydgoszczy zaczął się pojawiać się w mediach ogólnopolskich (znamienne), mimo że mylono jego nazwisko (Burski vs. Bruski) i mimo że Karol Strasburger w „Familiadzie” sądził, że Bydgoszcz zasługuje co najwyżej na burmistrza. Pojawili się deweloperzy, którzy stwierdzili, że warto budować w tym miejscu, czyli uznali, że miasto ma potencjał. Za nimi stanęli inwestorzy, nowe firmy i miejsca pracy, wzrost wynagrodzeń (które i tak są daleko poza lokomotywami samorządowymi, ale zmiana jest i tak miłowa). Bydgoszcz zyskuje również na znaczeniu jako ważny ośrodek NATO.

Jestem absolwentem Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, dlatego kilka słów poświęcę tej uczelni, rozwój której nieodłącznie wiąże się z rozwojem miasta. Zaczynałem studia na Akademii Bydgoskiej, która wkrótce przekształciła się w UKW. Wtedy były bodaj cztery wydziały, nie była to najlepsza uczelnia w Polsce, ale z aspiracjami. Dopiero zaczął się wyścig o przekonywanie profesorów z zewnątrz do pracy na uczelni, uzyskiwanie uprawnień do nadawania stopni, umiędzynarodawianie. I tak mijały kolejne lata, które pewnie dla UKW łatwe nie były, tak pod kątem walki ze stereotypami, jak i finansów, by skutecznie budować potencjał uczelni. A dzisiaj? Siedemnaście wydziałów, siedemnaście uprawnień do nadawania stopnia doktora i sie-

demnaście do habilitacji. Rozwój, jaki się dokonał, napawa (mnie) dumą.

Dziś Bydgoszcz to naprawdę fajne miejsce (wciąż niedoceniane, w tym marketingowo i promocyjnie). Czuć, że jest to duże miasto, które intensywnie się rozwija. Dlatego lubię tutaj wracać, szczególnie wiosną i latem, przejść się po starym mieście, Gdańskiej, Wyspie Młyńskiej, ale również przejechać się po prostu po mieście w oddaleniu od centrum, żeby dojrzeć rozwój. I nie mogę wyjść ze zdziwienia, jak to miasto się zmieniło na plus! Dziś najnowszym tego przykładem jest kampus Akademii Muzycznej.

Jest to miasto, które zdecydowanie warto odwiedzić. Jak ktoś był tam dziesięć lat temu lub w ogóle nie był, to tym bardziej warto! Coraz lepsze uczelnie (które, co oczywiste, mając kilkadziesiąt lat, nie mogą dziś rywalizować na przykład z Uniwersytetem Jagiellońskim), dobre knajpy, klimatyczne uliczki, miejsca, w których warto kręcić filmy (na przykład „Wesele” Wojciecha Smarzowskiego, kręcone m.in. w Starym Fordonie), Wyspa Młyńska, Opera Nova, Filharmonia Pomorska z najlepszą akustyką w Europie.

Co ważne, odwrócił się trend. Gdy Bydgoszcz przestała walczyć z Toruniem o miano największej prowincji w rzekomej metropolii kujawsko-pomorskiej, dopiero wtedy zaczął się jej rozwój. Toruń pozostał średnim miastem z Kopernikiem i piernikiem, no i miliardem złotych długu, gdzie w 2021 roku prezydent miasta na przystanku tramwajowym otwiera z wielką pompą pierwszy w mieście... biletomat. A Bydgoszcz? Rozwija się niezależnie, w swoim tempie, budząc zazdrość,

a niekiedy wściekłość sąsiadów. I, co najsmieszniejsze, czy też: co jest ironią losu, okazało się, że największą atrakcją Torunia jest bliskość Bydgoszczy.

W Toruniu mieszkałem dziesięć lat, w Bydgoszczy sześć. W żadnym z tych miast nie mieszkam, co nie zmienia faktu, że oba darzę sentymentem. Tyle że w Toruniu mogę pobyc jedną noc i wszystko mam zwiedzone, zatem atrakcją podczas pobytu w regionie zostaje wyjazd do Bydgoszczy.

Uważam za bardzo dobrą decyzję prezydenta Bruskiego, by unijne sta-

tystyki dotyczące Bydgoszczy dotyczyły tylko tego miasta, bez Torunia. By pokazać faktyczny potencjał stolicy Kujawsko-Pomorskiego.

Mieszkańcy często nie doceniają i/lub nie dostrzegają zmian, jakie zaszły w mieście. Ale z oddali widać ogromny rozwój, który aż dziwi, wzięwszy pod uwagę okres raptem kilkunastu lat. Ja sam teraz jestem orędownikiem Bydgoszczy i zawsze, gdy w rozmowach pojawia się pytanie: „dokąd jechać na weekend?”, odpowiadam bez wahania: „do Bydgoszczy!”.

# ZANIM DAWID PODSIADŁO ZAŚPIEWAŁ, ŻE NIE MA FAL

## BYDGOSKI FALOWIEC NA OSIEDLU BŁONIE

Miałam trzynaście lat, kiedy z rodziną po siedmiu latach mieszkania poza Bydgoszczą przeprowadziliśmy się z powrotem do miasta. Wybór nowego miejsca zamieszkania padł na Błonie, a dokładniej – na falowiec. Budynek przy ulicy Ludwika Waryńskiego 51 robił wrażenie. Mieszkałam tam dziewięć lat, co jest moim najdłuższym pobytem w jednym miejscu. Może dlatego mam taki sentyment do osiedla Błonie, a może po prostu to atrakcyjne do życia miejsce.

Mieszkanie na czwartym piętrze oznaczało zarówno ładne widoki, jak i częste wspinaczki po schodach. Jednak gdy zeszło się już na dół falowca, w lokalach usługowych budynku było wszystko. Choć lokalny rynek oferował wiele różnorodnych towarów, na najniższej kondygnacji było wszystko, co potrzebne do życia.

Sklep spożywczy, osobno warzywniak, sklep papirniczy, fryzjer, kiosk, apteka i oczywiście bar mleczny Mikrus. W sumie do pełni samowystarczalności z typowo usługowych punktów brakowało tylko poczty.

Bar Mikrus – bar mleczny, kilka kroków od mieszkania. Chłodnik, najbardziej kultowa potrawa, którą jadłam w sezonie litrami. Apetyt rósł w miarę jedzenia, gdy nie było ograniczeń, jeśli chodzi o porcje. Zatem jak był sezon na chłodnik, to chodziłam do baru z własnym garnuszkiem, co kilka dni zalewanym wieloma chochlami zupy. Z tematów spożywczych nie umiem wyrzucić z głowy cenówki przy bułkach grahamkach. Cena: 30 groszy. Nie powiem głośno, ale zadam sobie pytanie retoryczne: kiedy to było?!

Na falowiec, duży budynek, jego projektanci mieli pomysł. Jest to długi blok, mieszkałam w środkowej części, a numery mieszkań w mojej klatce miały wartości osiemdziesiąt. A zostało jeszcze wiele klatek do zakończenia numeracji. Mimo że falowiec był długim budynkiem, nie trzeba było go obchodzić dookoła. Wystarczyło skorzystać z tunelowych przejść w środku budynku i już było się po drugiej stronie, w parku.

Park, a właściwie skwer, tętnił życiem. Osiedlowy zgiełk, także po oficjalnych godzinach. Mój balkon wycho-



Bar Mikrus na parterze falowca przy ulicy Ludwika Waryńskiego 51, osiedle Błonie. Fot. Maja Butkiewicz

dził na park. Nieraz późnym, bardzo późnym wieczorem słyszałam żywe dyskusje, kłótnie, rozmowy, a nawet zdarzały się koncerty, w tym gitarowy. Nie zawsze było to dla mnie komfortowe. Jednak trzeba przyznać: w falowcu i okolicach nie wiało nudą.

Falowiec miał jednak swoje minusy. Osobne klatki schodowe, a jeden budynek. Gdy w mieszkaniu pojawiły się karaluchy, dużym wyzwaniem było się ich pozbyć. Nie wiadomo, z której strony przyszły i jak skuteczne będzie ich wyproszenie. Kolejnym wyzwaniem

było parkowanie. Samochody zajmowały każdą dostępną, a czasem odgradzoną przestrzeń. Gdy moja mama wracała z zakupów, często dzwoniła, abym znalazła dla niej miejsce parkingowe. Było to wyzwanie... Nieraz trzeba było krążyć przez pół osiedla, aby w końcu zaparkować auto. Najbardziej stresujące momenty to te, gdy nie masz jeszcze znalezionej przestrzeni dla mamy, a już widzisz światła jej nadjeżdżającego auta.

Latem, gdy się wprowadziliśmy, trwał remont elewacji. Ocieplenie, ele-

wację pomalowano na beżowo-pomarańczowo – nie mój styl, ale wielki czarny napis z adresem wyglądał dobrze.

Kiedyś przypadkiem trafiłam na piosenkę, w której wybrzmiewają słowa: „Mieszkam w bardzo długim bloku”. Wers z piosenki „Pryszcze” Pidżamy Porno stał się naturalnie moim hasłem.

Już lata później, w Biurze Wystaw Artystycznych, natrafiłam przypadkowo na album, w którym zobaczyłam projekt

falowca z osiedla Błonie. Na wystawie bydgoskiej architektury wręcz przeniosłam się w czasie.

Falowiec to wyjątkowy blok mieszkalny, bez dwóch zdań. Nie mam pojęcia, czy taki projekt spodobałby się każdej osobie. Jednak z pewnością zwraca uwagę.

Mimo że już od dawna nie mieszkam na bydgoskim Błoniu, nadal mam w głowie melodię i słowa: „Mieszkam w bardzo długim bloku, hej”.

## NIE NOSZĘ ZEGARKA, BO MAM CZAS

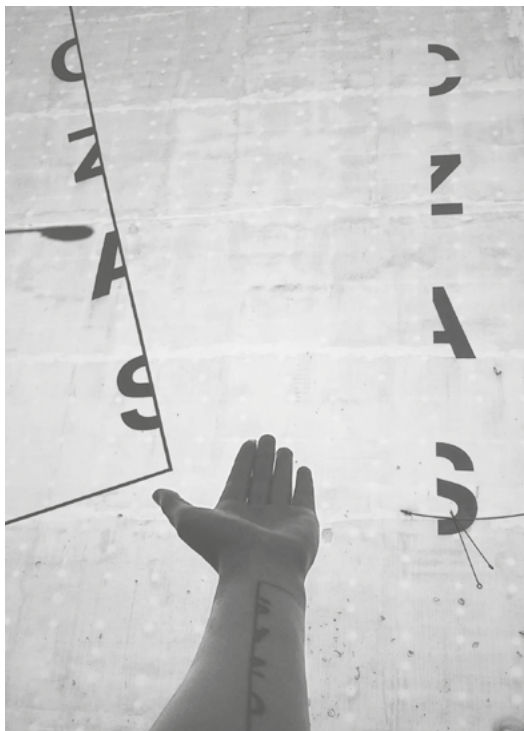
### MURAL Z POZNAŃSKIEJ 3

Jestem wzrokowcem. Wcale nie dziwi mnie fakt, i was też nie powinien dziwić, że ten obiekt trochę przejęłam, trochę upatrzyłam, a właściwie – zaadoptowałam. Jeżeli mijasz coś codziennie, to masz wrażenie, że tego już nie ma – bo jest tak opatrzone, że staje się takie codzienne, zwyczajne, wręcz niezauważalne. Nadal ma swój urok, ale coś się zmieniło. Może to wtopienie w rzeczywistość, gdzie w pewnym momencie już z trudem można wypatrzyć dawne zachwyty. Albo – jak w moim przypadku – zauważasz obiekt, mimo że wplata się w rutynę. Z biegiem czasu wcale nie błędnie, a wręcz przeciwnie – wzbudza jeszcze większy zachwyty, niemo woła o refleksję.

Codziennie ta sama trasa. Z osiedla Błonie, w dół, przez Poznańską, Wały Jagiellońskie. Zbożowy Rynek – mój

przystanek, wysiadam. Dla odmiany kieruję kroki na plac Kościeleckich. Przydałaby się jeszcze jakaś aleja, ale niestety – moja trasa na uczelnię jest dość krótka. Studiuję dziennikarstwo i komunikację społeczną na Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego. Studia dzienne, w samym sercu miasta. Wydział Humanistyczny we wspaniałym ceglany budynku. Nie powinno się oceniać budynku po elewacji, ale na tym się w tym przypadku zatrzymam.

Dojazdy autobusem przez zatłoczone centrum czasem się przedłużały. W tym zamrożonym pośpiechu, gdy staliśmy w korkach, trzeba było się pogodzić z upływającymi minutami. Miałam kwadrans akademicki, więc w teorii – zapas kilku chwil. W teorii. Przetoczenie się przez korki dawało mi jednak prze-



Mural „Czas” Petera Downsborougha, ulica Poznańska 3, 2000 rok. Autorka tatuażu: Daria Stahp. Fot. Maja Butkiewicz

strzeń do rozejrzenia się przez okno, zatrzymania wzroku na miejscach, obok których, jak wielu bydgoszczan, przejeżdżam, a właściwie ich nie wyłapuję, mijam je, nie zwracam na nie uwagi.

Początkowo szary budynek handlowo-biurowy Kwadrat nie wzbudzał we mnie emocji. Na tym ten tekst mógłby się skończyć, ale wszyscy wiemy, że mowa jest tutaj o miejscu, które jednak te emocje wzbudziło. Lubię oryginalne podejście do sztuki, lubię też litery i słowa, sztukę uliczną. Mural „Czas” autorstwa

Petera Downsborougha (1940–2024), uwieczniony na jednej ze ścian budynku, idealnie wpasował się w mój gust. Wspinał się, że sztuka uliczna to forma artystyczna dostępna dla każdego. Dzieło nie pyta o wykształcenie i o to, kiedy ostatni raz byłeś w galerii na jakiejś wystawie. Jest obecna w przestrzeni, nie wykluczając żadnego z odbiorców.

Jazda autobusem na uczelnię stała się pewnego rodzaju rytuałem. Nie mogłam minąć muralu bez rzucenia na niego okiem. Ludzie mają różną zwyczaj-

je, a spojrzenie na ścianę budynku Kwadratu było moim. Gdy nie było korków, trasa na uczelnię trwała jedną długą piosenkę. Dokładnie siedem minut, czyli cały utwór Roba Dougana „Clubbed to death” (znany z filmu „Matrix”). Wspomniany rytuał trwał kilka lat. Z biegiem czasu grafika stworzona przez Downsbrougha nabierała dla mnie coraz bardziej osobistego charakteru. Prostota sztuki ulicznej, która w jednym obrazie zebrała tak wiele przekazu...

Wczytałam się jeszcze bardziej w uwiecznione na fasadzie słowo „CZAS”. Słowo, które jest podzielone, a między przekrojonymi pionowymi literami istnieje przestrzeń. Mural zachwycił mnie tak bardzo, że postanowiłam, że ta grafika zostanie umieszczona na moim ciecie i będzie moim pierwszym w życiu tatuażem. Chciałam mieć tę część mojej codzienności i bydgoskiej sztuki zawsze przy sobie, a dokładniej – na przedramieniu. Tutaj można by było dyskutować o tym, czy to jest okej, że przyjeżdżam do pracy artysty. Jak najbardziej rozumiem, że mogą być różne głosy.

Mam mural „Czas” autorstwa Petera Downsbrougha na przedramieniu. Noszę na sobie sztukę. Jestem trochę jak ta ściana, tylko poruszam się jeszcze do innych miast. Otrzymuję pytania o tatuaż, czym jest ta grafika. Nietypowy obraz, jednak wyraz „czas” dotyczy wszystkich. To jedno z tych słów, którym nie wystarczy wiele. Wisława Szymborska pisała w wierszu „Wszystko” o tym, jak wiele zawiera ten jeden wyraz. Miałam przyjemność być na warsztatach pisania tekstów, gdzie zajęcia prowadziła także Maria Peszek. Refleksję na tych zajęciach stanowiło staranie się powiedzieć jak najwięcej za pomocą niewielu słów. Myślę, że minimalistyczny w formie mural „Czas” wpisuje

się w to rozważanie. Słowo „czas” jest po prostu w punkt i jako słowo nie potrzebuje więcej. Tym razem to dekonstrukcja słowa daje kolejne pola do interpretacji, a nie samo słowo.

Zdarzają się też anegdota związane z dziełem na moim przedramieniu. Bywa, że gdy ktoś widzi mój tatuaż, na początku nie zauważa podzielonego pionową kreską słowa i ma problem z roz czytaniem, nie mówiąc już o interpretacji. Na szczęście hasło „sklej” pomaga nakierować drugą osobę na rozwiązanie muralowego rebusa. Nie każdy poznaje w tej grafice konkretne słowo. Dekonstrukcja znanego wyrazu w nietypowej formie jest też okazją do dialogu. Nie tylko o tatuażach, ale także o sztuce, słowach i oczywiście – o Bydgoszczy.

Na studiach magisterskich miałam już „swój” mural przy sobie, więc mogłam pozwolić sobie na studia w innym mieście, Poznaniu, oraz podróżowanie na uczelnię nowymi trasami. Gdy wychodziłam z obrony pracy magisterskiej, myśląc, że egzamin mam za sobą, promotor poprosił, abym chwilę zaczekała. Stałam więc w drzwiach zaniepokojona, by usłyszeć: „Pani Maju, jeszcze musi pani na jedno pytanie odpowiedzieć”... Mój promotor, profesor zwyczajny Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, zapytał: „Co oznacza pani tatuaż?”. Mam nadzieję, że zachęciłam profesora swoją odpowiedzią do udania się do naszej Bydgoszczy.

Mural „Czas” Petera Downsbrougha to symbol domu, a nawet lokalnego patriotyzmu. Uwielbienia dla sztuki i słów. Może to nie jest najbardziej wzruszająca historia, jaką można opowiedzieć o ważnym miejscu w swoim rodzinnym mieście. Może trochę

powielam mit „brzydkiego kaczątka”, mimo że elewacja budynku Kwadratu niezmiennie jest szara i surowa. I dobrze. Jest to miejsce trochę niepozorne, może poza szlakiem, może nierzucające się w oczy – jednak przyciąga.

Wierzę, że każde słowo w języku ma swoją rolę. Czy sensem, czy brzmie-

niem, czy tym, jak zostało przedstawione graficznie. Jak możemy zobaczyć na Poznańskiej 3 w Bydgoszczy, słowo może być jednocześnie skonstruowane, jak i podlegać dekonstrukcji. Być spójne, jednocześnie będąc podzielone. Każde słowo ma też swoje miejsca. U nas w Bydgoszczy ma swoje miejsce „Czas”.

## KIEDY BYDGOSZCZ TAŃCZYŁA W PARKU

### MUSZLA KONCERTOWA W PARKU IM. WINCENTEGO WITOSA

Mam to szczęście, że urodziłam się w Bydgoszczy i to tu przez większość swojego życia mieszkam. Miasto ciekawe, kryjące wiele tajemnic i nieodkrytych przestrzeni. Tym razem będzie mowa o miejscu, które zdążyło zniknąć z mapy Bydgoszczy. Ale nadal jest żywym i dobrym wspomnieniem, które z przyjemnością pielęgnuję.

Mam to szczęście, że muszla koncertowa w parku Wincentego Witosa pojawiła się w moim życiu dosyć wcześnie. Uczestniczyłam w zajęciach w pobliskim Pałacu Młodzieży, który bezpośrednio przylega do parku. Miałam więc okazję czynnie występować na scenie muszli. Nie pamiętam zbyt wielu szczegółów, ale byłam za kulisami koncertu. W garderobach, w podpiwniczeniu obiektu, z białą kratą przy

wejściu. Lepiej pamiętam deski na scenie i gdzieś tam pułapki, jakimi były wystające gwoździe.

Muszla koncertowa w nieoczekiwany i niezaplanowany sposób stała się świadkiem i symbolem kilku ważnych dla mnie momentów. Latami przewijała się w tle, gdy kolejne kadry mojej historii płynęły naprzód. Nadal trudno mi pogodzić się z tym, że fizycznie nie ma już muszli koncertowej w parku im. Wincentego Witosa. Na muszli odbywało się w pewnym momencie dość sporo koncertów, na szczęście nie była tylko obiektem do oglądania.

Bywałam dość często w parku Witosa, a muszla koncertowa jakoś naturalnie wpasowała się w jego widok. Tak jak te niebieskie kwiatki, których na wiosnę są całe dywany na trawnikach.



Muszla koncertowa w parku im. Wincentego Witosa.  
Fot. Maja Butkiewicz

Pasowała do krajobrazu, do tego miejsca. Po prostu. Obecnie, gdy spaceruję po parku, nadal nie umiem pogodzić się i przyzwyczać wzroku do tego, że muszla koncertowa nie istnieje.

Na szczęście mam co wspominać. Gdy miałam może z osiem lat, zatańczyłam na scenie muszli. Byłam w zespole rytmiki i tańca Rytmisie. Tańczyłyśmy na tych deskach z gwoździami, które już wtedy były dość stare. To był taniec z piłkami i z obręczami, nawet kojarzę ten występ. Czulałam się w jakiś sposób wyróżniona. To była prawdziwa

scena i prawdziwa widownia, na którą można było spojrzeć z nowej, scenicznej perspektywy.

Lata później – w liceum i chyba na początku studiów – miałam okazję nadal bywać w parku Wincentego Witosa. Tym razem już w roli widza. Muszla Fest – festiwal, który był absolutnie związany z tym miejscem i wspaniale tam pasował. Na tej samej scenie, na której tańczyłam jako mała dziewczynka, występowały zespoły. Tym razem też tańczyłam, ale już pod sceną i do zupełnie innej muzyki niż wcześniej. Pamiętam,

że na Muszla Fest grał bydgoski zespół, którego muzykę i występy od lat bardzo bardzo cenię i uwielbiam – Upside Down. Panowie, tutaj mały apel: gdyby się kiedyś udało zagrać na którejś, najlepiej z bydgoskich scen, to ja podnoszę wszystkie moje kończyny i wszystko po prostu, co mogę, unoszę... Wszystkie ręce na pokład czy jakkolwiek to powiedzieć... Upside Down, wróćcie!

Muszla Fest był dla mnie fenomenem. Lokalny festiwal, bydgoskie granie, swojski i miejski klimat jednocześnie. Ławki na widowni może nie były pierwszej jakości, ale można było po prostu usiąść swobodnie, co nie wykluczało, a dawało możliwość udziału w koncercie. Dzieciaki skakały pod sceną, uderzały w ziemię już trochę zakurzonymi glanami, ale nadal w rytm muzyki. Miało się wrażenie, że człowiek jest oderwany od rzeczywistości, od codziennej zawieruchy – piękne okoliczności przyrody i muzyka!

Takie wydarzenia zawsze wzmocniały we mnie poczucie przynależności do Bydgoszczy, bycia częścią społeczności koncertowej i dumę, że takie rzeczy dzieją się w moim rodzinnym mieście.

Zdanie, że muszla koncertowa była świadkiem różnych momentów w moim życiu, nie było przypadkowe. Miałam randkę w parku Witosa, a była to jedna z pierwszych. Pewnego jesienno-go dnia, siedząc na ławeczkach na widowni muszli koncertowej, miałam okazję pierwszy raz pocałować chłopaka, z którym później byłam kilka lat. Oprócz tego po maturze robiłam bardzo dużo zdjęć, działałam także w gazecie studenckiej, gdzie muszla koncertowa także była wybierana przede mnie jako tło do portretów. Obiekt muszli koncertowej był dla mnie za-

wsze dobrym wyborem. Przyjemne miejsce, dużo przestrzeni. Nawet jeżeli te ławki były już podniszczone, to i tak lubiłam przesiadywać w parku. Często wybór padał na muszlę koncertową, gdy po prostu potrzebowałam zrobić sobie pauzę w ciągu dnia. Pamiętam, jak z koleżanką ze studiów miałyśmy ochotę przejść się na spacer. Do tego wziąć sobie jedzenie na wynos i zjeść w plenerze. Los tak chciał, że ten pomysł przyszedł nam do głów w typowy zimowy, mroźny dzień. Postawiłyśmy na swoim: kupiłyśmy pizzę na wynos i zjadłyśmy na zaśnieżonych ławkach muszli koncertowej. To jedno z moich ulubionych wspomnień.

Muszla koncertowa miała specyficzny klimat, była to przestrzeń, gdzie było można usiąść i po prostu побыć w pięknym miejscu. Z czasem na ścianach muszli zaczęły pojawiać się rysunki, graffiti. Historia muszli się powoli kończyła. Trudno było mi się pogodzić z tym, co się dzieje z tak ważnym na mapie Bydgoszczy miejscem. To było uczucie podobne do tego, gdy w naszej bydgoskiej Estradzie przepiłowano bar. Kształt gitary zniknął, nieodwracalnie. Zobaczenie pustego placu po muszli koncertowej było trudnym przeżyciem.

Nie jestem w stanie zapomnieć miejsca, które przez wiele lat, na różnych etapach mojego życia, jednak funkcjonowało. Co w tym jeszcze wspanialsze – gdy funkcjonowała muszla, to też funkcjonowała społeczność. Taki to był mały świat na terenie parku Wincentego Witosa. Centrum miasta, jednak trochę odcięci; z drugiej strony, dostępność tego miejsca była naprawdę bardzo dobra.

Nadal jest mi trudno pogodzić się z tym, że na mapie Bydgoszczy nie ma już tego miejsca. Od czasu do czasu roz-



Magdalena Kucharska. Fot. Maja Butkiewicz

mawiam ze znajomymi, wspominamy dawne dzieje – i muszla we wspomnieniach ma się dobrze, my ją pamiętamy. Ludzie się starzeją, dzieci dorastają, budynek muszli koncertowej również został naruszony zębem czasu. Rozumiem też całkowicie przyczynę rozbiórki, jednak jest we mnie trochę żalu w środku, że nie powalczono o ten budynek. Przykładem zakończonej sukcesem renowacji są bydgoskie Młyny Rothera.

Pozostają mi zatem zrobione przeze mnie zdjęcia, utwory Upside Down, które usłyszałam na żywo, wspomnienie zimnej podłogi sceny, kiedy występowałam tam jako dziecko. Dzisiaj

jestem gapiem, który nadal gapi się w miejsce, gdzie stała muszla koncertowa. Przyjemnie by było siedzieć na koncercie albo potupać nogą pod sceną, widzieć, jak ta scena żyje, jak muzyka żyje... Jak jest okazja do tańców, śmiechów, spotkań. Muszla koncertowa to wspaniałe wspomnienie i tym wspomnieniem już pozostanie. Jakże pozytywnym i budującym (jakkolwiek patetycznie to nie zabrzmiało) było żyć w momencie, kiedy muszla koncertowa była, na niej się grało, występowało i – w moim przypadku – można było ją eksplorować. Muszla koncertowa to będzie już zawsze ważne miejsce.

## KORZENIE DRZEWA MOJEJ RODZINY SIĘGAJĄ JACHCIC

Słuchaj, Adam, jak mieszkaliśmy przed wojną na Jachcicach, to...

Tak zwykle zaczynał wspomnienia o swojej jachcickiej młodości mój ojciec Brunon Gonsierowski (1909–1994). W podeszłym wieku, uwolniony już w części od obowiązków rodzinnych i zawodowych, wracał w swoich opowieściach do, jak to często określał, „pięknych jachcickich lat”. Urodzony w Jachcicach w roku 1909, zamieszkiwał tam do roku 1932. W domu swoich rodziców, Franciszka (1881–1940) i Weroniki z d. Kowalkowskiej (1884–1956), swoją jachcicką młodość dzielił z młodszym rodzeństwem: Jerzym (1910–1986), Łucją (1913–1986) i Heleną (1922–2012).

Budując od ponad dwudziestu lat drzewo genealogiczne („po mieczu”) rodziny Gonsierowskich/Gąsiorowskich/Gąsiorowskich (różna pisownia nazwiska tej samej rodziny na przestrzeni dziejów), na użytek niniejszej opowieści o moich przodkach przyjąłem najczęściej występującą w dokumentach formę nazwiska: Gąsiorowscy.

Stricte polski rodowód dawnej osady Jachcice zmienił pierwszy rozbiór Rzeczypospolitej, kiedy to Jachcice

zostały włączone do Państwa Pruskiego, na którego czele stał król pruski Fryderyk II. Jednym z wielu skutków pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej był napływ ludności państw zaborczych na zaanektowane tereny. Tak było również z przypadku Jachcic, które zostały objęte zaborem pruskim. Dlatego też historię Jachcic w okresie dominacji pruskiej tworzyli Polacy, ale także napływowi obywatele Królestwa Prus.

W styczniu 1920 roku, postanowieniami traktatu pokojowego z Niemcami, Bydgoszcz i okoliczne miejscowości, w tym Jachcice, zostały przejęte przez odrodzoną II Rzeczypospolitą. W związku z tym w roku 1920 nastąpiła zmiana nazewnictwa jachcickich ulic z języka niemieckiego na język polski. Część z tego nowego nazewnictwa zachowała się do dzisiaj. W roku 1931 nastąpiła istotna zmiana sposobu numeracji nieruchomości. Obowiązujący do 1931 roku narastający system numeracji nieruchomości został zastąpiony zasadą numeracji parzystej po prawej stronie ulic i numeracji nieparzystej po lewej stronie ulic.

W latach okupacji niemieckiej (1939–1945) językiem urzędowym

w obszarze społecznym stał się ponownie język niemiecki, również w nazewnictwie m.in. jachcickich ulic. Odkrywając kolejne ślady moich jachcickich przodków, opisałem te miejsca obecnym nazewnictwem i numeracją nieruchomości, ale także ich historycznymi, niemieckimi nazwami i poprzednio nadaną numeracją.

## Ś L A D Y

### ***Rejon ulicy Jednostronnej (Ludwigshof 6), kuźnia Piotra Gąsiorowskiego***

Pierwsze udokumentowane ślady związków „moich” Gąsiorowskich z Jachcicami pochodzą sprzed około stu pięćdziesięciu lat. Ze względu na znaczny upływ czasu obecny wygląd miejsc, gdzie rodzili się, żyli i umierali Gąsiorowscy, uległ znacznej zmianie, a czasem stanowi już tylko punkt geograficzny na mapie Jachcic. Są to jednak ich niezniszczalne ślady...

Analiza ksiąg adresowych dla Bydgoszczy i okolic, wydawanych w języku niemieckim: Adreßbuch nebst Allgemeinem Geschäfts – Anzeiger von Bromberg und dessen Vororten auf das Jahr... auf Grund amtlicher und privater Unterlagen, Wohnungs – Anzeiger nebst Adreß und Geschäfts – Handbuch für die Stadt Bromberg und Umgebung auf das Jahr..., daje wiedzę o związkach mojego pradziada Piotra Gąsiorowskiego (1849–1907) z pruską wtedy Bydgoszczą (niem. Bromberg), Jachcicami (niem. Jagdschütz) i pobliskim Ludwikowem (niem. Ludwigshof). Dawniejszy folwark Ludwikowo, czyli obszar rozciągający się pomiędzy Jachcicami i zapleczem bydgo-

skiego dworca kolejowego, był w latach 1885–1896 miejscem prowadzenia kowalskiej profesji mojego pradziada Piotra Gąsiorowskiego. Pierwszy zapis z przywołanych ksiąg adresowych o kowalu Piotrze Gąsiorowskim występuje w Księdze Adresowej na rok 1884. Zapis ten brzmi: „Gąsiorowski Peter, Schmied, Brenkenhöferstraße 8” (dziś ulica Bocianowo 33, jeszcze niedawno na tym budynku były widoczne ślady starej numeracji domu). Było to jego pierwsze, nowe miejsce zamieszkania po opuszczeniu rodzinnych Jażwisk (niem. Jesewitz) koło Gniewu (niem. Mewe). Z zapisów pruskich Ksiąg Adresowych za lata 1885–1896 wynika także, iż pod adresem Ludwigshof 6 zamieszkiwał i uprawiał kowalskie rzemiosło Schmied (pol. kowal) Peter Gąsiorowski. Usytuowanie miejsca zamieszkania i wykonywania kowalskiej profesji w sąsiedztwie Jachcic i w pobliżu miejsca przyszłej budowy domu przy ulicy Średniej 29 (wtedy o nazwie i numeracji Mittelstraße 54) pozwala na wnioskowanie, iż była to realizacja z góry przyjętego planu pozyskania w pierwszej kolejności środków na budowę rodzinnego gniazda.

Mimo iż z oczywistych przyczyn miejsce realizowania kowalskiego zawodu Piotra, czyli Ludwigshof 6, uległo do dzisiaj całkowitej zmianie (zmiana numeracji nieruchomości, zmiana sposobu zagospodarowania terenu itp.), to jednak można je obecnie w miarę dokładnie dookreślić. Z przekazów uzyskanych kiedyś od nieżyjącego już mojego ojca Brunona (uzyskanych z kolei od jego ojca Franciszka – syna Piotra) wynikało, iż „kuźnia mieściła się na Ludwikowie koło cegielni nad Brdą”. Także na starym planie Bydgoszczy

(Plan der Stadt Bromberg mit Vororten 1913) załączonego do Księgi Adresowej Bydgoszczy i okolic z roku 1913 (Adreßbuch 1913 nebst allgemeinem Geschäfts Anzeiger von Bromberg und den Vororten) oznaczone są zabudowania cegielni (niem. Ziegelei). Księga Adresowa z roku 1913 wymienia na bydgoskim Ludwikowie działki oznaczone Ludwigshof 2/8 jako należące do właściciela cegielni parowej Ottona Dörfla. To miejsce to dzisiejsze ogródki działkowe nad Brdą – ROD „Nad Brdą” – w okolicy obecnej ulicy Jednostronnej.

Pod adresem Ludwigshof 6 Piotr Gąsiorowski zamieszkał ze swoją żoną Jakobiną z domu Gehrke (1852–1915), poślubioną w roku 1876 jeszcze w Gniewie, i dziewięciorgiem ich dzieci: Anną (1871–1941), Franciszkiem (1881–1940), Izydorem Janem (1883–1950), Weroniką (1885–1950), Pawłem Jerzym (1887–?), Agnieszką Łucją (1890–?), Józefem Piotrem (1892–1970), Bernardem Andrzejem (1894–1915) i Brunonem Robertem (1897–1959). Oprócz Anny, Jana Wincentego zmarłego w Gniewie i Franciszka wszystkie pozostałe z wymienionych dzieci tej pary urodziły się już w Bydgoszczy i Ludwikowie. Świadczą o tym m.in. zachowane pruskie akty urodzenia Józefa Piotra i Bernarda Andrzeja, gdzie jako miejsce zamieszkania ojca (Schmied Peter Gąsiorowski – kowal Piotr Gąsiorowski) nowo narodzonych dzieci zapisano: wohnhaft zu Bromberg Ludwigshof 6 – zamieszkuje w Bydgoszczy na Ludwikowo 6.

Wspomnieć tu należy, że do Ludwikowa w roku 1897 przybyła także zamieszkała dotąd w Gniewie rodzina Gehrke, z której wywodziła się żona Piotra – Jakobina. W dniu 9 kwiet-

nia 1890 roku na Jachcicach osiedlili się także rodzice Piotra, Józef i Ewa z d. Czayka. Z zapamiętanych dziecięcych wspomnień mojej ciotki Heleny z Gąsiorowskich Góreckiej wynika, że Józef z żoną Ewą zamieszkiwali w Jachcicach, w nieistniejącym już dzisiaj domu przy ulicy Okrężnej. Piotr Gąsiorowski, urodzony w niewielkiej kociewskiej wsi Jażwiska, zapoczątkował faktyczny exodus Gąsiorowskich z Kociewia do Jachcic. Czyżby jakaś magiczna siła przyciągała te rodziny do Jachcic i okolic?

### ***Ulica Średnia 29 (Mittelstraße 54), dom Piotra Gąsiorowskiego i jego rodziny***

Najbardziej wymownym przykładem związków moich przodków z Jachcicami jest dom przy ulicy Średniej 29. Z zachowanej w rodzinnych zbiorach książeczki wojskowej (Militair – Pass) wynika m.in., że w okresie od listopada 1871 roku do września 1874 roku mój pradziad Piotr Gąsiorowski odbył służbę wojskową w Królewsko-Pruskim Piątym Wschodniopruskim Regimentie Grenadierów (Königliches Preusse Ostpr. Grenadier Regiment Nr 5). Dokonany z pruską precyzją zapis z książeczki wojskowej informuje, że jej właściciel był wzrostu 1 metra 67 centymetrów i 4 milimetrów.

W roku 1904 Piotr Gąsiorowski ukończył budowę rodzinnego domu przy ulicy Średniej 29 (wówczas niem. Mittelstraße 54). Dom ten w stanie niewiele zmienionym stoi do dziś. Na jego frontonie między parterem a pierwszym piętrzem zachował się do dziś element architektoniczny w formie medalionu z napisem „P 1904 G”, przypominający budowniczego tego domu.



Budynek przy ulicy Średniej 29, wybudowany w roku 1904 przez Piotra Gąsiorowskiego

Między oknami pierwszego piętra jest usytuowana nisza, dziś niestety pusta, w której Piotr umieścił postać swego patrona i imiennika – św. Piotra. Figura ta została usunięta prawdopodobnie podczas ostatniej niemieckiej okupacji z bliżej nieustalonych powodów.

Nie było dane cieszyć się zbyt długo Piotrowi i jego żonie Jakobinie ze wspólnego zamieszkiwania w Jachcicach, z jego rodzicami, Józefem i Ewą de domo Czayka Gąsiorowskimi. W roku 1899 zmarł Józef, a rok później jego żona Ewa. Częściowo o dalszych losach Piotra i Jakobiny dowiaduje-

my się z treści zapisów archiwalnych w księdze wieczystej dla nieruchomości w Jachcicach przy ulicy Średniej 29 (SR w Bydgoszczy, X Wydział Ksiąg Wieczystych. Umgericht Bromberg, Grundbuch von Jagdschütz Umkreis Bromberg, Band VII, Blatt nr 158). Czytamy tam m.in., że w dniu 10 czerwca 1904 roku mistrz kowalski Gąsiorowski z Jachcic i jego żona Jakobina z domu Gehrke zostali wpisani we wspólnocie małżeńskiej właścicielami działki budowlanej o powierzchni 8 arów i 8 m kw. Z następnego zapisu dowiadujemy się, że w wyniku rozpo-

znania sprawy przez Sąd Królewski w Bydgoszczy, dnia 23 grudnia 1905 roku zostali wpisani do księgi nowi właściciele nieruchomości przy ulicy Średniej 29, wtedy już zabudowanej przez Piotra Gąsiorowskiego jednopiętrowym domem. Nowymi właścicielami zostali kowal kolejowy Sterkmann z Jachcic oraz jego żona Anna z domu Spaack. O przyczynach tak szybkiej zmiany właściciela tego domu mówią dobitnie zapisy w IV części księgi wieczystej, gdzie umieszczane są wszelkie obciążenia hipoteczne nieruchomości. Wynika z nich, że nieruchomość w okresie, kiedy jej właścicielem był Piotr Gąsiorowski, została obciążona następującymi hipotekami:

– 10.06.1904 kwotą 1500 marek na 5% rocznie płatne gotówką w czterech ratach do 10.06.1901 na rzecz dyrektora krajowego (Landsdirektor) Martina Friedleandera,

– 27.06.1904 kwotą 460 marek na rzecz gminy Jachcice,

– 28.06.1904 kwotą 2000 marek na 5% rocznie płatne w czterech ratach miesięcznych od sierpnia do listopada na rzecz Banku Ludowego.

Można domniemywać, że pożyczki te, pobrane przez Piotra Gąsiorowskiego na budowę domu, a zabezpieczone hipotekami na jego nieruchomości, nie zostały spłacone. Konsekwencją tego stanu rzeczy była sprzedaż bądź licytacja komornicza posesji. Utrata domu zapoczątkowała śmiertelną chorobę Piotra Gąsiorowskiego. Pewnego dnia wybrał się do pobliskiego lasu z niewielką siekierką, aby narąbać drewna na opał. Przy ścinaniu wielkiego drzewa zastał go leśniczy. Nie przerywając swych czynności, wytłumaczył leśniczemu, że potrzebuje nieco drewna na

opał. Dobrotliwy leśnik poprosił go, aby poszedł spokojnie do domu, obiecując jednocześnie dostarczyć tam drewno (relacja mojego ojca). Piotr zmarł w dniu 2 listopada 1907 roku w Zakładzie dla Psychicznie Chorych w Dziekance koło Gniezna. Pozostawił żonę Jakobinę z dziećmi, z których część wymagała jeszcze rodzicielskiej opieki.

Nie były to zapewne łatwe lata dla Jakobiny, aż do jej śmierci w Wigilię Świąt Bożego Narodzenia roku 1915. Swoje ostatnie lata spędziła w Bydgoszczy przy ówczesnej Kronerstrasse 11 (dzisiaj ulica Sowińskiego 22) wraz ze swoją córką Anną. O jej trudnych latach po śmierci męża pisała w swoich wspomnieniach moja nieżyjąca już ciocia Helena – Helena z Gąsiorowskich Góreczka: „...babcia Jakobina pozostała z dziećmi, które jeszcze nie wszystkie były samodzielne. Brunon Robert, najmłodszy, liczył zaledwie 10 lat, Józef 15 lat, Agnieszka 17 lat. Weronika wyjechała do rodziny w Berlinie. Izydor pełnił służbę wojskową w Arnswalde i tam się też ożenił. Anna wyszła za mąż i też przenieśli się do Berlina z myślą o lepszej przyszłości dla rodziny. Całą jej nadzieją stał się teraz Franciszek – mój ojciec, na którego barki spadły obowiązki opieki nad matką i rodzeństwem. Niechętnie też zaakceptowała w tym czasie zamiar założenia przez niego własnej rodziny. Radosny dom, pełen bez trosk, szczęśliwych dzieci, przestał istnieć. Nastąpiły lata trudne, samotne. Miarę smutku dopełnił rok 1914 – wybuch wojny światowej. Synów zaciągnięto do wojska. Poszli Franciszek, Izydor, Józef, Bernard. W stałej trosce o losy synów drżało czułe serce matczyne. Jeden z najmłodszych synów, Bernard, poległ gdzieś we Francji za pruskiego kajzera. Tego na

szczyć nie doczekała już Jakobina. Zmarła w dzień Wigilii 1915 roku w wieku 63 lat. Wtedy i ostatni jej syn Brunon Robert poszedł na wojnę. Często rozmyślałam o niej, o jej losie, o jej smutkach i radościach. Mimo że nie znalazłam jej osobiście, urodziłam się siedem lat po jej śmierci, jest mi niezmiernie bliska. Chodziłam w dzieciństwie często na jej grób na cmentarzu Nowofarnym z moją mamą. Szczególnie mam w pamięci jej grób pełen wiosennych kwiatów, konwalii, niezapominajek i bratków. Kiedy po II wojnie światowej przyszyliśmy na jej grób, zastałyśmy całe pole przekopane. Pamiętam na tę okoliczność serdeczny płacz wujka Brunona Roberta, którego znalazłam raczej jako człowieka bardzo opanowanego i nieprzejmującego się niczym. On też wyprosił od nas fotografię babci – młodej, ślicznej dziewczyny w pięknej, czarnej sukience...” (w toku prowadzonej kwerendy odnalazłem to zdjęcie w zbiorach córki Brunona Roberta – Małgorzaty).

Kończąc ten wątek, można dodać, że w roku 1914 dom przeszedł w ręce następnego właściciela – małżeństwa Ottona i Stephanie Hanke. Natomiast w roku 1923 dom zakupiła rodzina polska, co prawdopodobnie wiązało się ze stopniowym odpływem żywołu niemieckiego z Bydgoszczy po powrocie tego miasta w roku 1920 do Polski. Posiadane przez pradziada Piotra środki na budowę domu, pochodzące z działalności w kuźni oraz z wyżej opisanych kredytów, nie wystarczyły zapewne na postawienie na zapleczu nieruchomości budynków gospodarczych – chlewa i pralni. W zachowanych materiałach archiwalnych w Archiwum Państwowym w Bydgoszczy odnalazłem informację, iż dopiero w dniu 5 maja 1927 roku ko-

lejny właściciel posesji Jan Paszko, na podstawie zgody uzyskanej w Miejskim Urzędzie Policijnym w Bydgoszczy, postawił „chlew, pralnię i ustępy”.

***Ulica Okrężna 6 (Rundling), dom rodzinny Weroniki Gąsiorowskiej z d. Kowalkowskiej, żony Franciszka Gąsiorowskiego, mojej babki***

Gąsiorowscy z Jachcic niechętnie przeprowadzali się do pobliskiej Bydgoszczy. Bywało też, że wiązali się węzłami małżeńskimi z innymi mieszkankami, mieszkańcami nadbrdzieńskich Jachcic. Ze związku zamieszkałych przy ulicy Okrężnej 6 Antoniego Kowalkowskiego (1851–1924) i jego żony Rozalii z d. Kosińskiej (1851–1914) zrodzonych zostało dziewięcioro dzieci. Jedno z nich, Weronika Ludwika (1884–1956), zostało wybranką mojego dziadka Franciszka Gąsiorowskiego.

***Ulica Średnia 19 m. 3 (Mittelstraße 59 W. 3), dom rodzinny moich dziadków Franciszka i Weroniki Gąsiorowskich i ich czworga dzieci***

Bezpośrednio po utracie rodzinnego domu przy ulicy Średniej 29 (wtedy Mittelstraße 54) Jakobina, wdowa po Piotrze, zamieszkała wraz z dziećmi w wynajętym w pobliżu lokum, oznaczonym wtedy jako Średnia 59 m. 3 (Mittelstraße 59 W. 3). Lokalizacja ta jest oznaczona obecnie jako Średnia 19 m. 3. Jak wynika z zachowanych akt meldunkowych, w domu tym Franciszek, mój dziadek, zamieszkiwał do sierpnia 1932 roku wraz ze swoim liczny rodzeństwem, które stopniowo opuszczało na zawsze ten dom.



Przepustka służbowa Franciszka Gąsiorowskiego z okresu okupacji niemieckiej, z dopiskiem Pole (Polak), ze zbiorów autora

Tam też ze związku Franciszka i Weroniki przyszło na świat ich czworo dzieci: mój ojciec Brunon, Jerzy, Łucja i Helena.

Opowiedział mi kiedyś ojciec, jak po raz pierwszy w swoim życiu zobaczył śmierć. Mieszkając z rodzicami przy ulicy Średniej, chodził razem ze swą matką Weroniką na pobliską ulicę Okrężną 6, gdzie zamieszkiwała rodzina jego matki, Kowalkowscy, którzy zajmowali się prowadzeniem małego gospodarstwa rolnego. Celem tych wizyt był odbiór mleka – daru dla rodziny Weroniki i Franciszka. Podczas jednej z tych wypraw znaleźli babcię Roza-

lię Kowalkowską (zwaną zdrobniale Rózią – matkę Weroniki) martwą, leżącą wśród rozlanego mleka. Śmierć zastała ją podczas dojenia krów.

Franciszek Gąsiorowski zwany był w rodzinie „po domowemu” Franzem, które to zdrobnienie imienia przyłgnęło do niego już na zawsze. W świadectwie ukończenia nauki (terminu) wystawionym w dniu 8 sierpnia 1901 roku w Bydgoszcy czytamy m.in., że Franciszek Gąsiorowski okres czteroletniej nauki u Juliusa Kühnella zakończył samodzielną pracą czeladniczą pod tytułem „konewka” (Gießkanne). Był ten bydgoski Niemiec Julius Küh-

nell potem długoletnim pracodawcą Franciszka. Z kolei z zachowanej, jak byśmy to dzisiaj określili: opinii zawodowej, wystawionej przez tego pracodawcę, wynika, że Franciszek, terminując w jego firmie w latach 1897–1901, wyuczył się zawodu instalatora, a w latach od 1910 do 1921, z wyłączeniem okresu I wojny światowej, był tam zatrudniony jako czeladnik. Zachowana w oryginale, bardzo przychylna dla Franciszka opinia zawodowa została sporządzona przez jego pracodawcę w dniu 7 lutego 1921 roku, kiedy to Julius Kühnell musiał zlikwidować swój bydgoski zakład w związku z niekorzystną sytuacją, jaka powstała dla żywiolu niemieckiego w Bydgoszczy w wyniku powrotu tego miasta do Polski. Wystawiając swojemu wyzwolonemu już uczniowi bardzo dobrą opinię zawodową, życzył mu wszystkiego najlepszego... Niemiec Polakowi, i to w okresie po przejęciu władzy w Bydgoszczy przez Polaków. Zaiste trudne to do zrozumienia przy uwzględnieniu ówczesnych realiów społeczno-politycznych i związanych z tym emocji narodowościowych. Zresztą o zamiarze zamknięcia swego zakładu Niemiec ten pisze wyraźnie w ostatnim zdaniu opinii: „...mój zakład z przyczyn politycznych zmuszony jestem zamknąć”.

Firma ta, o dość szerokim profilu działalności usługowej (instalacje elektryczne, prace budowlane, prace blacharskie, montaż piorunochronów), mieściła się przy ówczesnej Luisenstrasse 15/16, czyli dzisiejszej ulicy Śniadeckich 31. Pracę w tej firmie Franciszek przerwał na czas obowiązkowej służby wojskowej w prusko-królewskiej armii. Z zachowanej opinii wystawionej w dniu 21 wrze-

śnia 1905 roku przez władze wojskowe Prus Królewskich zatytułowanej „Świadcstwo prowadzenia” (niem. Führungszeugnis) wynika, że muszkietier Franciszek Leon Gąsiorowski odbył służbę wojskową w 10. Kompanii Regimentu Infanterii Księcia Moritz von Anhalt-Dessau. Za okres służby od 16 października 1903 roku do 21 września 1905 roku, jak to stwierdzono, „prowadził się bardzo dobrze”. Dokument ten został wystawiony w ostatnim dniu służby w mieście Greifswald, gdzie Franciszek odbył czynną służbę wojskową. Ciekawym jest kontekst krótkiego, lecz wielce wymownego dopisku poczynionego ołówkiem na tymże „Świadcstwie prowadzenia” przez wojskowego kancelistę, o treści: „wojna światowa 3.08.14 – 20.12.16”.

Z przekazów rodzinnych wynika, że zakończenie służby wojskowej na prawie dwa lata przed zakończeniem wojny było związane z podejrzanym, według jego wojskowych przełożonych, stosunkiem Franciszka do wiary w pruskie sukcesy wojenne. Z powodu jego wątpliwości w ostateczne zwycięstwo Prus, kiedy to nieopatrznie stwierdził, że: „Prusacy wkrótce tę wojnę przegrają, gdyż przerabiają już dzwony na armaty”, został niezwłocznie z armii zwolniony. Mimo że potępiony przez Prusaków jako żołnierz, musiał Franciszek dalej pracować dla armii pruskiej, ale już jako cywil. Zwolniony z czynnej służby w armii pruskiej w dniu 20 grudnia 1916 roku, po kilku dniach, bo 28 grudnia 1916 roku, był już robotnikiem Hamburgsko-Szczecińskiej Spółki Akcyjnej Vulcan-Werke w Szczecinie, która w tym mieście budowała okręty dla Marynarki Rzeszy. Wizerunku Franciszka dopełniają

zachowane fotografie z okresu jego służby wojskowej. Na jednej z nich postawny mężczyzna przy szabli i w galowym mundurze pruskiego żołnierza prezentuje się okazale. Z upozowanej na potrzeby atelierowego zdjęcia postaci emanuje spokój i siła. Zdjęcia to pochodzi z roku 1905, a wykonano je, jak informuje napis na odwrocie wizerunku, w „Photographie Atelier Th. Wulf Greifswald”, czyli w miejscu odbytej przez Franciszka służby wojskowej.

Po samolikwidacji zakładu Juliusa Kühnella w roku 1921 Franciszek podjął pracę w niedaleko położonych od Jachcic Polskich Kolejach Państwowych jako robotnik odcinka drogowego. Za okres pracy na PKP był opiniowany pozytywnie. W roku 1928 otrzymał od pracodawcy Medal Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości, a w roku 1938 Brązowy Medal za Długoletnią Służbę. Po zajęciu Bydgoszczy przez Niemców we wrześniu 1939 roku kontynuował pracę na dotychczasowym stanowisku, wtedy na Deutsche Reichbahn (Kolej Niemiecka). Na zachowanej w rodzinnych zbiorach przepustce (Personalausweis Nr 20), opatrzonej niemiecką „gapą”, wystawionej w dniu 18 kwietnia 1940 roku przez władze okupacyjne, wymieniony jest zawód Franciszka: Klempner (blacharz). Przepustka zawiera w prawym górnym rogu symptomatyczny, podkreślony czerwonym ołówkiem dopisek: Pole (Polak).

Był Franciszek, jak to wynika z rodzinnych przekazów, mężczyzną z krwi i kości, który „za kołnierz też nie lubił wylewać”. Ceniony w swoim zawodzie, dbał o rodzinę, ale też nie zaniedbywał kontaktów towarzyskich. Długą drogę z kolei do domu skracał na swój spo-

sób, odwiedzając restaurację Cieślińskiego przy ulicy Rycerskiej. Był stamtąd niekiedy „doprowadzany” do domu przez swych synów: Jerzego i Brunona, a czasem i przez żonę Weronikę. Ciekawą historię na temat swojego ojca Franciszka, po jego powrocie z frontu I wojny światowej, opowiedział mi kiedyś mój ojciec Brunon. Dom przy ulicy Średniej 19, w którym mieszkanie nr 3 wynajmowali rodzice mojego ojca, był własnością dość uciążliwego posesjonata. W celu ukrócenia nieprzyjaznych zapędów właściciela Franciszek, stojąc pewnego dnia koło podwórzowej pompy, wystrzelił kilkakrotnie na wiat z posiadanego prawdopodobnie nielegalnie pistoletu.

Militarne ciążoty Franciszka były dość oryginalne, o czym świadczyły przechowywane w domu na szafie granaty. Służyły mu one do... łowienia ryb w pobliskiej Brdzie. Konflikty z właścicielem wynajmowanego mieszkania, także chęć skrócenia drogi do pracy na PKP, były zapewne powodem przeprowadzki w roku 1932 do dzielnicy Bocianowo, gdzie wygodnie zamieszkał z rodziną w domu przy ulicy Bocianowo 37/5. Otrzymał w dniu 15 sierpnia 1940 roku wezwanie od niemieckich władz kwaterunkowych w sposób kategoryczny nakazywało mu przeprowadzenie się w ciągu dwóch tygodni do innego, jak się okazało, dużo gorszego mieszkania przy ulicy Kwiatowej 2/6 (Blumenstrasse). Zwolnione przez Franciszka i jego rodzinę mieszkanie przy ulicy Bocianowo (Brenkenhoffstrasse) zajęła niemiecka powierniczka (Treuhandlerin) Frieda Dalüge, zamieszkująca dotąd właśnie przy Kwiatowej 2/6. Interesującym dokumentem jest zachowana do

dzis karta meldunkowa (Anmeldung) posesji przy ulicy Bocianowo 37 z 29 sierpnia 1940 roku, gdzie jako administratorka (Hausverwalterin) tej posesji występuje już Frieda Dalüge.

Podjętą przez Franciszka w roku 1921 pracę na PKP przerwał w październiku 1939 roku udar mózgu. Z relacji mojego ojca wynikało, że po kilkunastodniowej domowej rehabilitacji Franciszek wrócił do pracy na kolei, lecz był to już kres jego drogi. Niewyliczone następstwa udaru i zbyt wczesny powrót do pracy spowodowały prawdopodobnie następny, śmiertelny już w skutkach udar. Pamiętam wzruszenie mojego ojca, z którym szedłem kiedyś tunelem kolejowym pod stacją PKP Bydgoszcz Główna, kiedy to nagle wskazał miejsce upadku Franciszka w związku z doznany przez niego udarem. Przechodząc co jakiś czas tym tunelem, każdorazowo wraca do mojej pamięci obraz ojca pokazującego mi miejsce śmierci dziadka Franciszka, którego niestety nigdy nie spotkałem na tym świecie – urodziłem się osiem lat po jego śmierci.

Przy odkrywaniu historii rodziny Gąsiorowskich wspomnienia ojca z jego okresu „jachcickiego” pozwoliły mi na uzyskanie wielu ciekawych i cennych informacji. W swoich opowieściach wracał często do lat, kiedy to zamieszkiwał z rodziną przy ulicy Średniej, wspominając ten okres jako najlepszy w swoim młodzieńczym życiu. Oto niektóre z tych wspomnień...

Gdy razem ze swym bratem Jerzym byli już samodzielnymi rzemieślnikami, udawali się wspólnie do wykonywania różnych prac montażowych. Tyczyło się to głównie montażu wcześniej przygotowanych rynien dachowych, na

czym braciszkwowie znali się doskonale. Niosąc na miejsce pracy pionowo trzymane rynny spustowe i przechodząc koło urodzajnych jachcickich sadów, „zaopatrywali się w owoce”, które z wysokich gałęzi trafiały do rynien i turlały się do rąk wesółych braci...

Mieszkając na Jachcicach, bracia Brunon i Jerzy obserwowali postępy przy budowie elektrowni, a także zakładanie pierwszej linii telefonicznej w tej dzielnicy. Na słupach były już zamontowane porcelanowe izolatory. Była to więc okazja dla braci do zrealizowania zawodów zatytułowanych: kto stłucze więcej zamontowanych na słupach izolatorów...

Po zawarciu w roku 1936 związku małżeńskiego z Józefą z d. Buśko moi rodzice zamieszkali na bydgoskich Bielawach. W okresie okupacji niemieckiej mój ojciec pracował w prywatnej firmie instalatorskiej, będącej własnością bydgoskiego Niemca Willega Coyma. Zatrudnienie w firmie uzyskał dzięki pomocy swego ojca Franciszka, który przyjaźnił się z jej właścicielem. Przyjaźń ta, oparta między innymi na wspólnych karcianych partiach, okazała się w tym przypadku bardzo pomocna. Jednakże to właśnie w trakcie tej pracy spotkał się mój ojciec (jego relacja) z dość brutalnym nagabywaniem ze strony właściciela firmy, aby przyjął niemiecką grupę narodowościową. Zdenerwowany tą nachalnością odpowiedział że, „z wróbla nie da się zrobić kanarka”. Przywołany do zakładu w związku z tą wypowiedzią funkcjonariusz gestapo przeprowadził z Brunonem rozmowę zakończoną... kilkoma policzkami. Nie zmieniło to jego poglądów i do końca okupacji pozostał Polakiem.

**Średnia 23 (Mittelstraße 57),  
miejsce tragicznej śmierci  
Anny Gąsiorowskiej, żony Józefa  
Piotra Gąsiorowskiego**

Mimo utraty rodzinnego domu przy Średniej 29 kolejny syn Piotra i Jakoby, Józef Piotr, nie opuścił rodzinnych Jachcic, mimo że w pobliskiej Bydgoszczy były zapewne większe możliwości znalezienia mieszkania i pracy. Zamieszkał wraz z poślubioną w roku 1918 Anną z d. Szuda w pobliżu, na ulicy Średniej 23 (wtedy Mittelstraße 57), w wynajmowanym mieszkaniu. W domu tym przeżył ogromną tragedię. Zbląkana kula karabinowa w dniu 19 stycznia 1920 roku trafiła stojącą przy oknie mieszkania jego żonę. Strzał, najprawdopodobniej przypadkowy, został oddany przez jednego z opuszczających Bydgoszcz niemieckich żołnierzy, którzy zajmowali miejsca w pociągu na ówczesnej kolejowej stacji rozrządowej, znajdującej się przy dzisiejszych ulicach Czarna Droga i Grunwaldzkiej. Odległość od domu przy ulicy Średniej 23 do miejsca załadunku niemieckich żołnierzy po drugiej stronie Brdy wynosiła w linii prostej około kilometra.

Ślady tej historii odnajdujemy w „Dzienniku Bydgoskim” z 20 stycznia 1920 roku. W okolicznościowej notatce gazeta ta apelowała o przekazywanie jakichkolwiek informacji umożliwiających ustalenie sprawy tej śmierci. Wszczęte w tej sprawie przez polską policję śledztwo nie wyjaśniło tragedii. Przyczyna oddania strzału, a bardziej strzałów – przez opuszczających polskie już miasto niemieckich żołnierzy, wynikała prawdopodobnie z ich frustracji (może radości?) w związku z sytuacją, w której się nagle znaleźli. Spe-

cyficzna, często chaotyczna wtedy sytuacja w mieście związana z przejmowaniem Bydgoszczy przez administrację polską nie sprzyjała ustaleniu przyczyn tej tragedii. Anna osierociła kilkumiesięcznego wtedy syna Joachima. Z relacji przekazanej rodzinie przez owodniałego w ten tragiczny sposób Józefa Piotra wynikało, iż śmiertelna kula dosięgła Annę przygotowującą obiad dla męża, w trakcie obierania ziemniaków w pobliżu okna. Tak więc Anna stała się prawdopodobnie ostatnią ofiarą pruskiego zabójcy w Bydgoszczy.

Józef Piotr Gąsiorowski, z wykształcenia maszynista kolejowy, w latach 20. prowadził pociągi do niemieckiej wtedy Pily (niem. Schneidemühl). Dobre w owym czasie zarobki maszynistów kolejowych, uzyskany kredyt bankowy i jego osobista pracowitość pozwoliły na zakupienie dużego, trzypiętrowego domu czynszowego przy, wtedy jeszcze niezbyt ruchliwej, ulicy Marii Skłodowskiej w Bydgoszczy. Kończąc historię Józefa, warto przytoczyć kilka słów o ciekawym wydarzeniu z młodzińskiego okresu jego życia, o którym opowiedział mi ojciec. W czasie, kiedy Józef zamieszkiwał jeszcze przy ulicy Średniej 23 na Jachciach, jego przyszły szwagier, Franciszek Kowalkowski – „Franz” (brat Weroniki Gąsiorowskiej z d. Kowalkowskiej), jeździł często z ulicy Okrężnej na Dolnych Jachciach, gdzie jego ojciec posiadał gospodarstwo, do Bydgoszczy z mlekiem, właśnie przez ulicę Średnią. Widząc jadącego wozem konnym Franciszka, dowcipny Józef wołał już z daleka, jak go tylko zobaczył: „Jetzt kommt der Franz mit dem Schimmel angefahren” (teraz przyjechał Franz na siwym koniu). Koń faktycznie był siwy, lecz Franz

Ktoby cośkolwiek mógł w tej sprawie podać, niech doniesie policji kryminalnej.

Morderstwo popełnione zostało w Łaksicach. Żona ślusarza kolejowego Anna Gąsiorowska zastrzeloną została rano krótko przed godz. 8. Pocisk karabinowy, gdy się schylała, przeszył jej szyję tak, że śmierć na miejscu nastąpiła. Przypuszczalnie padł strzał od strony dworca do ranżerowania pomiędzy Bydgoszczą i Okolem. Dotąd nie zdołano stwierdzić, kto strzelił.

Osoby, któreby co do strzelca dać mogły jakiegokolwiek informację, zechcą się zgłosić do p. komisarza Bruchmanna.

Notatka prasowa dotycząca śmiertelnego postrzelenia Anny Gąsiorowskiej z d. Szuda w dniu 18.01.1920 roku, źródło: „Dziennik Bydgoski” z dnia 20.01.1920 roku

nie miał poczucia humoru, a zawołanie to każdorazowo znacznie go denerwowało, aż zdzielił kiedyś Józefa batem, co dało koniec jego żartom. Urodzony dnia 7 maja 1892 roku Józef zmarł na zawał serca w listopadzie 1970 roku, naprawiając płot w ogrodzie swojego domu przy ulicy Marii Skłodowskiej 20 w Bydgoszczy.

***Ulica Saperów 207 (Brombergerstraße 119), Szkoła Czteroklasowa Polsko-Katolicka Powszechna w Bydgoszczy***

Z zachowanego w rodzinnych zbiorach świadectwa Szkoły 4-Klasowej Polsko-Katolickiej Powszechniej w Bydgoszczy mojego ojca Brunona wyni-

ka m.in., że „zwiedzał tutejszą szkołę od 1.4.1916 do 28.06.1923”. W dniu 28 czerwca 1923 roku otrzymał „Zaświadczenie zwolnienia”, podpisane przez kierownika tej szkoły Bronisława Sassa i nauczyciela Leona Kaję. Naukę w siedmioklasowej szkole pierwszego stopnia ojciec rozpoczął jeszcze w czasach pruskich, kończąc ją już w polskiej Bydgoszczy (Jachcicach). Szkoła w chwili wydania mojemu ojcu świadectwa, po dokonanej reorganizacji szkolnictwa, była już szkołą czteroklasową. Mieściła się w istniejącym do dzisiaj, choć znacznie zmienionym i niepełniącym już funkcji szkolnych, budynku przy ulicy Saperów 207 (119 przed zmianą numeracji domów) na Jachcicach. Przez okres pobierania nauki mój ojciec zamieszkiwał z rodzicami i rodzeństwem przy pobliskiej ulicy Średniej 59 (obecnie 19).

W rozmowach ojciec często wspominał kierownika tej szkoły Bronisława Sassa, który pełnił tę funkcję w czasach pruskich, a potem także w czasach polskiego panowania. Jak pamiętam, ogólna ocena osoby B. Sassa sformułowana przy wspomnianiu szkolnych czasów przez mojego ojca była pozytywna. Podkreślał jego dbałość o utrzymanie dyscypliny i zapewnienie odpowiedniego poziomu wiedzy młodzieży szkolnej, choć było to często realizowane metodami zapewne znacznie odbiegającymi od ich dzisiejszego pojmowania. Ojciec, jak wielu jego rówieśników, nie zawsze przykładał się do nauki w stopniu zadowalającym kierownika szkoły. Wezwany do niego w tej sprawie na indywidualną rozmowę, po jego dłuższej pedagogicznej tyradzie usłyszał w przeplatany niemiecko-polskim języku pytanie: czy

ty chcesz być besser (lepszym, w domyśle: od innych uczniów), czy Kartoffelfresser (czy pożeraczem kartofli). Pamiętam z opowiadań ojca, że rozmowa ta, mająca zapewne w zamyśle kierownika Sassa wpłynięcie na jego „uczniowską ambicję”, zrobiła na nim duże wrażenie i zwiększyła jego chęć do nauki.

Nabyta w pierwszych czterech latach nauki w pruskiej jeszcze szkole biegła znajomość języka niemieckiego okazywała się wielokrotnie przydatna w jego późniejszym życiu. Językiem tym władał z łatwością do końca swego życia. Oczywiście doskonale władał też językiem polskim, którym posługiwano się w jego jachcickim rodzinnym domu i w którym to języku kontynuował naukę w polskiej już szkole. Zawsze, nawet w czasie zamieszkiwania w okupowanej w latach 1939–1945 Bydgoszczy, deklarował narodowość polską, mimo odczuwanych z tego powodu szkan ze strony niemieckich urzędników.

We wspomnieniach uczniów tej szkoły jej wieloletni kierownik Bronisław Sass (1879–1946) nie posiada opinii jednoznacznej. Był nauczycielem tej szkoły stopnia podstawowego w czasach pruskich lat 1900–1920. W czasach polskich, w latach 1921–1931, był w tej szkole nauczycielem i kierownikiem. Posiadał w swym nauczycielskim życiorysie epizod nauczania w tejże szkole także w okresie niemieckiej okupacji. Po wyzwoleniu w roku 1945 niemieccy mieszkańcy w większości opuścili Jachcice z własnej woli, bądź zostali do tego zmuszeni. Bronisław Sass zamieszkiwał na Jachcicach aż do śmierci. Tajemnicę na patent, w miarę poprawnego współżycia z mieszkańcami swego środowi-



Budynek pruskiej, potem polskiej Szkoły Powszechnej przy ulicy Saperów 207 na Jachcicach, stan sprzed remontu, fot. wykonana przez autora w 2017 roku

ska różnych narodowości, w różnych okresach historycznych i zmian polityczno-ustrojowych, które dotknęły Jachcic, zabrał na zawsze do grobu.

## JACHCICE DZISIAJ

W trakcie budowania przeze mnie od ponad dwudziestu lat drzewa genealogicznego rodziny Gąsiorowskich uzyskałem wiele materiałów o ich związkach z Jachcicami. Poszukiwania te nadal kontynuuję. Mieszkając od kilkadziesiąt lat na pełnych zgiełku i samochodowego ruchu bydgoskich Bar-

todziejach, po każdorazowej wyprawie na Jachcice doznaję tam ulgi dla oczu i uszu. Granice Jachcic wyznaczone od zachodu przez Brdę, od wschodu przez lasy, a od południa przez infrastrukturę kolejową nie są atrakcyjne dla ewentualnej zabudowy deweloperskiej. W sukurs tym naturalnym ograniczeniom rozbudowy Jachcic przychodzi zapewne mentalność mieszkańców, ceniących sobie kameralny charakter swojej dzielnicy. Jachcice są jedną z nielicznych części Bydgoszczy, gdzie ruch samochodowy nie dominuje nad ludźmi. Przeważająca niska zabudowa mieszkaniowa tej dziel-

nicy nie generuje natężonego ruchu, a Jachcice są dzisiaj chyba najbardziej zieloną częścią naszego miasta.

Specyficzna zabudowa domami jednorodzinnymi powoduje, iż posiadacze samochodów parkują je zazwyczaj przy swoich posesjach, co nie stwarza potrzeby wyznaczania wielkopowierzchniowych parkingów. W trakcie niespiesznego oglądania spokojnej w swojej kompozycji, niskiej zabudowy ulicy Półwiejskiej uświadomiłem sobie, że czynność tę wykonuję na środku skrzyżowaniu z ulicą Zakątek, bez obawy (być może na zapas) wejścia w bezpośredni kontakt z jakimś jadącym pojazdem. Wybór takiej pozycji podziwiania wielopiętrowego budownictwa miejskiego mógłby się zakończyć zupełnie inaczej. Podziwiając klimatyczną zabudowę ulicy Półwiejskiej, byłem świadkiem pielęgnowania rabaty, usytuowanej przy ulicznym krawężniku i obsadzonej pięknie krzewiącą się lawendą, przez mieszkankę pobliskiego domu. Jest to w sposób oczywisty sytuacja trudna do zaobserwowania w dzielnicach śródmiejskich i blokowych.

Zasadniczej zmianie uległ wygląd najbardziej jachcickiej ulicy moich przodków, Średniej, od lat 90. ubiegłego wieku, czyli od czasów moich pierwszych fascynacji tą piękną dzielnicą Bydgoszczy. Fascynacji zaszczepionej mi przez ojca i jego siostrę Helenę. Kamienny bruk ulicy został zastąpiony cementową kostką, a stare rosłe drzewa – nowymi nasadzeniami. Elewacje wielu kamienic zostały ocieplone, a parkujący na zrobionym wtedy przeze mnie zdjęciu ulicy, wysłużony samochód Fiat 125p został dzisiaj zastąpiony rzędem współczesnych „cudów” motoryzacji.

## PO LATACH...

Będąc na Jachcicach, w sposób niekiedy nieuświadomiony, kieruję się do najbardziej oczywistego śladu po moich jachcickich przodkach – w pobliże domu mojego pradziada Piotra Gąsiorowskiego przy ulicy Średniej 29. Dom pradziada Piotra stoi w stanie niewiele zmienionym od czasów jego postawienia. Zauważalna różnica wyglądu w odniesieniu do fotografii, którą kiedyś wykonałem, to pnąca się dzisiaj aż do dachu, okazała hortensja na frontonie domu.

Po raz pierwszy dla mnie, w latach 90. ubiegłego wieku, odbyłem tam wspólną wyprawę z moim ojcem i jego siostrą. Podczas spaceru ulicą Średnią moi „przewodnicy” spotkali kilku dawnych sąsiadów z okresu zamieszkiwania na Jachcicach, wymieniając wspomnieniowe informacje o tamtych czasach, o jachciczanych, którzy już odeszli, trudnym pod wieloma względami czasie międzywojnia, okresie nauki w szkole i wielu innych sprawach. I tu nachodzi mnie po czasie budząca poczucie winy refleksja... Sprawa, której dzisiaj nie da się cofnąć ani naprawić: popełniony przeze mnie grzech niezadanych wielu pytań w trakcie tamtych spotkań z osobami, które odeszły, a które posiadały przecież wiele informacji o Jachcicach i ich mieszkańcach z tamtych lat... Uzyskane wtedy odpowiedzi byłyby z dzisiejszej wspomnieniowej perspektywy niezwykle cenne. To skutki nieuważności młodego wieku.

Budując drzewo genealogiczne Gąsiorowskich, odnalazłem wiele śladów materialnych lub tylko symbolicznych moich jachcickich przodków. Jeszcze inne ślady to zachowane archiwalne



Pompa abisyńska na podwórzu posesji przy ulicy Średniej 19, fot. ze zbiorów autora

dokumenty, ale też tylko punkty geograficzne na starych mapach.

Piotr Gąsiorowski, mój pradziad, zmarł w dniu 2 listopada 1907 roku, w wieku 58 lat, w Zakładzie dla Psychiczenie Chorych w Dziekance koło Gniezna. Prowadzona kwerenda w Archiwum Państwowym w Poznaniu o Gniezno (Dziekanka jest obecnie częścią Gniezna) oraz w Archiwum Kurii Metropolitalnej w Poznaniu, celem odnalezienia grobu pradziada, nie przyniosła niestety pozytywnego rezultatu.

Prochy mojego pradziada spoczywają prawdopodobnie na cmentarzu przy szpitalu „Dziekanka”, dzisiaj nieczynnym i opuszczonym, z zachowanymi nielicznymi nagrobkami.

Cmentarz powstał w roku 1894 wraz z budową Szpitala dla Psychiczenie i Nerwowo Chorych. Chowani tam byli zmarli pacjenci szpitala. W dokumencie zgonu sporządzonym w dniu 2 listopada 1907 roku w ówczesnym pruskim Urzędzie Stanu Cywilnego w Gnieźnie (niem. Gnesen) przyczynę

zgonu Piotra Gąsiorowskiego określiło jako „zapalenie płuc (niem. Lungenentzündung)”.

Franciszek Gąsiorowski, mój dziad, zmarł w dniu 11 września 1940 roku o godzinie 15.40 w swoim mieszkaniu, jak to skrupulatnie zapisał niemiecki urzędnik stanu cywilnego Hanne. Pamiętam panujące w naszej rodzinie przekonanie, iż grób dziadka Franciszka nie istnieje, a miejsce to zostało zapewne wykorzystane do innego pochówku. Okupacyjny czas i powszechna wtedy bieda nie stwarzały zapewne warunków do postawienia zmarłemu nagrobka. Kierowany niewytłumaczalnym impulsem (co prawda śnił mi się dziadek Franciszek co jakiś czas), w dniu 9 lipca 2015 roku udałem się do biura parafialnego kościoła przy placu Piastowskim, gdzie pozyskałem informację, iż pogrzeb Franciszka odbył się 15 września 1940 roku. Podczas wizyty w tej sprawie, jeszcze w tym samym dniu, ale już w biurze cmentarnym przy ulicy Ludwikowo, uzyskałem zaskakującą informację, że miejsce pochówku dziadka Franciszka istnieje nienaruszone – nie zostało wykorzystane do innego pochówku! Kierująca biurem cmentarnym pani Aleksandra Gatza, korzystając z „googlowskiej” aplikacji cmentarza, pokazała mi na ekranie monitora miejsce pochówku Franciszka, wyrażając jednocześnie zdziwienie, że miejsce to nie zostało po upływie siedemdziesięciu pięciu lat od pogrzebu Franciszka wykorzystane do innego pochówku.

Potem dopiero się zorientowałem, że chyba zbyt pośpiesznie opuściłem biuro cmentarza, chcąc jak najszybciej dotrzeć na wskazane mi miejsce pochówku Franciszka. Po pokonaniu

tej, w moim odczuciu chyba najdłuższej w życiu drogi bez trudu znalazłem miejsce wiecznego spoczynku dziadka Franciszka Gąsiorowskiego. Stojąc nad splantowanym miejscem pochówku dziadka, przeżywałem chwile, jakie w życiu nie zdarzają się zbyt często. Z niedaleka dochodziły odgłosy przejeżdżających pociągów. Tak zapewne zegnały też Franciszka pociągi w dniu jego pogrzebu, po tym jak na pobliskiej kolei przepracował długie lata. Po zapaleniu znicza i wyrysowaniu patykiem krzyża w miejscu jego wiecznego spoczynku dokonałem w biurze kościoła przy placu Piastowskim „zabezpieczenia” miejsca przed ewentualnym jego wykorzystaniem na inny pochówek. Po siedemdziesięciu pięciu latach od śmierci Franciszka w miejscu jego wiecznego spoczynku stanął pomnik.

Owdowiała żona Piotra, Jakobina Gąsiorowska, moja prababka, zmarła w Wigilię Świąt Bożego Narodzenia roku 1915. Moje ustalenia dokonane w oparciu o dokumentację kościoła Katedralnego przy ulicy Farnej 2 w Bydgoszczy i zapiski w Księdze Pochówków dla Cmentarza Nowofarnego przy ulicy Artyleryjskiej 10 w Bydgoszczy pozwoliły na odnalezienie miejsca pochówku mojej prababki Jakobiny. Po dotarciu na miejsce jej pochówku potwierdziły się informacje z Księgi Pochówków, iż na jej szczątkach dokonano potem dwukrotnego pogrzebania innych zmarłych. Zapaliłem w tym miejscu znicz.

Odwiedzając co jakiś Jachcice, odkrywam często zaskakujące, nowe dla mnie szczegóły historii moich przodków. Oglądając ocieploną i odnowioną elewację domu przy ulicy Średniej 19, gdzie do sierpnia 1932 roku moi dziadkowie Franciszek i Weronika

wraz z czworgiem swoich dzieci wynajmowali lokal nr 3, kierowany niewytłumaczalnym impulsem, wszedłem na podwórze tego budynku i po kilku krokach stanąłem jak wryty... Przedemną, na wyciągnięcie ręki, stała żeliwna, ręczna pompa abisyńska, przy której Franciszek wystrzelił kiedyś w powietrze z posiadanego pistoletu, okazując swoją frustrację wobec właściciela domu. Usytuowana teraz niefunkcjonalnie przy postawionym w oficynie nowym budynku, pozbawiona wylewki, tkwi tam uparcie od ponad stu lat na przekór logice i potrzebie. Przecież znakomita większość tych urządzeń została zdemontowana po powstaniu na Jachcicach sieci wodociągowej!

Podziwiając odnowioną i ocieploną elewację dawnej szkoły przy ulicy Saperów 207, zostałem pozytywnie zaskoczony umieszczoną przy głównym wejściu tablicą informującą o historii tego budynku – pierwszej powszechnej jachcickiej szkoły, nazywanej przez mojego ojca z autoironią, ale też z wyraźną czułością, Pantoffelschule („kapciowa szkoła”).

Przebywając na ulicy Jednostronnej, gdzie na terenie obecnie istniejących ogrodów ROD „Nad Brdą” mój pradziad Piotr zamieszkiwał z rodziną i prowadził warsztat kowalski, zwiedziłem te ogrody, podziwiając ich piękny stan utrzymania. W rozmowie z działkowiczami uzyskałem informacje, że ich starsi poprzednicy wspominali o istniejącej kiedyś na tym terenie cegielni i kilku oczkach wodnych, będących prawdopodobnie miejscami pozyskiwania gliny.

Kończąc kiedyś kolejny retrospektywny spacer po Jachcicach, udałem się na cmentarze położone w niewiel-

kiej odległości od miejsca życia i pracy moich jachcickich przodków. Na cmentarzu przy ulicy Ludwikowo stanąłem nad grobami dziadka Franciszka, babki Weroniki, ich dzieci Heleny i Jerzego. Po drugiej stronie torów kolejowych, przy ulicy Artyleryjskiej, na cmentarzu parafii farniej, stanąłem przy nieistniejącej już mogile – miejscu pochówku Jakobiny, żony Piotra, mojego jachcickiego pradziada. Te niewiele od siebie oddalone miejsca życia i wiecznego spoczynku moich jachcickich przodków przypominają zamknięty krąg życia i śmierci.

● MARIUSZ MODRACKI

# ZAWISZA BYDGOSZCZ 1989/1990

WSPOMNIENIA SPISAŁ KRZYSZTOF NOWICKI

• MARIUSZ MODRACKI •



Na boisku Błękitnych Wójcin.  
Fot. archiwum Mariusza Modrackiego

Pamiętam, jak będąc młodym chłopakiem, pierwszy raz wszedłem na obiekt Zawiszy Bydgoszcz, zobaczyłem stadion i pomyślałem, że zrobię wszystko, aby kiedyś zagrać wielki mecz na tej murawie. Musiało minąć kilka dobrych lat, nim na inaugurację pamiętnego se-

zonu 1989/1990, kiedy Zawisza wrócił do ekstraklasy, zdobyłem zwycięską bramkę w meczu ze Śląskiem Wrocław i spełniłem swoje marzenie.

A wszystko zaczęło się w mojej rodzinnej wsi Wójcin niedaleko Mogilna. Grałem tam w małym klubie Błękitni



Zawisza Bydgoszcz – GKS Jastrzębie, kibice po meczu barażowym.  
Fot. Janina Puchowska

Wójcini i pamiętam jak dziś mecz z Cukrownikiem Tuczno. Przed meczem otrzymaliśmy nowe dresy, co było wielkim powodem naszego zadowolenia. Dresy były zielone, a drużyna nazywała się Błękitni, więc wyglądaliśmy niestety trochę komicznie. Na sam mecz pojechaliśmy około pięćdziesięciu kilometrów dziurawą drogą pojazdem marki Lublin z plandeką, siedząc na ławkach na pace auta tyłem do kierunku jazdy, co u kilku kolegów spowodowało spadek formy przed meczem. Same zawody też miały swój specyficzny przebieg. Strzeliłem pierwszą i ostatnią bramkę w tym meczu. Niestety przegraliśmy, a między moimi

dwiema bramkami Cukrownik strzelił nam trzynaście goli. Wracając, otrzymaliśmy klubową dietę w wysokości pięciu złotych, za którą każdy z nas po meczu kupił sobie w barze w Wójcinie bigos. Następnie z wielkim zadowoleniem rozeszliśmy się do pobliskich domów. To była wspaniała przygoda.

Mimo wszystko musiałem dobrze wypadać w tych meczach ligi regionalnej, skoro pod koniec lat siedemdziesiątych otrzymałem powołanie na konsultacje wojewódzkiej kadry juniorów, a następnie trafiłem do drużyny Orliki Zawiszy, która była zlepkiem juniorów Wojskowego Klubu Sportowego Zawisza Bydgoszcz i najlepszych zawodni-



Początek lat 80., boczne boisko Zawiszy Bydgoszcz.  
Fot. archiwum Mariusza Modrackiego

ków z województwa, których ściągnął Stasiu Montewski. Już wtedy spotkałem Pawła Straszewskiego, Mirka Rzepę czy Franka Jarosza, z którym mam dobry kontakt do dziś. W tym gronie zdobyliśmy mistrzostwo Polski juniorów, a moja kariera piłkarska nabierała rozpędu.

Na początku lat osiemdziesiątych otrzymałem powołanie do reprezentacji Polski juniorów i pojechałem na Mistrzostwa Europy do Finlandii, gdzie zdobyliśmy brązowy medal. O tym sukcesie zrobiło się głośno. Kiedy po powrocie wysiadłem z promu, podszedł do mnie przedstawiciel Lecha Poznań, który zaproponował granie dla tej druży-

ny. Pojechałem z nim do Poznania i już byłem po słowie, ale niestety na tę propozycję zareagował mój bydgoski klub: po powrocie do Bydgoszczy otrzymałem „bilet do wojska”, co spowodowało, że nie doszły do skutku moje przenosiny do Poznania. To „zagranie” ze strony bydgoskich działaczy zatrzymało mój rozwój piłkarski i rzeczywiście trafiłem do jednostki. W międzyczasie moi koledzy z reprezentacji zdobyli brązowy medal na Mistrzostwach Świata w Meksyku. Wtedy zaczęła działać moja siostra, która przyszła do biura klubu Zawiszy i w sposób dosadny wyraziła swoje niezadowolenie z zaistniałej sytuacji.



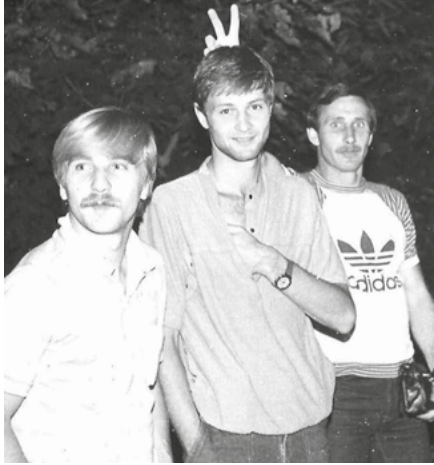
Zawisza Bydgoszcz – GKS Jastrzębie, koniec meczu.  
Fot. Janina Puchowska

Po tej interwencji trafiłem z jednostki do drużyny seniorów Wojskowego Klubu Sportowego Zawisza Bydgoszcz, która wtedy grała w drugiej lidze. I to już był ten skład, którym chwilę później zawojowaliśmy pierwszą ligę w sezonie 1989/1990. W zespole byli m.in. doświadczony Andrzej Brończyk pochodzący z Inowrocławia, Robert Matuszewski z Solca Kujawskiego, Adam Kwaśniewski z Ciecchocinka, Darek Pasieka z Chojnic, Krzysiek Arndt z Nakła nad Notecią, Jacek Kot z Ustki, Darek Durda z Torunia oraz Franek Jarosz i Mirek Rzepa z Bydgoszczy. W pewnym momencie doszedł do nas Piotrek Nowak, który został ściągnięty z Pabianic. Trenerem był już wtedy niezwykle opanowany i empatyczny Władek Stachurski.

Od początku sezonu 1988/1989 drużyna scalila się, była świetna at-

mosfera między zawodnikami i szło nam bardzo dobrze przez całą rundę jesienią. Później wydarzenia przez jakiś czas toczyły się niezgodnie z założonym planem...

Na wiosnę 1989 roku pojechaliliśmy do Sosnowca na obóz przygotowawczy. To był w tamtych czasach bogaty region, więc kiedy dostaliśmy możliwość zrobienia zakupów w jakimś górniczym sklepie, gdzie było mnóstwo towaru, to później każdy w hotelowej lodówce miał pełno jedzenia. Niestety, do jednego z posiłków w hotelu w Sosnowcu były sos tatarski i galaretką z drobiem i prawdopodobnie od tego większość zespołu zatrula się salmonellą i wyładowała w szpitalu na dłużej, z ciężkim zatruciem pokarmowym. Zdrowe zostały się trzy osoby: ja (mimo że także spożywałem to jedzenie), Jacek Kot i kierowca Stasiu Dębiński.



Mariusz Modracki, Franek Jarosz, Andrzej Brończyk, powrót z meczu ligowego.  
Fot. archiwum Mariusza Modrackiego

Ta restauracja w naszym hotelu w Sosnowcu została wtedy zamknięta, a my we trójkę jeździliśmy prawie pustym autokarem na posiłki do wyznaczonej restauracji do Bytomia. Nudziło nam się bardzo, więc w międzyczasie kupowaliśmy gazetę i czytaliśmy, gdzie jest mecz, i jeździliśmy tym pustym autokarem do Tychów i innych ośrodków, oglądać sparingi innych drużyn. Świetnie się bawiliśmy, niestety koledzy mniej. Pewnego razu pojechalśmy do szpitala ich odwiedzić, a oni wszyscy oferowali nam to jedzenie ze swoich hotelowych lodówek, aby się nie zmarnowało.

Po przyjeździe z Sosnowca mieliśmy kilka pierwszych meczów przelozonych, a klub zadbał w pełni o nasze zdrowie, organizując przez pierwsze tygodnie dodatkową pomoc lekarską, dietetyka i specjalne zbilansowane

posiłki od rana do wieczora w klubie. Na koniec rundy wiosennej zajęliśmy drugie miejsce w lidze i 1 lipca 1989 roku zagraliśmy w Bydgoszczy decydujący mecz barażu z GKS-em Jastrzębie o awans do pierwszej ligi.

Pamiętam, że mieliśmy szatnię z małym okienkiem na trybuny i ktoś patrząc przez szybę powiedział, że już nie ma wolnych miejsc. Na początku nikt nie wierzył, ale potem każdy w to okienko starał się zajrzeć i okazało się, że na mecz przyszły wielkie tłumy kibiców. My byliśmy wtedy pewni swojej siły piłkarsko. Przy bramce na 2:0 Darek Durda tak zakręcił w polu karnym i wpakował piłkę pod poprzeczkę, że mam to nadal przed oczami. Po ostatnim gwizdku fani wbiegli na murawę, a my, piłkarze, na ich ramionach wędrowaliśmy do szatni. To była sza-

lona radość: dwadzieścia pięć tysięcy kibiców, którzy obserwowali ten historyczny awans.

Po awansie pierwszy mecz w ekstraklasie graliśmy u siebie ze Śląskiem Wrocław 30 lipca 1989 roku. To był pojedynek klubów wojskowych, gdzie Zawisza to był klub wojskowy, ale trzeciej kategorii. Najpierw była Legia, która mogła wszystko, potem był właśnie Śląsk, który mógł prawie wszystko, a dopiero potem byliśmy my i z tego powodu też mieliśmy coś do udowodnienia. Wyszliśmy na ten mecz w składzie: Andrzej Brończyk, Adam Kwaśniewski, Dariusz Pasieka, Franciszek Jarosz, Mirosław Rzepa, Paweł Straszewski, Dariusz Durda, Piotr Nowak, Krzysztof Arndt, Jacek Kot i ja. W drugiej połowie atakowaliśmy na tę bramkę bliżej Szpitala Wojskowego. W pięćdziesiątej pierwszej minucie meczu, po otrzymaniu piłki od Mirka Rzepy, przyjąłem ją w narożniku pola karnego, ograłem najpierw reprezentanta kraju Romana Szewczyka, zakładając mu siatkę. Potem nabiegał na mnie chyba Jarek Góra i zdecydowałem się przelożyć piłkę na lewą nogę, którą posiadam i tyle można o niej piłkarsko powiedzieć, jednak wtedy zdecydowałem się na strzał właśnie lewą po krótkim słupku, a piłka wpadła do bramki późniejszego kadrowicza Adama Matyska. Cały stadion, który znów był pełen, eksplodował! Niestety moja mama, która wtedy przyjechała, nie zobaczyła tej bramki, bo po pierwszej połowie z nerwów pojechała z powrotem do domu.

W czwartej kolejce pojechaliśmy do Poznania na mecz z Lechem. W Poznaniu grali wtedy m.in. Juskowiak, Trzeciak, Jakolcewicz, Kryger, Bayer. Na początku przegrywaliśmy po bramce

Dariusza Skrzypczaka, jednak kiedy Czesław Jakolcewicz nie wykorzystał rzutu karnego na 2:0, to my przejęliśmy inicjatywę, strzelając na wyjeździe Lechowi pięć bramek, z czego aż cztery (!) strzelił Jacek Kot, a jedną Piotr Nowak. Feta po meczu była szalona, a nastroje jak zwykle tonował niezastąpiony Władek Stachurski.

W tamtym czasie świetnie mi się grało właśnie ze wspomnianym Piotrem Nowakiem. Wcześniej znaleźliśmy się z reprezentacji juniorów. Dodatkowo w czasach grania w Zawiszy mieszkaliśmy w Bydgoszczy niedaleko siebie i spotykaliśmy się często z rodzinami po treningach. Zawsze mogłem liczyć, że on wymyśli na boisku coś na tyle niekonwencjonalnego, że ta piłka do mnie trafi. Najlepiej zawsze czułem się, grając jako wysunięty napastnik, więc czekałem zawsze na dobre podanie od Piotra, który finalnie jako jedyny z tego naszego składu zrobił międzynarodową karierę.

Już podczas rundy wiosennej 21 kwietnia 1990 roku mieliśmy wyjazd do Chorzowa na mecz z Ruchem. Kiedy jechaliśmy na zawody, słyszeliśmy, że to jest bardzo specyficzny stadion. Linie boiska na szerokiej murawie były słabo widoczne, a do tego trybuny były tam drewniane i ta niewielka widownia na poziomie około trzech tysięcy osób na stadionie przy ulicy Cichej robiła taki tumult, że trudno się grało. Mimo to wywieźliśmy wtedy trzy punkty z Chorzowa, po dwóch bramkach Krzysia Arndta i jednej Piotra Nowaka, i po dwudziestej czwartej kolejce z trzydziestu planowanych w sezonie zostaliśmy liderem ekstraklasy!

Tydzień później na nasz stadion przy ulicy Gdańskiej przyjechała Legia,



Zawisza Bydgoszcz, skład w sezonie 1989–1990.  
Fot. Janina Puchowska

która miała w składzie m.in. Szcześnego, Józwiaka, Bąka, Pisza i Koseckiego. Jako liderzy ligowej tabeli dostaliśmy w tym dniu nowy sprzęt z Holandii, od firmy Johana Cruyffa. Przez jakiś czas nikt nie myślał o samym meczu, tylko każdy próbował znaleźć dla siebie najlepsze dresy, buty, ortaliony. Słabo weszliśmy w ten mecz, Legia wykorzystała nasz słabszy moment i po bramkach Pisza i Łatki ograła nas 2:0. Po tym feralnym spotkaniu nasza gra pod koniec sezonu się posypała i skończyli-

śmy na czwartym miejscu w lidze, które nie pozwoliło nam grać w europejskich pucharach.

Jednocześnie, mimo niedosytu, należy podkreślić, że to czwarte miejsce po latach trzeba uznać za wielki sukces. Dodatkowo nadal jestem najlepszym strzelcem Zawiszy w historii klubu w seniorach, bo strzeliłem przez te kilka lat siedemdziesiąt dwie bramki, czego do tej pory nikt nie poprawił. Moje marzenie z dzieciństwa spełniło się z nawiązką.

## KAJAKIEM ZAWISZY PO BRDZIE

Nie pamiętam, który to był rok, może 1994 albo 1995. Tak jak teraz, pachniało jesienią. Uwielbiam ten zapach. Spadające z drzew liście, we wszystkich kolorach, jakie stworzyła natura. Jadąc z Fordonu, a dokładniej z Osiedla Tatrzańskiego, na trening, cieszyłam się, że podjechał autobus MAN linii 72. Pokonywałam tę trasę codziennie od przystanku na Tatrzańskim do pętli na Wyścigowej i w MAN-ach czuć było taki ładny zapach, jakby zamiastkę Zachodu, który nieśmiało wkraczał do nas. W przeciwieństwie do ikarusów, było tam ciepło i w miarę wygodnie. Autobus zazwyczaj pokonywał trasę w trzydzieści, trzydzieści pięć minut, na pętli czekały już tramwaje. Na trening docierałam linią numer 3 po kolejnych dwudziestu–trzydziestu minutach, wysiadając na moście na Focha. Przejście z przystanku do klubu (po wiecznie remontowanym moście) zajmowało mi kilka minut. Zawsze byłam dużo przed czasem, więc mogłam iść wolno. Tak, żeby nasycić się zapachami jesieni. Idąc wśród szpaleru kasztanowców, czułam, że za chwilę skończy się sezon, że z wody przeniesiemy się do sali gimnastycz-

nej, siłowni i na basen, że nie będziemy już spotykać się „z tymi” z Kopernika i Łączności (po tej stronie Brdy były dwa kluby kajakarskie: Zawisza i Łączność, Kopernik, a Astoria za służą). Gdy dochodziłam do bramy klubu, widziałam te stare budynki naszych szatni, które lata świetności mają już dawno za sobą.

Jako najmłodsza z rodziny chciałam kontynuować tradycje kajakarskie, które zapoczątkował mój tata. On co prawda trenował na Astorii, ale ja chciałam, tak jak moja starsza siostra, mój niedościgniony wzór do naśladowania, na Zawiszy. Nie przeszkadzało mi to, że musiałam codziennie wstawać o piątej rano i pokonywać trasę z Fordonu do centrum. Lubiałam ten sport, te emocje, naszą społeczność klubową. Mimo starych budynków, często niedziałających pryszniców, śmierdzących stęchłąką szatni, czułam się szczęśliwa, że za kilka chwil to miejsce zacznie tętnić naszym młodym kajakarskim życiem. Jak tylko zebraliśmy się, czekając na trenera, dyskutowaliśmy nad tym, kto z kim dzisiaj zejdzie na wodę, w jakich kombinacjach będzie trening, na jednokach dwójkach, a może luźniej – na

czwórce. Nasz hangar wymagał remontu już od dawien dawna. Ale wchodząc po schodach po łódkę, wiedziałam, że w każdej chwili mogę spotkać kogoś z naszych mistrzów olimpijskich czy świata. Ten hangar to była historia. Historia naszych treningów, naszych łez, nadziei czy porażek. Pachniało tam marzeniami, potem i wytrwałością. Każdy, kto schodził na wodę, musiał wpisać się do księgi, na jaki kajak, o której wypływa, a po powrocie – o której godzinie wrócił. Można było sprawdzić, kto już zaczął trening z tych starszych, tych bardziej doświadczonych, i kogo można po drodze spotkać.

Nad nami czuwał trener i zawsze wpływał na motorówce. Końcówka sezonu, zimne poranki, więc poranny trening wymagał od nas porządnej rozgrzewki. Przed zejściem na wodę – pięć kółeczek biegiem na Wyspie Młyńskiej. Wyspa Młyńska lat dziewięćdziesiątych to chyba najbardziej niebezpieczne miejsce, jakie pamiętam z centrum Bydgoszczy. Dobrze, że było wcześniej rano, to były małe szanse na spotkanie z imprezowiczami dnia poprzedniego. Szybkie tempo i to, co lubiliśmy najbardziej: przygotowanie sprzętu. Tego dnia schodziłyśmy z koleżanką na dwójkę – jedna z tradycji rodzinnych zachowana, bo byłam szlakową, czyli na pierwszej dziurze, jak mój tata. Z moją partnerką bardzo dobrze się rozumiałyśmy, nasza dwójka szła jak marzenie. Tylko kilka dni dzieliło nas od ostatnich zawodów w sezonie, o Błękitną Wstęgę Brdy. Czułyśmy, że to ten moment, że chyba nam się uda, że mamy szansę. Te zawody były nietypowe, bo nie odbywały się na torze regatowym, a na rzece. Czekałyśmy na ten sprawdzian z niecierpliwością. Jeszcze kilka dni...

Po zejściu na wodę i przepłynięciu obok fary czekał nas jeden z najgorszych odcinków, między Mostową a Bernardyńską. Zabetonowany, a na końcu po prawej stronie, za spichrzami, prawie przy moście Bernardyńskim, zawsze siedzieli panowie raczący się fioletowym trunkiem. Kilka razy zdarzyło się, że rzucali w naszą stronę kamienie, o wyzwiskach nie wspominając. Dalej nie było lepiej. Browary Bydgoskie i Bydgoskie Zakłady Mięsne. Z naszej kajakarskiej perspektywy były to fetory i obleśne grafitowo czarne coś pływające po rzece. To były czasy, gdzie o ochronie środowiska we władzach miasta zapewne nie dyskutowano tak często i głośno, jak obecnie. Te dwa zakłady bardzo zanieczyszczały rzekę. Ale i tak to lubiłam, mimo smrodu i brudu nasze treningi były czymś najwspanialszym na świecie. Po powrocie na stanicę trzeba było wnieść łódkę, wybrać z niej wodę i odstawić na miejsce. Wypisać się z książki i odwieść wiosło. Schodząc po schodach hangaru, czułam, jak endorfiny szaleją, jeszcze tylko ciepły prysznic (pod warunkiem, że będzie ciepła woda) i można iść na drugą stronę Brdy do szkoły.

Pamiętam dzień zawodów. Jesienne deszcze i poranne schodzenie na wodę zaowocowały zapaleniem oskrzeli. Nie przyznałam się do tego nikomu oprócz mojej siostry. To był chyba najpiękniejszy dzień w moim dotychczasowym życiu. Moja siostra z mężem stali na brzegu. Pamiętam, że tego dnia była ze mnie dumna. A ja byłam dumna, że moja siostra tego dnia była przy mnie.

Od tej chwili uwierzyłam w siebie, uwierzyłam w moją małą dwuosobową drużynę, że możemy wygrywać, że nasza kajakowa dwójka ma szansę

w przyszłym sezonie wygrać na regatach. Wiedziałam, że zima to czas bardzo ciężkiej pracy na siłowni, na basenie, podczas biegania. Postanowiłam, że dam z siebie wszystko. Już kilka dni później skończyliśmy sezon wodny, a w nagrodę za wygranie ostatnich zawodów dostałyśmy drewnianą łódkę, dunkę. To był superkajak, ale wymagał remontu. Wyprosiłyśmy z koleżanką u trenera i skutnika, że same ją przygotujemy na wiosnę, po treningach. Skutnik z trenerem dali nam stanowisko, w kanciapie na dole, pod hangarem. Miałyśmy watę szklaną, żywicę, papier ścierny i zapal do pracy. Zimowe treningi były inne – stara sala gimnastyczna, na której graliśmy zarówno w kosza, piłkę nożną i rozkładaliśmy siłownię – nie zachęcała do wysiłku. Nie było tam klimatyzacji czy wentylacji. Urok naszych treningów tkwił w tym, że lubiliśmy się nawzajem, że lubiliśmy te zajęcia, że byliśmy częścią Zawiszy, wielkiego klubu z historią, w którym kształtowali się mistrzowie. Zawsze po treningu zostawałyśmy, szykować naszą wymarzoną drewnianą łódkę. Zimą nie było łatwo w nieogrzewanym pomieszczeniu, ale było warto. Co prawda po zakończonej renowacji ważyła, o ile

dobrze pamiętam, około dwóch–trzech kilogramów więcej, niż powinna, ale była to najpiękniejsza i najlepsza dwójka w całym klubie i na całym świecie.

Niedawno przechodziłam obok jego starego Zawiszy. Przystanęłam na moście. Akurat młodzież była w trakcie treningu. Zamknęłam oczy i poczułam ten zapach, co trzydzieści lat temu. Zapach marzeń, wyrzeczeń, nadziei i ciężkiej pracy. Widziałam, jak fajne warunki mają ci młodzi ludzie do uprawiania tego sportu. Nowoczesne pomieszczenia, dobry sprzęt, bezpieczną i piękną Wyspę Młyńską. Nikt do nich nie mierzy z broni, bo jakiś przestępca wskoczył do rzeki i chwycił się kajaka, a policjanci z brzegu celowali do niego (taka historia wydarzyła się podczas jednego z porannych treningów!). Nasze historie, historie naszych treningów, naszych sukcesów i spełnionych bądź zawiedzionych ambicji, mimo zburzonych budynków (szatni, hangaru, siłowni), na miejscu których powstały piękne, nowoczesne pomieszczenia, na zawsze pozostaną częścią tego miejsca. Do tych, którzy zostawili część swojego życia na Zawiszy: dziękuję wam za to, że mogłam być częścią tego klubu, że spotkałam was na swojej drodze!

## 200 LAT BYDGOSKIEJ DRUKARNI – HISTORIA ZAPISANA CZCIONKĄ

Odkąd sięgam pamięcią, w domu mojej babci, Heleny Góreckiej, zawsze słychać było uderzenia maszyny do pisania. Metaliczny stukot klawiszy mieszał się z zapachem kawy, również zbożowej, ale i nieraz papierosów Zefir w zielonej paczce. Babcia, z domu Gąsiorowska, przez całe swoje zawodowe życie związana była z bydgoskimi Zakładami Graficznymi. Kochała książki, litery, papier – i miała w sobie coś z artystki. Potrafiła pędzelkiem kolorować czarno-białe fotografie, robiła ozdobne laurki, pisała wiersze, tłumaczyła z niemieckiego na polski i odwrotnie, wszystko na swojej starej, wysłużonej maszynie, a potem również na całkiem nowym modelu.

W połowie lat osiemdziesiątych razem ze starszym bratem odkrywaliśmy ten cud techniki – podnosiliśmy materiał, którym była przykryta, i z zachwytem stukaliśmy w klawisze, obserwując, jak litery odciskają się na kartce. Babcia tylko się uśmiechała – wiedziała, że zaraz narobimy bałaganu, ale nigdy nie zabraniała.

W rodzinie do dziś krążą anegdoty – jak wtedy, gdy mój brat, mając może

cztery lata, zawołał z drugiego pokoju: „Babciu, czy można się przykleić do ściany? Bo ja chyba właśnie się przykleilem!”. Albo ta z wazonem – pięknym, przytapczanowym, który rozbił się w drobny mak. Babcia nie krzyczała, nie gniewała się – z odłamków zrobiła doniczkę. I trzymała ją przez lata.

### KORZENIE Z CZCIONKI I OŁOWIU

#### ***Od toruńskiego drukarza do bydgoskiej tradycji w okresie międzywojennym***

Początki bydgoskiego drukarstwa sięgają końca XVIII wieku. To wówczas Jan Adam Kimmel – toruński drukarz, który nie zdołał utrzymać się na tamtejszym rynku – postanowił przenieść swoją oficynę do Bydgoszczy. Po latach starań o pruskie zezwolenie przekazał prawa drukarskie swojemu pasierbowi, Andreasowi Friedrichowi Gruenauerowi (1764–1829).

W październiku 1806 roku Gruenauer uruchomił pierwszą drukarnię w oficynie przy ulicy Poznańskiej 35,



Dawna drukarnia Gruenauera, z kutą bramą na dziedziniec, XX wiek  
(w tle kościół Klarysek). Szkic autorstwa Ewy Budny

a już dziewięć lat później, w 1815 roku, otworzył nowoczesny budynek drukarni przy ulicy Jagiellońskiej 1, na terenie dawnego ogrodu sióstr klarysek.

Zakład Gruenauera drukował m.in. pierwszą bydgoską gazetę – „Dziennik Tygodniowy Departamentu Bydgoskiego”, a także dokumenty urzędowe Księstwa Warszawskiego, w tym Konstytucję z 23 września 1807 roku. W kolejnych dziesięcioleciach powstawały tu

rozkłady jazdy kolei, formularze i publikacje dla pruskiej administracji.

W drugiej połowie XIX wieku drukarnię zmodernizowano: w 1875 roku uruchomiono maszynę parową, zainstalowano oświetlenie gazowe i pierwsze urządzenia elektryczne. Zatrudnienie wzrosło z siedemdziesięciu pięciu osób w 1831 roku do ponad dwustu trzydziestu przed pierwszą wojną światową. Przez cały ten czas zakład znany był jako „Drukarnia Gruenauera”.



Helena i Jan Górecki, 1946 rok. Fot. archiwum rodzinne

### ***Polska spółka i złoty okres międzywojenny***

W 1920 roku drukarnię odkupił Władysław Kościelski – poeta, mecenas i tłumacz, który powołał Zakłady Graficzne Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska”. Była to spółka akcyjna, której udziałowcami byli m.in. Jan Kasprzewicz, Wacław Berent i Leopold Staff.

W dwudziestoleciu międzywojennym drukarnia przy ulicy Jagiellońskiej należała do najnowocześniejszych w kraju. Powstawały tu podręczniki, dzieła naukowe, utwory beletrystyczne, mapy i albumy. Łącznie do 1939 roku wydano ponad osiemset tytułów, a publikacje wyróżniały się znakomitym po-

ziomem edytorskim. Nad szatą graficzną czuwał znany artysta Stanisław Brzęczkowski (1897–1955).

Zakład był kilkakrotnie modernizowany – zakupiono dwieście nowych maszyn i uruchomiono działy: offsetowy, chemigraficzny i rotograwiurowy.

W 1939 roku zatrudniał już sześćdziesiąt pracowników i zdobywał nagrody na wystawach przemysłowych.

Helena Gąsiorowska urodziła się w 1922 roku, jako najmłodsze z czwórki rodzeństwa. Dwaj starsi bracia – Jerzy i Brunon – związali swoje życie z koleją. Po wyjeździe Heleny na przymusowe roboty do Niemiec w rodzinnej Bydgoszczy zmarł jej tata – Franciszek (mój pradziadek). W tych dramatycz-



Lidia Górecka (Hoppe), córka Heleny i Jana, plac Wolności, 1953 rok. Fot. archiwum rodzinne

nych okolicznościach rodzina wystarała się o powrót Helenki do Bydgoszczy pod koniec 1940 roku. Zamiast pracy przymusowej w Niemczech otrzymała zatrudnienie w niemieckiej drukarni przy ulicy Jagiellońskiej w Bydgoszczy.

Zakład, przejęty wtedy przez Niemców, drukował gazetę „Deutsche Rundschau”. Polska prasa była zlikwidowana, a wielu drukarzy i dziennikarzy zginęło.

Helena, która przed wojną ukończyła gimnazjum, pracowała w bydgoskiej drukarni nieprzerwanie przez niemal pół wieku – m.in. w działach planowania i ekonomicznym. Znała biegle niemiecki, co w pracy – podczas wojny, jak i po – okazało się bezcenne.

Podczas okupacji drukarnia została niemal całkowicie zniszczona – spalono czterdzieści cztery książki będące



Zbranie Pracowniczej Rady Zakładowej, pierwsza z lewej Helena Górecka, doradca techniczny, 1982 rok.  
Fot. archiwum rodzinne

w druku, wywieziono dwadzieścia cennych maszyn, zlikwidowano dział rotograniowy. Lata po wojnie, na ścianie budynku przy ulicy Gdańskiej zawisła tablica z nazwiskami drukarzy, dziennikarzy i bibliotekarzy zamordowanych przez okupanta.

W styczniu 1945 roku, tuż po wyzwoleniu Bydgoszczy, w dawnych zabudowaniach przy ulicy Jagiellońskiej zorganizowano drukarnię wojskową. To tam powstały pierwsze numery „Wiadomości Bydgoskich”, „Ziemi Pomorskiej” i „Ilustrowanego Kuriera Polskiego”. Wkrótce zaczęto tam druk podręczników, map i pomocy naukowych. W 1949 roku ukazał się pierw-

szy kolorowy „Elementarz” Mariana Falskiego – wydrukowany właśnie w Bydgoszczy, techniką offsetową.

W tym czasie Helena utrzymywała schorowaną matkę. Praca dla młodej dziewczyny była często nielatwa, ale dawała jej poczucie sensu. To właśnie w drukarni poznała Jana Góreckiego – monotypistę, człowieka pogodnego, towarzyskiego, lubiącego grę w karty, życzliwego, z dobrym słowem dla każdego.

## RODZINA, PRACA, CODZIENNOŚĆ

Jan urodził się w 1910 roku. W młodości los go nie oszczędzał

– po śmierci matki w 1937 roku i chorobie ojca musiał swojej dużej rodzinie zapewnić byt, w tym młodszemu rodzeństwu. W trakcie wojny przeniesiono go do Szczecina, gdzie przymusowo pracował przy drukowaniu kartek na spożywcze wyroby dla Niemców. Po wojnie wrócił do pracy w bydgoskiej drukarni. Tam poznał Helenę. Krótko po zakończeniu wojny, 19 listopada 1946 roku, wzięli ślub.

W 1947 roku urodziła się ich pierwsza córka – Renata. Pogodna, bystra dziewczynka, która jednak w wieku trzech lat zaczęła tracić zdolność mówienia i samodzielnego poruszania się. Dopiero wiele lat później lekarze nazwali to zespołem Retta – „chorobą milczących aniołów”.

W 1952 roku przyszła na świat druga córka – Lidia, moja mama. Trzecie dziecko, Tomasz, zmarło przy porodzie, w roku 1956. Rodzina mieszkała przy ulicy Kwiatowej, w dwóch izbach z kuchnią ogrzewaną piecem kaflowym. Skromnie, ale z czułością.

W tym czasie drukarnia rosła w siłę – w latach 1947–1951 oraz 1957–1962 rozbudowano ją tak, że stała się największym kombinatorem poligraficznym w Polsce. Rocznie drukowano tu około dwudziestu milionów książek i pomocy naukowych, a każdego dnia z zakładu wyjeżdżało nawet dwadzieścia wagonów podręczników. Ponad połowa z nich trafiała do polskich szkół.

Pod koniec lat pięćdziesiątych Helena i Jan zapisali się do spółdzielni mieszkaniowej. Po latach oczekiwania dostali mieszkanie przy ulicy Pestalozziego – dwa pokoje z kuchnią i, co najważniejsze, łazienką. Lilka, czyli Lidia, chodziła wtedy do szkoły przy

ulicy Hetmańskiej i codziennie pokonywała pieszo kilku kilometrową trasę, niezależnie od pogody. Gdy pojawiła się możliwość dojeżdżania tramwajem (nieistniejącą dziś linią do ulicy Jurasza), ojciec, z obawy o bezpieczeństwo córki, kazał jej chodzić pieszo.

Życie wydawało się już ustabilizowane, aż do tragicznego dnia, 13 listopada 1965 roku, gdy Jan zasłabł na przystanku tramwajowym. Zanim zdążył wsiąść do tramwaju, doznał zawału serca. Do szpitala trafił zbyt późno. Jan spieszył się na zebranie sekcji monotypistów – do pracy w sobotę – w drukarni. Zmarł w taksówce, po tym jak zaopiekowali się nim pasażerowie tramwaju. Miał pięćdziesiąt pięć lat.

Nastoletnia Lidia ukończyła Technikum Budowlane im. Gagarina z wyróżnieniem, a następnie również Wyższą Szkołę Inżynierską, która w 1974 roku przekształciła się w Akademię Techniczno-Rolniczą. Odebrała dyplom ATR z wyróżnieniem (tzw. granatowy). Została młodą panią inżynier. Mimo oferty pozostania na uczelni w charakterze pracownika naukowego podjęła pracę w bydgoskim Budopolu, m.in. nadzorując budowę bloków na Wyżynach. W 1976 roku wyszła za mąż za swojego ojca, Waldemara – świeżo upejczanego absolwenta Wydziału Elektrycznego ATR. Oboje nadal pomagali Helenie w opiece nad chorą Renatą. Potem, pracując przez dwa lata (1976–1978), Lidia ukończyła zaoczne magisterskie studia podyplomowe, zakończone obroną pracy magisterskiej napisanej na maszynie Heleny. Wszystko to działo się z dwuletnim synem Jackiem na kolanach – dwa miesiące przed moim urodzeniem.

## ZŁOTE LATA I WSPOMNIENIA Z PODWÓRKA

Lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte to czas rozkwitu bydgoskich Zakładów Graficznych – zatrudnienie sięgało ośmiuset osób, a zakład dostarczał czterdzieści procent krajowej produkcji podręczników.

Helena w tym czasie przeszła na emeryturę, ale nadal angażowała się w życie zakładowe – działała w Radzie Zakładowej, uczestniczyła w spotkaniach, wciąż czuła się częścią świata drukarskiego.

Miała wreszcie czas dla wnuków – trzech chłopców, którzy co weekend szturmowali jej mieszkanie przy ulicy Pestalozziego.

Śniadania ze „szneką z glancem”, obiady z lekko przypaloną wołowiną, od święta szklana butelka Pepsi – to był rytuał. A potem – podwórko, skakanie po drzewach za Technikum Budowlanym, zbieranie „glubek” i owoców morwy, zakopywanie „sekretów” w ziemi, zabawy na skwerze Zamenhofa.

Odwiedzał Helenę często sąsiad – emerytowany pracownik PZWS-ów (Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych) Witold Szafer, którego syn też pracował w PZWS-ie, jak zresztą wielu sąsiadów z tego miniosiedla przy ulicy Pestalozziego.

Pomagał w naprawach m.in. piecyka gazowego, a przy okazji wspominali drukarskie czasy.

Babcia zawsze była elegancka, cierpliwa, uśmiechnięta. Nawet gdy jeden z wnuków, czyli ja, w przyływie radości podskoczył tak niefortunnie, że nabił jej limo pod okiem, obróciła wszystko w żart.

Zabierała nas też na wycieczki emerytów Zakładów Graficznych – pamiętam wyjazd do Górki Klasztornej, atmosfera była prawdziwie rodzinna.

## SCHYLEK EPOKI DRUKU

Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku zakład próbował nadążyć za nową rzeczywistością. Modernizowano maszyny, szkolono pracowników. Ale wraz z nadejściem wolnego rynku i napływem konkurencji druk podręczników zaczęły przejmować inne drukarnie w Polsce. Produkcja malała, zatrudnienie spadło o jedną piątą – do sześciuset osób.

W 1996 roku, podczas zimowego poślizgu na oblodzonym chodniku, Helena złamała nogę. Trafiła do szpitala Jurasza – wtedy przepełnionego podobnymi przypadkami. Tylko dzięki wsparciu rodziny i dawnych znajomych z Zakładów Graficznych została przyjęta i zoperowana. Choć rekonwalescencja nie przywróciła jej pełnej sprawności, nie straciła pogody ducha. Nadal interesowała się losami drukarni i utrzymywała kontakt z dawnymi współpracownikami.

1 kwietnia 1995 roku zakład przekształcono w jednoosobową spółkę skarbu państwa. Trafił do Programu Powszechnej Prywatyzacji pod opieką VII Narodowego Funduszu Inwestycyjnego im. Kazimierza Wielkiego. W 2001 roku zdobył certyfikat jakości ISO 9002 – i jeszcze wtedy uchodził za jedną z największych drukarni dziełowych w Polsce.

Konkurencja nie spała. 2 czerwca 2005 roku ogłoszono upadłość zakładu. Budynek przy ulicy Jagiellońskiej, w którym przez dwa stulecia brzmiał

rytm maszyn drukarskich, został sprzedany spółce Opus 2 Investment. Zakłady Graficzne zniknęły z bydgoskiego horyzontu wraz z rozbiórką historycznych zabudowań.

Zakłady Graficzne im. Komisji Edukacji Narodowej przeniosły się do Brzozy, na ulicę Bydgoską 51. Tam jednak nie przetrwały długo – w 2007 roku ogłoszono upadłość likwidacyjną. 16 czerwca 2011 roku zakłady wykreślono z rejestru KRS. Symbolicznie – zgasło drukarskie serce Bydgoszczy.

## LUDZIE SŁOWA DRUKOWANEGO

Pierwszą tablicę upamiętniającą pomordowanych drukarzy, dziennikarzy i bibliotekarzy odsłonięto 5 września 1964 roku pod arkadami Zakładów Graficznych przy ulicy Gdańskiej. Po jej zniknięciu w 2005 roku dawni pracownicy doprowadzili do odsłonięcia nowej – z czarnego granitu, z posrebrzanymi literami. Na uroczystości w 2008 roku pojawili się m.in. Stanisław Raczyński – syn Franciszka Raczyńskiego, a także dawni drukarze: Zenon Müller, Henryk Winck, Włodzimierz Welnowski, Piotr Budzyński, Lubomir Kaługa, Jerzy Migas, Jerzy Figurski, Franciszek Turek, Roman Lewandowski, Bronisław Teclaw, Jerzy Riegel i Witold Szafer. Książd prałat Władysław Mielcarek powiedział wtedy: „Na tablicy widnieją nazwiska tych, którzy zginęli z rąk niemieckiego najeźdźcy za to, że służyli polskiej mowie”.

Helena Górecka, ze względu na stan zdrowia, nie mogła uczestniczyć w tej uroczystości. Reprezentował ją sąsiad i kolega z zakładu pracy – pan Witold Szafer.

## E P I L O G

Moja babcia, Helena Górecka, zmarła w 2012 roku. Dożyła narodzin swoich prawnuków – Anastazji i Ernesta. Do końca pozostała pogodna, ciekawa świata, w stałym kontakcie z dawnymi koleżankami i kolegami z drukarni. Z Zakładami Graficznymi w Bydgoszczy była związana nieprzerwanie od 1941 roku – przez ponad pięć dekad. Jej córka, Lidia, moja mama, do dziś utrzymuje kontakt z krewnymi i bliskimi byłych pracowników bydgoskich Zakładów Graficznych. Nadal mieszka przy ulicy Pestalozziego, tak jak przed laty.

W 2016 roku, ponad dwieście lat po powstaniu drukarni przy ulicy Jagiellońskiej 1, z inicjatywy Stowarzyszenia Inżynierów Mechaników Polskich – Sekcji Poligrafów oraz Towarzystwa Miłośników Miasta Bydgoszczy, na budynku dawnego Domu Mody „Drukarnia”, później Bydgoskiego Centrum Finansowego, odsłonięto tablicę upamiętniającą historię zakładu.

Najpierw przy ulicy Poznańskiej, od 1806, a od 1815 właśnie tam, w sercu Bydgoszczy, Andreas Friedrich Gruebauer poprowadził pierwszą bydgoską drukarnię.

## BYDGOSZCZ, MŁODOŚĆ I KASETY MAGNETOFONOWE

Pewnie każdy z nas, kto ogląda filmy lub seriale kryminalne, kojarzy ten moment, gdy śledczy w skupieniu wpatruje się w mapę, na której zaznaczone są miejsca kluczowe dla śledztwa. Często towarzyszą im fotografie lub notatki ujawniające mroczne szczegóły wydarzeń, a poszczególne punkty na mapie łączą się z sobą za pomocą nici, tworząc swego rodzaju zbrodniczą pajęczynę. Właśnie taką mapę-pajęczynę postaram się nakreślić niniejszym tekstem, choć nie będzie ona miała zbrodniczego charakteru. Chyba że za zbrodnię uznamy moje muzyczne wybory z czasów wczesnej podstawówki. Bo wiem właśnie o muzyce chcę napisać, a konkretnie o sklepach muzycznych, które przez lata były dla mnie ważnymi punktami na planie Bydgoszczy, a obecnie istnieją już tylko we wspomnieniach – moich i mnie podobnych – bo żaden z nich nie przetrwał do dziś.

Wychowałem się na osiedlu Bartodzieje i to właśnie tam muszę umieścić pierwsze pinezki na owej wyobrażonej mapie moich wspomnień. Pierwszą z nich oznaczę mrówkowiec, czyli blok przy ulicy Marii Skłodowskiej-Curie 25. Ten ogromny galeriowiec mijalem w drodze do szkoły podstawowej. Dodam, że towa-

rzyszył temu mijaniu lęk, bowiem na osiedlu żywa była legenda o starszej kobiecie, zwanej przez wszystkich Wera. Widywaliśmy ją często, gdy wracała znad pobliskiej glinianki z siatką wypełnioną butelkami z gliniankową wodą. Traktowaliśmy to jako niegroźne dziwactwo, tak samo jak to, że stojąc w oknie na dziewiątym piętrze, z zaangażowaniem występowała nabożne pieśni. Tyle faktów. Zagrożenie miało stanowić coś innego. Coś, o czym każdy słyszał, ale nikt ze znanych mi osób tego nie widział ani nie doświadczył. Otóż legenda głosiła, że Wera lubi wyrzucać z okna wrzącą wodę. W jakiej formie? Tego nie udało się ustalić. Jeśli w szklanej butelce czy słoiku, to zagrożenie wydawało się więcej niż poważne. Jeżeli jednak wylewała tę wodę wprost na przechodniów, to rozsądek podpowiadał nam, że polany żadnej poważnej krzywdy by nie zaznał. Skoro jednak nie znaliśmy szczegółów wylewania, nie mogliśmy tracić czujności, przechodząc pod jej oknami. Dziś jestem pewien, że ta opowieść była wyssanym z palca straszakiem na młodsze dzieciaki, ale kiedy ma się sześć lub siedem lat, łatwo uwierzyć nawet w mniej prawdopodobne opowieści.



Wspomniane w tekście kasyety z kolekcji autora. Fot. Marcin Szymczak

Wróćmy jednak do sedna sprawy. Do wnętrza mrówkowca prowadziło kilka wejść umieszczonych z trzech stron budynku. Przy niektórych powstały niewielkie punkty handlowe lub usługowe, a jeden z nich zajmował się sprzedażą kaset magnetofonowych. Było to jeszcze przed ustawą, która w 1994 roku uregulowała kwestie związane z prawem autorskim, więc wybór był niezły, a ceny umiarkowane. To właśnie w tym niewielkim sklepiku kupiłem dwukasetowe wydawnictwo z piosenkami popularnego wówczas boysbandu New Kids On The Block (w skrócie NKOTB). Trudno mi dziś ustalić, jakie dokładnie albumy zawie-

rało owo wydanie, ale prawdopodobnie był to mój pierwszy samodzielny wybór i zakup fonograficzny w życiu. Na swoje usprawiedliwienie dodam, że miałem wówczas około siedmiu lat.

Kolejny punkt na mapie wskazuje na stoisko w przedsiönku sklepu BSS, nazywanego powszechnie „Supersamem”. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek coś tam kupił, ale regularnie oglądałem okładki wystawionych tam kaset, a moją uwagę przykuwały głównie te zdobiące albumy zespołów metalowych. Oczywiście nie miałem wtedy odwagi, by po nie sięgnąć, zresztą mój gust muzyczny był wówczas jeszcze zupełnie nieuksztalowany, czego dowodzi kolejna pinezka,

którą wbijam tuż obok wspomnianego BSS-u, na pobliskim targowisku. To tam wydałem część pieniędzy, które dostałem z okazji pierwszej komunii świętej. Wśród licznych prezentów znalazły się również dwa przenośne odtwarzacze taśm magnetofonowych, zwane powszechnie walkmanami. Oba różniły się tylko kolorem (czerwony i czarny), były zasilane aż czterema bateriami typu AA, które wyczerpywały się w zastraszającym tempie, a dźwięk dobywający się z słuchawek składał się głównie z szumu. Spod tego szumu dało się usłyszeć wokale dwóch panów, których nagrania wybrałem ze wspomnianego stoiska. Co ciekawe, łączyły ich inicjały, choć odwrócone. Pierwszy z nich to znany z serialu „Miami Vice” Don Johnson (D.J.), drugi to również śpiewający aktor – Jason Donovan (J.D.). Wybór akurat tych artystów nie był dziełem przypadku, ale niestety nie zdecydowały względy artystyczne. Chodziło o pieniądze. Obie kasy kosztowały niewiele więcej niż jedna taśma innego, pewnie ciekawszego zespołu czy wykonawcy. Wstyd, kilkuletni Marcinie, wstyd.

Na Bartodziejach było jeszcze kilka innych punktów zajmujących się sprzedażą nie do końca legalnych nagrań artystów z kraju i zagranicy, ale w końcu pojawił się również sklep, który miał w ofercie tylko legalne, oznaczone lśniącymi hologramami kasy. Znajdował się w tak zwanym „przejściu”. Był to pasaż handlowy w przesmyku łączącym okolice bloku przy Marii Skłodowskiej-Curie 29 i wspomniane już targowisko. Pamiętam, że to tam, „na spółę” ze starszym bratem kupiliśmy album Vanessy-Mae „The Violin Player”. Również w tym sklepie nabyłem „Elfa” łódzkiego zespołu Varius Manx, tym samym

dokładając się do olbrzymiego sprężonego sukcesu tego wydawnictwa (pięciokrotna platynowa płyta).

Jednak czasy się zmieniały, ja dorastałem, a w Polsce wybuchł hip-hop. Wkrótce w moim rodzinnym domu, za sprawą wspomnianego już brata, pojawiły się nagrania Molesty, Kalibra 44 czy Wzgórza Ya-Pa 3, a kolejną taśmą, po której pomaszerowałem do sklepu w „przejściu”, był album (również łódzkiej) formacji Thinkadelic pod tytułem „Lek”. Niestety okazało się, że podczas odtwarzania kasetka lekko skrzypi i popiskuje, co przy niezbyt głośnym odsłuchu było piekielnie irytujące. W związku z tym skopiowałem nagrania na inną taśmę, okładkę skserowałem, a oryginał sprzedałem koledze. Nie pamiętam, na co wydałem tak odzyskane pieniądze, ale chyba się domyślam.

„Lek” ukazał się w 1998 roku, czyli w momencie, gdy chodziłem już do szkoły średniej, a dokładniej do Technikum Przemysłu Spożywczego. Szkoła mieściła się przy ulicy Toruńskiej, co spowodowało, że regularnie zacząłem wyściubiać nos poza macierzyste Bartodzieje. Coraz częściej bywałem również w Śródmieściu, które okazało się istnym zagłębiem sklepów i sklepików oferujących tak pożądaną przeze mnie asortyment. Nowa szkoła to również nowe znajomości, co oczywiście zaowocowało poszerzeniem muzycznych horyzontów. Pierwszy semestr pierwszej klasy był jeszcze okresem absolutnej dominacji hip-hopu w moim muzycznym jądłospisie, ale wraz z upływem czasu coraz bardziej otwierałem się na inne gatunki, co wydatnie wpływało na kształt i wielkość mojej fonograficznej kolekcji. Oczywiście budżet, którym dysponowałem, nie był z gumy, więc rzadko mogłem sobie pozwolić na za-

kup albumów ulubionych wykonawców tuż po premierze, ale za to wyspecjalizowałem się we wnikliwym przeszukiwaniu koszu i kuwet z przecenionymi kasetami i płytami CD. Efekty bywały różne, ale nie brakowało sukcesów, odkryć, zdarzały się nawet olśnienia.

Wróćmy do mapy. Jako się rzekło, Śródmieście Bydgoszczy gęsto usiane było mniejszymi i większymi sklepami muzycznymi. Pewnie nie wszystkie odwiedzałem, być może nie o każdym pamiętam, ale były i takie, które bez problemu przywołuję w pamięci, mimo upływu lat.

Pierwsza śródmiejska pinezka wskazuje na wschodnią pierzeję Starego Rynku. Bywałem tam często i kupiłem kilka bardzo ważnych dla mnie albumów. Wśród nich wydawnictwo stworzone w holdzie dla Milesa Davisa, nagrane przez muzyków znanych z jego legendarnego kwintetu (tego drugiego). Nadal mam tę kasetę, a gdy niedawno kupiłem magnetofon, okazało się, że wciąż działa i brzmi całkiem niezle. Również na Starym Rynku znalazłem fantastyczną płytę bydgoskiego zespołu Maestro Trytony pod tytułem „Enoptronia” i kasetę trójmiejskiej Miłości „Talkin’ About Life and Death”. W tym samym sklepie kupiłem reedycję „Nabij faję” Izraela, a gdy kiedyś zapytałem sprzedawcę o jakieś nagrania acidjazzowe, zaproponował mi „Lovers Rock” Sade. Nie dogadał się.

Kolejny punkt to przejście podziemne pod rondem Jagiellonów. Pamiętam kompetentnego i skłonnego do interakcji sprzedawcę oraz kupioną w bardzo atrakcyjnej cenie płytę CD Acid Drinkers pod tytułem „Strip Tease”. Nie spodobała mi się. To był wczesny (trzeci) album poznańskich metalowców, którzy wówczas, na przełomie XX i XXI wieku, grali już

zupełnie inaczej. Poza tym pod rondem kupiłem „Miłość w czasach popkultury” Myslovitz (tuż po premierze) i dziesiątki kaset (lepszych i gorszych) wygrzebanych z promocyjnego kosza. Wśród licznych zalet sklep ten miał też jedną poważną wadę – położenie. Tak się złożyło, że w tym podziemnym przejściu łatwo było dostać w nos i pożegnać się z gotówką oraz co cenniejszymi przedmiotami. Stało się to zresztą udziałem mojego kolegi, który nie zdążył nabyć wymarzonej płyty, a przy okazji pozbył się zegarka. Bydgoszcz nie była w tamtych czasach szczególnie bezpiecznym miastem.

Z ronda Jagiellonów prosta droga na dworzec PKS. Mieścił się tam nieduży, ale całkiem niezły zaopatrzonej sklep muzyczny. Zaglądałem tam nie tylko wtedy, gdy podróżowałem za miasto, ale właśnie przy okazji jednego z takich wyjazdów namówiłem brata na zakup kasety Grammatika „Światła miasta”. Mieliśmy kupić „Polepione dźwięki” Fiszka, ale tego albumu akurat nie było na stanie, a że na „Światłach miasta” Fisz pojawia się gościnnie w kawałku „Pamiętam”, to kłamka zapadła. Dziś, ćwierć wieku od premiery tych dwóch wydawnictw, trudno przecenić ich wpływ na rozwój hip-hopu nad Wisłą. Do obu wracam regularnie i uważam, że zestarzały się bardzo godnie.

Także na dworcu PKP bywałem nie tylko po to, by wsiąść do pociągu byle jakiego. I w tamtejszym sklepie można było wyszperać coś interesującego w atrakcyjnej cenie, choć muszę przyznać, że tym razem pamięć mnie nieco zawodzi i żadne tytuły nie padną. Być może również dlatego, że zdarzało mi się czasem odprowadzać na pociąg kogoś, kto wówczas zaprzętał moje myśli dalece skuteczniej niż kolejna kasetka w rosnącej kolekcji.

Do dworca PKP prowadziła i nadal prowadzi ulica Dworcowa. W miejscu, gdzie spotyka się z Marcinkowskiego, również można było zrobić muzyczne zakupy. To jedyna z lokalizacji, za którą nie dałbym sobie głowy uciąć, ale skoro pamiętam konkretne kupione tam taśmy, to chyba nie mogę się mylić. Jedną z nich mam do dziś i jest to składanka formacji Soundgarden „A-Sides”. Co się stało z „Duchem” zespołu Armia, nie mam pojęcia, ale jeśli komuś z was pożyczylem, to uprzejmie, choć stanowczo, domagam się zwrotu.

Przedostatnią pinezkę wbijam na ulicy Gdańskiej. Niewielką budkę nieopodal Rywala pamiętam jako miejsce, w którym za niewielkie pieniądze można było kupić dwukasetowe zestawy, kompletowane chyba przez samego diabła, a przynajmniej wyjątkowo złośliwego wydawcę czy dystrybutora. Jak inaczej wytłumaczyć skłócenie albumu Mudhoney „Piece of Cake” z którąś z wcześniejszych kaset Mötley Crüe? A wierzcie mi, inne dwupaki były równie różnorodne, i nie jest to komplement. Na ten opisany wyżej nawet się zdecydowałem, ale wstydliwie przemilczę dalsze losy niechcianej taśmy z nagraniami pudel metalowców z Kalifornii.

Jak wspomniałem na wstępie, żaden z opisywanych tu sklepów nie przetrwał do dziś, tak jak wiele innych, których nie znam lub o których nie pamiętam. Jednak ostatni punkt na mojej mapie istnieje, ma się dobrze i nadal przyciąga kolejne pokolenia kochających muzykę zapaleńców. Nie jest sklepem, ale kupiłem tam sporo kaset, a jedna z nich ma murowane miejsce w ścisłej czołówce zestawienia najważniejszych albumów mojego życia. Ten adres to Parkowa 2, czyli klub Mózg. Zanim jesz-

cze zacząłem tam bywać na koncertach i festiwalach, dowiedziałem się, że raz w miesiącu, w niedzielę, na czarnej sali odbywa się Czad Giełda. Nie pamiętam, ile razy udało mi się wziąć udział w tym wydarzeniu, ale dwóch rzeczy jestem pewien. Na miejscu dostępny był bezpłatny zine „Wiatry”. Nie było w nim żadnych dłuższych tekstów, a całość składała się głównie z recenzji płyt i kaset oraz reklam niezależnych wydawców i dystrybutorów. Było to znakomite źródło wiedzy, zwłaszcza o wykonawcach, o których inne czytane przeze mnie tytuły milczały lub pisały rzadko.

Druga pewność dotyczy wspomnianego albumu, który kupiłem w Mózgu na kasecie wątpliwej legalności, a który nigdy mi się nie znudził i do dziś stanowi jedną z moich ulubionych płyt wszystkich czasów i gatunków. Mowa o wydanym w 1986 roku trzecim albumie zespołu Bad Brains pod tytułem „I Against I”. Dziś mam już legalne wydanie na CD, czekam na dobrą okazję, by kupić winyl, ale nadal mam tę taśmę, dzięki której pierwszy raz usłyszałem niesamowitą muzykę waszyngtończyków.

Ostatnia pinezka wbija, nitki zawiązane, mapa pamięci gotowa, skromna pajęczyna utkana. Nie jest kompletna, bo być nie może. Pamięć jest wybiórcza i lubi płatać figle. Jak wyglądałaby podobna mapa w waszym wykonaniu? A dzisiejsza? Jedna współrzędna to miejsce zamieszkania, dwa, trzy kolejne znaczniki to preferowane punkty odbioru przesyłek? A może kupujecie płyty po koncertach, w tych kilku sklepach, które istnieją w Bydgoszczy, na cyklicznych kiermaszach? Mam nadzieję, że z kolejnych dwudziestu pięciu lat będzie nam dane pamiętać coś więcej niż adresy automatów paczkowych.

## TRYPTYK BYDGOSKI

Właściwe rozpoznanie topografii mojego życia w Bydgoszczy – tej małej ojczyzny, w której spędziłem dzieciństwo i młodość – wymaga podziału na trzy wyraźne rejony, które na aksamitnej kanwie wspomnień tworzą tła zgoła odmienne. Pozwolę sobie, wbrew tendencjom do uogólnień, przełożyć te barwy na język leksykonu miejskiego w duchu dzieła mistrza Zbigniewa Raszewskiego, którego „Pamiętnik gapia” powinien być dla mieszkańców Bydgoszczy lekturą obowiązkową. Hasło „Miejscownik” determinuje charakter wspomnień. Przewrotnie z pytań „o kim”, „o czym” kieruje niejako z automatu ku miejskim przestrzeniom, które wymalowały w pamięci obrazy, mimo upływu czasu zachowujące swój koloryt. A moje obrazy bydgoskie to tryptyk z częścią szwederską, wyżynową i śródmiejską. Każda z nich w innym klimacie. Jak dzieła kompletnie różnych malarzy.

Miałem to szczęście, że przypadły mi w udziale dni dzieciństwa na Szwedero-wie. Zaczęły się na bocznej, wysypanej żużlem uliczce Bohdana Zaleskiego. Tam, na Szwedero-wie, miałem szczęście spędzić czas tyleż beztroski, co wypełniony nieogarniętą potrzebą poznawania wielkiego świata. Ten świat znajdował się już za bramą podwórka, gdzie dziś stoją na baczność czteropiętrowe bloki, a jedy-

nym wspomnieniem domów zburzonych pod koniec lat siedemdziesiątych są pojedyncze drzewa, które niegdyś posadzili w swoich przydomowych ogródkach mieszkający tu bydgoszczanie. Przyszło mi pożegnać się z rodzinnym zakątkiem, gdy socjalistyczna gospodarka planowa przewidziała w tym miejscu rozwój na wielką skalę żelbetowych bloków z wielkiej płyty z elewacjami obsypanymi białym tłuczniem.

Paradoksalnie właśnie w takim bloku zamieszkałem z rodzicami jako ośmiolatek po przymusowej migracji z ukochanego Szwederowa. Trafiliśmy do trzypokojowego mieszkania w bloku na osiedlu Wyżyny, które nazwane zostało niby pole na szachownicy albo w grze w okręty – B4. W dzieciństwie na pytanie „gdzie mieszkasz?” odpowiadałem jednym tchem „wyżynybecztery”.

Nie uwiodła mojej dziecięcej wyobraźni wizja blokowisk proponowana przez socjalistycznych urbanistów, choć uczciwie muszę przyznać, że dzisiejsi teoretycy miasta piętnastominutowego mogliby na Wyżynach B4 kształcić się i robić praktyki. Urbanisci miejscy zaplanowali bowiem nowe bydgoskie osiedla jako „miasta w mieście”. Dotyczy to właściwie każdego osiedla, które powstawało. Rzeczywiście maksymalnie piętnaście minut wystarczyło, żeby

znaleźć się pieszo wszędzie tam, gdzie znajdowały się miejsca na różne sposoby ważne dla egzystencji – od sklepów, przez szkoły, po przychodnie lekarskie. Trudno się zatem dziwić, że wyprawy do Śródmieścia określało się jako wyjście lub wyjazd „do miasta”.

Do „miasta” samodzielnie zacząłem jeździć miejskim autobusem ówczesnej linii 66 lub 53. To był tak wczesny etap mojego życia, że rodzice „oznakowali” mnie kluczem do mieszkania zawieszonym na szyi. Taki znak rozpoznawczy pokolenia.

Do tego „miasta” mnie ciągnęło. Głównie z tego powodu z ponadprzeciętnym zapalem starałem się o przyjęcie w poczet uczniów śródmiejskiego ogólniaka – I LO. I właściwie tak zaczęła się na dobre moja przygoda ze Śródmieściem i Starym Miastem Bydgoszczy, choć wcześniej przemierzałem je długimi trasami podczas rodzinnych wypraw zakupowych, rozpoczynających się od ulicy Długiej i jej przyległości, przez Mostową, aż do Gdańskiej – handlowej królowej bydgoskich ulic. Celu wędrówek – zakupów „tego, co akurat będzie” – nie wspominam mile. Zwłaszcza że bardziej niż po sklepach wolałem rozglądać się po jakże innym niż szwederowskim czy wyżynowym świecie architektury, intrygującym detalami, których widok rozdziawiał dziecięce usta w niemym zachwycie. Zadzierać głowę w górę i podziwiać architektoniczne perełki wyluskiwane wzrokiem. Za każdym razem też stawałem przy hotelu Pod Orłem na ulicy Gdańskiej i gapilem się na jego symbol, który majestatycznie rozpościł swoje skrzydła, jakby chciał pod opiekę przyciągnąć całe miasto i jego mieszkańców. Jednak o Śródmieściu i Starym Mieście

powstały opowieści tysiące. I choć tak bardzo są mi bliskie, to wyciągnę z kufierka pamięci miejsca i wspomnienia, które dalekie są od oczywistości.

## ALEJE WOJSKA POLSKIEGO

Ulica, która na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku przecięła wstęgami swoich dwóch jezdni jednocześnie Wzgórze Wolności, Wyżyny i Kapuściska. Tuż przy niej powstawały osiedla bloków z wielkiej płyty. Ich elewacje obsypywano drobnymi białymi kamyczkami. Chłopaki z blokowiska nader chętnie próbowali je odrywać, a potem, niczym Indianie z dorzecza Amazonki, za pomocą długich i wąskich rurek z metalu lub tworzywa sztucznego wydmuchiwali je jak pociski, aby trafić w ustawione odpowiednio daleko cele. Zresztą zarówno podczas budowy ulicy, jak i kolejnych bloków na bogactwo rozmaitych rodzajów indiańskiej broni nie można było narzekać. Budowlańcy materiały składowali bez specjalnych zabezpieczeń, a ich resztki wałały się wszędzie.

Można było skutecznie wspinać się po hałdach żwiru czy górach piasku. Na tzw. „górkach” odbywały się prawdziwe bitwy. Dmuchawki z kamykami byłyby tu bronią niebezpieczną, więc kodeks honorowy osiedlowego wojownika nakazywał ograniczenie się do bryłek, czyli zlepków piachu pozyskiwanych ze wspomnianych „górek”. Nie mogły w sobie zawierać amunicji ostrej – kamieni. Rzucano się nimi w przeciwników zajmujących sąsiednią górkę raczej bez ryzyka, że bitwa skończy się wizytą na pogotowiu. Jednakowoż zdarzały się incydenty. A to bryłka była

zbyt twarda, a to jednak w niej jakiś kamyczek się zapodział. Kończyło się to niemal zawsze tym samym rytualnym okrzykiem, który wieńczyło pytanie retoryczne: „Ala! Głupi jesteś?!”.

Ale wróćmy na Aleje Ludowego Wojska Polskiego, bo tak nazywała się ta ulica na początku swojego istnienia w miejskim krajobrazie Bydgoszczy. Gdy został wylany asfalt, zamieniła się w raj dla dzieciarni, która wyciągała z piwnic w blokach swoje rowery, żeby uskutecznić wyścigi na tej długiej, prostej arterii. Powiedzieć, że dominował sprzęt rodzimej produkcji zakładów rowerowych Romet, to nic nie powiedzieć. Do głowy nawet nie przychodziło nikomu z nas, że rowery mogą pochodzić z innego źródła. Kury znoszą jajka, krowy dają mleko, a rowery produkuje Romet. Nasz. Bydgoski.

Zakłady rowerowe miały bogaty asortyment produktów, choć nadciągająca kryzys gospodarczy sprawiał, że o kupno roweru było coraz trudniej. Wśród grupy +/- dziesięciolatków szczytem marzeń stała się na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych półkolarzówka o nazwie Sprint 2. Miała kierownicę charakterystyczną dla klasycznego roweru szosowego, czyli kolarzki. Jednak rama była dużo mniejsza, ciężka, a dodatkowo zamontowane minibłotniki miały w teorii chronić przed smugą błota na plecach oraz na twarzy. Błotniki swojej roli jednak nie pełniły, co zresztą nie było przedmiotem żartów. Po demontażu najczęściej kończyły na śmietniku.

Poza wyścigami na prostym odcinku budowanych Alei LWP był też odcinek specjalny. Jazda ekstremalna. Zjazd z Wojska Polskiego w kierunku ronda Toruńskiego, które dziś jest skrzyżowa-

niem. Tam można było poczuć potęgę prędkości. Nie zawsze jednak udawało się zaliczyć tyle samo zjazdów, co podjazdów. Niestety ofiarą „wielkiej góry” padł mój serdeczny przyjaciel Piotr. Podczas naszego zjazdu nie opanował swojego wehikułu na rozsypanym przez budowlanców na świeżym asfalcie żwirze. To skończyło się dla niego wstrząśnięciem mózgu i szwami na podbródku, a dla mnie heroiczną misją doprowadzenia jednocześnie dwóch dość ciężkich rowerów do naszych bloków, ale przede wszystkim powiadomienia jego przemyślanych rodziców o tym, że „Piotrka raczej na kolacji w domu nie będzie, gdyż karetką zabrała go do szpitala”.

## DOLINA PIĘCIU STAWÓW

Przenosimy się teraz w czasie i przestrzeni na Szwederowo lat siedemdziesiątych XX wieku, w bliską okolicę majestatycznie górującego nad zarośniętymi stawami wieżowca Fotonu. Dolina Pięciu Stawów (choć wtedy nikt tak na to miejsce nie mówił, bo to były po prostu stawy, a oficjalnie ową Doliną zostały ogłoszone dopiero w 2014 roku) dla ówczesnych mieszkańców starego Szwederowa pełniła funkcję integracyjną. Raczej nie mam na myśli tego, co kryje się dziś pod tym pojęciem, gdy widzimy alejki spacerowe w myśleńskim parku podczas rodzinnych spacerów, biegania, jazdy na rowerach czy rolkach.

Przy ulicy Orlej mieszkał brat mojego ojca – Stanisław, czyli wujka Stasiu. To dzięki niemu poznawałem sekrety wypraw na ryby, które zarezerwowane były dla wąskiego grona wtajemniczonych. Na swój sposób było to wędkarstwo ekstremalne.

Otóż wyprawa zaczynała się od obowiązkowej wizyty w sklepie, z nylonową siatką, do której należało upchać tyle pękatych butelek 0,33 z gryfem na kapslu i dumnym napisem „Browary Bydgoskie”, ile się tylko dało. Rzecz jasna, jako wyrostek pod czulą opieką wuja byłem jedynie obserwatorem tego procederu. Następnie z bambusowymi wędkami na ramieniu – ja dodatkowo z pustą siatką na ryby, a wuj z siatką pełną po wizycie w sklepie – wędrowaliśmy na brzeg stawu, przedzierając się przez zarośla. Szliśmy w stronę głosów, które zwiastowały raczej wesołą kompanię niż skupionych na obserwacji spławików wędkarzy. Witali nas serdecznymi okrzykami, lecz odnosiłem nieodparte wrażenie, że entuzjazm był wprost proporcjonalny do skali wypchania nylonowej siatki. I tak toczyły się rozmowy szwederowiaków nad stawem, przystrojone obficie ornamentem wulgaryzmów, które co jakiś czas ukrywane były za ściszonymi głosami, gdy właśnie wujowi przypominało się, że jego bratanek jest w pobliżu i uduzi się, rzucając patyki do stawu.

Nie tak dawno przeszedłem się nad szwederowską Dolinę Pięciu Stawów przy okazji zakupów w sąsiedniej Castoramie. Czysto, bez tych wszystkich krzaczorów i dywanów z kapsli rozłożonych pod nogami. Na rozkładanym krzeselku siedział starszy mężczyzna i łowił ryby, a obok niego kręcił się mały chłopczyk. No, nie mogłem milczeć. Zagadałem, żeby opowiedzieć o tym, że będąc takim brzdącem, też tu spędzałem czas, choć w atmosferze emocjonalnego wrzenia szwederowskich lumpów. Mężczyzna spoglądał na mnie z lekką obawą we wzroku. Dopiero po chwili domyśliłem się, że zapewne połowu dokonuje „na nielegalu”. Ale i tak „nie brały”.

## GÓRKI SANECZKOWE NA NIZINACH

Wracamy na Wyżyny i okolice, do początków lat osiemdziesiątych. Między Wyżynami a Wzgórzem Wolności znajdował się najprawdziwszy wąwóz. Dziś właśnie jego środkiem przebiega ulica zwana Alejami Jana Pawła II. Wtedy nieopodal tego miejsca wiodła gruntowa uliczka Niziny. Znajdowały się przy niej niewielkie domki jednorodzinne z ogrodami, w których zdecydowanie dominowały drzewa owocowe.

Po samym dnie wąwozu płynęła struga, nazywana przez nas dość górnolotnie „strumykiem”. Mimo pagórkowatego otoczenia ze strumieniem górskim nie miał nic wspólnego, a nawet z wodą, gdyż w strumyku zamiast niej płynęły w większości ścieki odprowadzane z sąsiednich domów. Już z daleka świadczył o tym dobitnie wyrazisty smród wijący się po okolicy, szczególnie w upalne dni wakacji.

Skarpa od strony Wyżyn i wytyczonej tu ulicy Boya-Żeleńskiego zimą stawała się osiedlowym centrum sportów zimowych. To tutaj ciągnęły tłumy małych saneczkarzy, ale również tych, którzy opanowali jeszcze jeden ze sportów ekstremalnych, czyli zjazd ze stromego i oblodzonego stoku na butach. Tenże sport miał też swoją wersję sprzętowo wzbogaconą. Niektórzy bowiem na buty zakładali „nartki”. To nic innego jak pocięte na kawałki tworzywo PCV, które docelowo miało pokrywać poręczę w klatkach schodowych. Jego bogatym źródłem były place budów, gdzie walały się ścinki, które idealnie nadawały się do produkcji „nartek”. A ten proces technologiczny nie należał do zbyt złożonych – wystarczyło przyciąć kawałek

tworzywa na taką długość, by dało się zagiąć na czubek buta i piętę. Elastyczność PCV uzyskiwało się dzięki gorącej wodzie w kranie, co pozwalało na precyzyjne dopasowanie „nartki” do buta. Potem następował proces utrwalania i hartowania materiału w wodzie lodowatej. I już można było idealnie dopasowane „nartki” brać ze sobą na górki, gdzie następowało założenie ich na buty i szaleńczy zjazd, który wymagał jednak nadzwyczajnej koordynacji i prawdziwie kociej zręczności.

Podczas zjazdu było jednak coś, co przerażało bardziej nawet niż bolesna przewrotka. Strumyk. To on czaił się na śmiałków, którzy rozpędzali się nieostrożnie i dojeżdżali w pobliże końca stoku. Mój młodszy brat, który na sankach jeździł więcej niż popisowo, znalazł się wśród tych, których strumyk ukarał za brawurę. Nie wyhamował i wpadł w jego tyleż płytki, co cuchnący nurt. Szczęściem w nieszczęściu tego dnia panował tęgi mróz, więc efekt zapachowy został nieco zamrożony. Dosłownie. Gorzej było, gdy dotarliśmy już do mieszkania w bloku na pierwszym piętrze i otworzyliśmy drzwi, ukazując się rodzicom.

## HANDLOWY SZLAK SZWEDEROWO – – GDAŃSKA

Szwederowo nie należało do miejsc, w których dało się zrobić zakupy większe niż nabycie artykułów spożywczych w pobliskim sklepiku. Po prawdziwe zakupy trzeba było wyruszyć „do miasta”, czyli przez Stare Miasto aż do Śródmieścia. Handlowy szlak wiódł przez najdziwniejsze skrzyżowanie w Bydgoszczy, gdzie w jednym miejscu zbiegają się ulice: Podgórna,

Nowodworska, Ugory, Leszczyńskiego, Orla i Filarecka. Można było odnieść wrażenie, że kierowcy w tym miejscu raczej stosują zasady rosyjskiej ruletki niż przestrzegania przepisów ruchu drogowego, ale też usprawiedliwiał ich – zwłaszcza tych spoza Szwederowa – ten uliczny węzeł gordyjski.

Szło się później ulicą Podgórną w dół, mijając domostwa owiane tajemnicą, w których mieszkali Romowie, aby dotrzeć do początku handlowego szlaku, czyli ulicy Długiej.

Jako że na takie wyprawy w dzieciństwie zabierała mnie najczęściej moja babcia Irena, zaczynaliśmy je od wizyty w piekarni i cukierni Państwa Erdmann przy ulicy Długiej 2. Wychodziliśmy stamtąd zaopatrzeni w sznoki z gładcem, pakowane w dość okazałą tutkę albo dwie, aby po chwili wdrapywać się po drewnianych, skrzypiących schodach na ostatnie piętro kamienicy przy ulicy Długiej, gdzie mieszkała siostra mojej babci – Marta. Tam miłe panie wypijały rytualnie kawę, omawiając najnowsze zagadnienia, które przynosiły ostatnie dni rodzinie, znajomym i kompletnie nieznanym mi osobom. Otrzymywałem przy tym specjalne zadanie, żeby kawę zmielić w drewnianym młynku, co było zajęciem wkręcającym, ale na dość krótką metę.

Po wypiciu kawy następował rytuał „dolewki”. Pozostałe fusy zalewane były wrzątkiem do wysokości maksymalnie połowy szklanki. Po jej wypiciu przez zagadane siostry ruszaliśmy w dalszą drogę, ale już w towarzystwie ciotki Marty. Kolejny etap tego szlaku kończył się bardzo szybko w kolejnej kamienicy na samym Starym Rynku, gdzie mieszkała druga siostra mojej babci – Hela. Tutaj kawowy rytuał powtarzał się

w sposób niemal identyczny. Dopiero po wysłuchaniu narzekań na „te gzu-by latające po schodach wte i nazad” i kejtry bezpieczeństwa, co to z za winkla wylażą i strach po ulicach chodzić, oraz całej litanii innych kwestii nurtujących mieszkańców centrum Bydgoszczy, wyruszyliśmy na sklepowe łowy.

Kolejne odcinki wyprawy do miasta to już były wizyty w sklepikach z odzieżą – najnudniejsza z możliwych dla mnie część wypraw. Na szczęście uatrakcyjniało ją wejście do Pedetu, czyli Jedynaka – domu towarowego przy ulicy Gdańskiej 15, na którego kilku piętrach można było popspacerować sobie i pozaglądać w różne zakamarki, a co najważniejsze – zjechać z góry na szerokich poręczach schodów. Drugi z domów towarowych, czyli Rywal, był wtedy kompletną nowością i imponował futurystyczną wręcz przestrzenią, w której niestety z roku na rok więcej było ekspedientek niż towaru.

Jasnym punktem na handlowym szlaku były dla mnie księgarnie. Po pierwsze: Współczesna, gdzie po wydawnicze bestsellery ustawiały się długie kolejki. Te „białe kruki” rozlatywały się szybko po księgozbiorach bydgoszczan, ale zawsze można było kupić tu „jakąś książkę”. A dodatkowo poprzesuwać sobie imponujące ruchome regały na kółkach oraz obejrzeć siebie w telewizorze. We Współczesnej istniał bowiem pierwszy w bydgoskim handlu system monitoringu, który chronić miał przed złodziejami bibliofilami. Po przeciwnej stronie ulicy Gdańskiej mieścił się też przez jakiś czas Empik. Doceniłem go bardziej w czasach licealnych, gdy przychodziło się poczytać po kilka stron książki, na którą nie było mnie stać.

Książki jednak nie były szczytem marzeń. Ich ceny nadwyrężały kie-

szenie, ale to było nic w porównaniu z albumami zagranicznych wytwórni płytowych. Dla miłośników muzyki, do których zaliczałem się od dzieciństwa, prawdziwą mekką była Nora. Sklep mieścił się nieopodal willi Polskiego Radia. Od strony ulicy Gdańskiej wchodziło się po kilku schodkach w dół, żeby otworzyć ciężkie drzwi i przenieść się na kilka minut do raju. Na półkach i w gablotach kusily okładki płyt legendarnych wykonawców. Pamiętam moją pierwszą wizytę w Norze. Oczywiście z babcią. Próbowalem namówić ją na zainwestowanie w album zespołu The Beatles, którego byłem we wczesnym dzieciństwie zapalonym fanem. Miły sprzedawca pokazał całkiem okazały zestaw płyt. Zapytałem o cenę „Rubber Soul”, bo ta okładka najbardziej rzuciła mi się w oczy. Nie pamiętam, jaka kwota padła, ale pamiętam gwałtowne szarpnięcie mojej ręki przez babcię i krótkie polecenie w tonie rozkazu srogiego kaprala: „Wychodzimy!”.

I tak płyty The Beatles zostały na długi czas w sferze moich marzeń, a zamiast nich musiałem się zadowolić radiowymi audycjami nagrywanymi samodzielnie na mój pierwszy radiomagnetofon kasetowy rodem – a jakże – z bydgoskiej Eltry, o nazwie Maja 2. Notabene audycje „Studia Stereo” miały w sobie prawdziwą magię. Przed nimi zawsze nadawany był sygnałysterowania i ustawienia kolumn głośnikowych, którego odgłosy wprowadzały człowieka w rytualne skupienie przed wciśnięciem w odpowiednim momencie pary klawiszy REC i PLAY na magnetofonie. A potem były już tylko modlitwy, żeby mechanizm magnetofonu nie wsiorbał taśmy z kasy.

## PLAC WOLNOŚCI

Miało nie być miejsc oczywistych. A jednak zrobić wyjątek dla placu Wolności – przestrzeni, która na długie lata wrosła w moje życie. Wszystko zaczęło się od I LO. W słoneczne dni, na każdej długiej przerwie, całymi grupami wylewaliśmy się ze szkoły właśnie tutaj. Towarzystwo rozpadało się na trzy plemiona. Pierwsze okupowało ławeczki przy niecce – tam, gdzie dziś znów tryska majestatyczna fontanna „Potop”, a wówczas z czterech stron płuły wodą kamienne ryby Józefa Makowskiego. Te same, które dziś patrzą na nurt Brdy z Wyspy Młyńskiej. Drugie – „wielebne” – wybierało krótkie nabożeństwa dla uczniów w kościele św. Apostołów Piotra i Pawła. Trzecie – to, które z czasem obrosło najdorodniejszą legendą – sadawiło się na głazach tuż przy stawie w parku, w miejscu ochrzczonym przez nas „skalkami”.

Na placu Wolności na skraju parku do dziś stoi mały bar. Jego specjalizacją w przeszłości były zapiekanki. Taka klasyczna wersja made in PRL – trochę dłuższa buła (wcale nie bagietka), na niej gotowane pieczarki, tarty i stopiony ser, a na górze duże ilości keczupu. W pewnym momencie jednak ówczesny właściciel tego kulinarnego przybytku postanowił wprowadzić prawdziwą rewolucję. Na zapiekance pojawiło się coś, co w wywieszonym na szybie barku menu widniało pod pozycją „dodatki”. Okazało się, że wystarczy dodać do zapiekanki odrobinę konserwowej papryki i ogór-

ka, a do tego zaaplikować sos majonezowo-keczupowy, by przenieść doznania kubków smakowych bydgoskiej młodzieży na inny poziom. Po czasie postanowiłem ten smak odnaleźć. Nie udało się. Ani w Bydgoszczy, ani w żadnym innym miejscu. Zatem od czasu do czasu udaję się do sklepu po słoik marynowanej papryki i ogórków, tę je na paseczki, a potem układam na domowej roboty zapiekance i zdobię esami-floresami z sosu w stylu „tysiąca wysp”. Ale uczciwie muszę wyznać: to nie to samo.

Potem życie samo poprowadziło mnie tak, że przez dziesiątki lat patrzyłem na plac Wolności od świtu do zmierzchu z okien i balkonu redakcyjnego gabinetu. Jakbym dzień po dniu przeglądał stare fotografie znalezione po latach: w kadrze utrwalone drobiazgi, które przyspieszają bicie serca – mocno tulona przeze mnie ukochana kobieta, przyjaciele machający z ławek, koledzy przysiadający na chwilę, by zamienić słowo.

Spotykaliśmy się w parkowym zaciszu na długie rozmowy, a plac – choć wciąż ten sam – zmieniał się nieznacznie, jak twarz bliskiej osoby, którą ogląda się codziennie i dopiero po czasie widzi, jak bardzo się zmieniła. Plac Wolności przez długie lata wyglądał podobnie. Dopiero w ostatnich latach doczekał się przemian, na których efekt czekam z niecierpliwością i nadzieją, że na kolejne lata stanie się miejscem wzruszeń i wspomnień wielu pokoleń bydgoszczan. Nie tylko uczniów „jedynki”.

ISBN 978-83-958926-5-3

copyright by Stowarzyszenie Koloroffon  
Wszelkie prawa zastrzeżone

Wydanie pierwsze

skład: Irmina Pisarek  
korekta, redakcja: Emilia Walczak

zdjęcie na okładce:

Widok z balkonu mieszkania przy ulicy Gdańskiej 79  
w kierunku Alei Adama Mickiewicza. Wczesne lata 70. XX wieku.  
Fot. Edmund Jeleszyński, zdjęcie do tekstu Joanny Gajownik  
„Śródmiejskie kąty”

druk: machinadruku.pl

Bydgoszcz 2025

Wydawca:

STOWARZYSZENIE  
kolorOFFon

Współfinansowanie:



Partnerzy:



„Pamiętnik gapiów. Bydgoszcz, jaką pamiętam” to zbiór lokalnych opowieści z przeszłości, poszukujących indywidualnej i zbiorowej pamięci bydgoszczan. Piąta edycja serii odbywa się pod hasłem „Miejscownik bydgoski”.

Pojęcie MIEJSCA ma w języku szereg różnych znaczeń. Może to być przestrzeń lub jej fragment, fizyczna lokalizacja; może to być jakiś konkretny obiekt-pomieszczenie; MIEJSCE wreszcie może także oznaczać usytuowanie kogoś w przestrzeni, jego pozycję lub rolę. W ujęciu antropologicznym to, co na początku jest abstrakcyjną przestrzenią, staje się MIEJSCEM w miarę poznawania i nadawania wartości. Miejsca obciążone doświadczeniem i historią zyskują z czasem status miejsc symbolicznych. Miejsca wreszcie – co zdaje się najistotniejszym – kształtują naszą tożsamość. Idąc tym tropem, miejsca bydgoskie kształtują naszą tożsamość bydgoską: tak jednostkową, jak i zbiorową. I właśnie o to chodziło w tym roku w projekcie Stowarzyszenia

Koloroffon „Pamiętnik gapiów. Bydgoszcz, jaką pamiętam”: zarówno o bydgoskie wspomnienia kolektywne, których jesteśmy częścią jako mieszkańcy miasta, jak i te kameralne, osobiste historie sprzed lat, które w jakiś sposób konstytuowały autorów projektu. I tak, formuła open call przyniosła w tym roku m.in. opowieść o dzieciństwie spędzonym w cieniu „pruskiego pałacu” – budynku dawnej Dyrekcji Pruskiej Kolei Wschodniej przy ulicy Dworcowej, o rozpalających dziecięcą wyobraźnię wycieczkach rowerowych na myśliścińskie Różopole, o Osiedlu Leśnym w czasach przeddyskontowych czy wreszcie – o kolekturze Lotto na placu Wolności, przez którą na przestrzeni przeszło dwóch dekad przewinęły się dziesiątki tysięcy bydgoszczan. Dziękujemy autorom za zaangażowanie i życzymy udanej lektury.

Odkrywajmy Bydgoszcz!

*Emilia Walczak, Krzysztof Nowicki*

Wydawca:

STOWARZYSZENIE  
kolorOFFon

Współfinansowanie:



Partnerzy:

DOM LITER



MIEJSKIE  
CENTRUM  
KULTURY  
w Bydgoszczy

MEYNY  
ROTHERA

MIASTO  
wyborcza

ISBN 978-83-958926-5-3



9 788395 892653